

MÁRIO DE ANDRADE

MACUNAIMA

TYTUŁ ORYGINAŁU: MACUNAIMA
PRZEKŁAD: IRENEUSZ KANIA



WYDAWNICTWO LITERACKIE • KRAKÓW-WROCŁAW • 1983

MACUNAIMA

W głębi dziewiczego lasu przyszedł na świat Macunaima, bohater naszego ludu. Czarny był jak smoła; zrodził go nocny lęk. Nastąpiła chwila takiego milczenia, wsłuchanego w szemranie Uraricoery, że Indianka z plemienia Tapaniumas urodziła szkaradne dziecko. To właśnie dziecko dostało na imię Macunaima.

Już w maleńkości wyczyniał rzeczy zdumiewające. Po pierwsze, przez dobrych sześć lat w ogóle nie mówił. Gdy zachęcano go do mówienia, wykrzykiwał:

— Ee, nie chce mi się!...

i ani słowa więcej. Siedział w kącie domu plemiennego usadowiony wysoko na policy uplecionej z palmy paxiuba i gapił się, jak trzują się inni, „szczególnie dwaj jego bracia — staruteńki już Maanape i Jiguê w kwiecie męskich lat. Rozrywką jego było obrywanie łebków mrówkom. Macunaima spędzał życie na leżąc, ale jeśli przyuważył jakąś forszę, potrafił porać do niej chyżo. Zawsze też umiał się ocknąć, gdy rodzina w komplecie, nagusienka, szła do rzeki zażywać kąpieli. Wówczas przez cały czas nurkował, a kobiety wydawały radosne okrzyki z powodu krabów, które jakoby żyły w tamtejszych wodach. Kiedy w wielkim szalasie jakaś pannica podchodziła do niego dla pieszczotek, Macunaima pakował dłoń w jej czułe miejsce, toteż zmykała. Mężczyznom pluł w twarz. Starych jednak poważał i pilnie uczęszczał na wszystkie plemienne tańce religijne — murua poracê torê bacorocô cucuicogue.

Gdy nadchodziła pora snu, wspinał się na swój maleńki hamak, zawsze zapominając się wysikać. Hamak matki wisiał poniżej jego kołyski, więc bohater nasz puszczał ciepłą strugę prosto na starą, niezłe przy tym strasząc komary. I zasypiał śniąc brzydkie słowa, wyuzdane sprośności, i kopał powietrze.

Tematem rozmów kobiet w samo południe były zawsze zberezeństwa bohatera. Zaśmiewały się serdecznie i mówiły, że „kolec, co bodzie, już od małego ma dobry szpic”. A Król Nagô w czasie święta czarowników założył mowę i obwieścił, że bohater jest inteligentny.

Ledwie skończył sześć lat, nalali do jego grzechotki wody z pierwszych deszczów i zaczął mówić jak wszyscy. I poprosił matkę, żeby przestała tłuc w mózdzierzu maniok i wzięła go na spacer do lasu. Matka powiedziała nie, manioku nie można było zostawić. Macunaima mazał się przez cały dzień. W nocy nadal popłakiwał. Następnego dnia, śpiąc tylko na lewe oko, zaczekał, aż matka weźmie się do pracy i poprosił, żeby przestała wyplatać koszyk z liany guarumá-membeca i zabrała go na spacer do lasu. Matka powiedziała nie, bo nie mogła rzucić roboty. I poprosiła synową, kobietę Jiguego, żeby wzięła malca. Żona Jiguego była bardzo młoda, nazywała się Sofará. Zbliżała się z nieufnością, ale tym razem Macunaima był bardzo greczny i nikomu nie wsadzał dłoni w czułe miejsce. Dziewczyna wzięła szkraba na plecy i zniosła go aż pod aninę rosnącą na brzegu rzeki. Rzeka stanęła, by pośród liści palm javari wygrywać rozkoszne, przemyślnie akordy. Dokoła było pięknie, nad wlotem kanału polatywała chmara ptaków bigua i biguatinga. Dziewczyna posadziła Macunaimę na plaży, ale on zaczął popłakiwać; tyle mrówek... i poprosił Sofarę, żeby zniosła go pod stok wzgórza, hen, w głębi lasu; tak zrobiła. Ale skoro tylko złożyła urwipółcia pośród traw tiririca, taja i trapoeraba, tworzących ściółkę, w mgnieniu oka zmienił postać przedzierzgając się w ślicznego księcia. I długo tam zabawili...

Po powrocie do chaty dziewczyna wyglądała na bardzo zmęczoną, przecież tak się nadźwigała tego brzdąca. Rzecz w tym, że bohater używał z nią sobie na całego. Jak tylko ułożyła Macunaimę w hamaku, nadszedł Jiguê łowiący ryby na podrywkę, a tu kobieta nie zrobiła nic. Jiguê rozeźlił się i gdy tylko wyiskał sobie kleszcze, sprawił jej niezłe cięgi. Sofará ścierpiała to lanie nie pisnąwszy słówka.

Jiguê nie domyślił się niczego i zaczął splatać linę z włókien ananasa. Trafił na świeży ślad tapira i zapragnął schwytać zwierzę w pułpkę. Macunaima poprosił brata o kawałek włókna, lecz Jiguê powiedział, że to nie jest zabawka dla dzieci. Macunaima znów zaczął płakać i wszyscy dobrze się wymęczyli przez całą noc.

Nazajutrz Jiguê wstał wcześniej, żeby nastawić sidła, i spoglądając na markotnego braci-szka rzekł:

— Dzień dobry, serdeńko ty nasze.

Ale Macunaima zawział się i milczał nachmurzony.

— Nie chcesz ze mną rozmawiać, co?

— Źle się czuję.

— Z powodu?

Wówczas Macunaima poprosił o włókno z ananasa. Jiguê popatrzył na niego ze złością i kazał żonie postarać się o włókno dla malca; co też zrobiła. Macunaima podziękował i poszedł prosić „świętego ojczulka” * żeby splótł dla niego linę i dmuchnął w nią porządnym dymem tytoniowym.

Gdy wszystko było gotowe, Macunaima poprosił matkę, żeby pozwoliła spokojnie fermentować cachiri i zabrała go na spacer do lasu. Stara nie mogła, bo miała robotę, ale ta spryciara, kobieta Jiguego, powiedziała do świekry, że „może nią dysponować”. I ruszyła w las z brzdącem na plecach.

Gdy położyła go na ściółce wśród traw caruru i sororoca, malec zaczął rósć; rósł i rósł, aż zmienił się w ślicznego księcia. Powiedział Sofarze, żeby poczekała chwilkę, a on zaraz wróci i się z nią zabawi, i poszedł do wodopoju tapirów, aby nastawić pastkę. Zaledwie późnym popołudniem wrócili z przechadzki, pojawił się Jiguê, który też zastawił pułpkę na tropie tapira. A tu jego kobieta nie zrobiła nic. Jiguego krew zalała i, nawet nie wyskawszy swoich kleszczy, spuścił jej potężne lanie. Ale Sofarą zniosła je cierpliwie.

Następnego dnia poranna zorza nie wspięła się jeszcze na wierzchołki drzew, a już Macunaima zbudził wszystkich wrzeszcząc okropnie, żeby poszli do wodopoju po zwierzę, które on upolował!... Ale nikt nie dał wiary i wszyscy zabrali się do zwykłej roboty.

Macunaimę bardzo to rozzłościło, więc poprosił Sofarę, żeby skoczyła do wodopoju, tylko aby zobaczyć. Tak też zrobiła; powróciła opowiadając wszystkim, że faktycznie — w sidłach leży, już nieżywy, bardzo wielki tapir. Całe plemię poszło po zwierzę, dumając nad bystrością smarkacza. Gdy nadszedł Jiguê ze swoją pustą pętlą z włókien ananasa, zastał wszystkich przy oprawianiu zdobyczy; pomógł im. A kiedy przyszło do dzielenia mięsa, Macunaimie nie dał ani kawałeczka, tylko flaki. Bohater zaprzysiągł zemstę.

Nazajutrz poprosił Sofarę, żeby wzięła go ma spacer, i zostali w lesie aż po skraj dnia. Zaledwie chłopczyk dotknął zmurszałych liści, zmienił się w namiętnego księcia. Zabawili się. Zabawiwszy się ze trzy razy, zaczęli gonić się po lesie i dopadać dla pieszczotek; a to łaskotki, a to gliglotki, a to zagrzebywanie się w piasku, a to przypalanie płonąca słomką — całe mnóstwo pieszczotek. Macunaima chwycił pień copaiby i schował się za grube drzewo. Gdy nadbiegła Sofarą, przyłożył jej tym drągiem. Rozwalił jej głowę tak, że dziewczyna upadła u jego stóp skracając się ze śmiechu. Złapała go za nogę, Macunaima jęczał z rozkoszy uchwyciwszy się gigantycznego pnia. Wtedy dziewczucha ciachnęła zębami jego wielki paluch i połknęła go. Macunaima płacząc z radości tatuował jej ciało krwią ze swojej stopy. Potem napiął muskuły, wlaź na trapez z lian i w mgnieniu oka, rozbujawszy się, sięgnął najwyższej gałęzi piranheiry, a Sofarą wspięła się za nim. Cieniutka gałąź gięła się pod ciężarem księcia. Kiedy wreszcie dziewczyna też wyspinała się na wierzchołek, zabawili się znowu, bujając w niebie. Gdy już skończyli, Macunaima zapragnął popisać się przed Sofarą. Gwałtownie zgiał ciało jak sprężynę, ale nie zdołał dokończyć i trrrrach, gałąź trzasnęła i zaczęły spadać oboje

* „święty ojczulek” (*pai-do-santo, pai-do-terreiro*) — kapłan w afro-brazylijskich misteriach *macumba* i *candomblé*.

objijając się o konary, aż rozpląszczyli się na ziemi. Gdy bohater przyszedł do siebie, jął rozglądać się za dziewczyną, ale jej nie było. Właśnie chciał wstać, aby jej poszukać, gdy wtem ze zwieszającego się nad nim konara ciszę przeszyło miauczenie pумы. Bohater padł na ziemię ze strachu i zamknął oczy: jeśli miał być pożarty, to wolał tego nie widzieć. Wtedy rozległ się chichot i Macunaima otrzymał tęgiego pluja w pierś: to była dziewczyna. Macunaima zaczął ciskać w nią kamieniami; gdy trafiał, Sofará krzyczała z podniecenia haftując jego ciało, tam w dole, tryskającą krwią. Nareszcie jeden z kamieni rozerwał pannicy kącik ust i zgruchotał trzy zęby. Skoczyła z konara i buch! spadła okrakiem na brzuch bohatera, który wyjąc z rozkoszy owinął ją swym ciałem. I zabawili się raz jeszcze.

Gdy dziewczyna wróciła, strasznie niby umordowana noszeniem smyka na plecach, już gwiazda Wieczerzalka błyszczała na niebie. Ale Jiguê, domyślając się czegoś, poszedł za nimi do lasu, widział Przemianę i wszystko. Ten Jiguê to był straszny głupek. Rozsierdził się, złapał swój pleciony kańczug i porządnie wysmarował nim zadek bohatera. Ryk był taki, że skurczył się od niego ogrom nocy, wiele zaś przerażonych ptaków spadało na ziemię i zmieniało się w kamienie.

Kiedy Jiguê miał już dość, Macunaima pobiegł w zarośla, pozuł trochę korzenia kaktusa i wrócił zdrów. Jiguê odprowadził Sofarę do jej ojca i na oba uszy zasnął w hamaku.

PEŁNOLETNOŚĆ

Jiguê był to wielki głupek: następnego dnia pojawił się ciągnąc za rękę jakieś dziewuszyisko. Była to jego nowa towarzyska, nazywała się Iriqui. W gęstym koku nosiła zawsze żywą mysz i wielka z niej była elegantka. Twarz malowała araraubą i genipapą, a każdego ranka nacierała wargi jagodą palmy asai, tak że robiły się całkiem fioletowe. Potem wcierała w nie cytrynę z Cayenne i wargi stawały się całkiem czerwone. Wtedy Iriqui spowijała się w okrycie z bawełny prążkowanej na czarno acariubą i na zielono — tatajubą, włosy zaś traktowała wonnością z esencji umiri; ładna była.

No więc, gdy wszyscy zjedli już tapira Macunaimy, do wielkiego szałasu zajrzał głód. Zwierzyna przestała się trafiać, nawet pancerniki-kurki znikły bez śladu, a że Maanape zabił rzeczno delfina, bo nie było co jeść, ropuch cunauru imieniem Maraguigana, ojciec delfina, bardzo się rozżłościł. Zesłał przybór i kukurydza zgniła na pniu. Zjedzone zostało wszystko, nawet łykowate resztki się skończyły, i na ognisku ani w dzień, ani w nocy nie piekło się nic a nic, płonęło ot tak, żeby tylko było trochę ciepła wśród tego ziąbu. Ani włókienka choćby zeschniętego ścierwa, żeby upiec.

Wówczas Macunaima zapragnął się nieco rozerwać. Powiedział braciom, że przecież w rzece jest jeszcze mnóstwo ryb; piaba, jeju, matrinchão, jatuarana — hejże na nie, wytruć je gałęzią timbó! Maanape rzekł:

— Nie można już znaleźć timbó.

Na to Macunaima, udając niewiniątko:

— Niedaleczko tej jaskini, gdzie zakopane są pieniądze, widziałem timbó co niemiara.

— No to chodź z nami i pokaż, gdzie to jest.

Poszli. Brzeg był zdradliwy, nie bardzo było widać, gdzie jest woda, a gdzie ład pośród gęstego listowia mamorany. Maanape i Jiguê, upačkani błotem po uszy, szukali i szukali, co rusz ryyym! wpadając w zdradzieckie dołki zalane przyborem. I jak oparzeni wyskakiwali z wrzaskiem z tych dziur, zasłaniając sobie dłońmi tyłki, żeby przypadkiem nie wśliznęły im się tam te bezczelne rybki candiru. Macunaima śmiał się w duchu, widząc małpie wygibasy

braciszków węszących za timbó. Sam też udawał, że węszy, ale nie postąpił nawet kroku, siedział sobie suchuteńki na brzegu. Kiedy bracia przechodzili koło niego, zginał się i stękał z wysiłku.

— Smyku, przestańże się tak mordować!

Wtedy Macunaima siadł sobie na urwistym brzegu i bijąc nogami wodę płoszył moskity. A było ich mnóstwo — krwiopijcę meszki bolimuszki widliszki giezki ciętobrzuszki malaryki pękate puciate, cały ten komarzy ród.

Gdy zrobiło się późno, braciszkwowie przyszli po Macunaimę bardzo wnerwieni, bo nie natrafili nawet na pół patyka timbó. Bohater zląkł się i jak gdyby nigdy nic:

— Znaleźliście?

— Ale gdzie tam!

— Przecież sam tutaj widziałem timbó. Kiedyś drzewka timbó to byli ludzie jak my... Zmiarkowali, że ich szukacie, i fiuuu... już ich nie ma. Timbó to byli kiedyś ludzie jak my...

Bracia zdumieli się inteligencją dzieciaka i wszyscy trzej powrócili do chaty.

Macunaima był głodny i bardzo go to irytowało. Nazajutrz powiedział do starej:

— Matko, powiedz tak: „Kto przeniesie naszą chałupę na drugi brzeg, tam, na górkę, kto?” No, zamknij na chwilkę oczy i zapytaj.

Stara zapytała. Macunaima poprosił, żeby trochę dłużej została z zamkniętymi oczami i przeniósł chatę chrusty koszyki hamaki strzały torby toboły rogoże, krótko mówiąc, cały ten domowy chłam, na drugi brzeg, na wysoką haławę. Gdy stara otworzyła oczy, była już tam, a wokoło niej zwierzyna, ryby, bananowce gnące się od owoców, żarcia w bród. Poszła więc naciąć bananów.

— Jeśli wolno zapytać, mateczko, na cóż tyle tniesz tych rogali?

— To dla twojego brata Jiguê i ślicznej Iriqui, no i dla twojego brata Maanape, którzy cierpią głód.

Bardzo to rozdrażniło Macunaimę. Dumał, dumał i rzekł do starej:

— Matko, kto przeniesie naszą chałupę na drugi brzeg, w tę topiel, no kto? Zapytaj tak!

Stara zapytała. Macunaima poprosił, żeby została chwilę z zamkniętymi oczami i wyniósł wszystkie klamoty, wszyściutkie, w miejsce, gdzie dopiero co byli, na zatopione bagnisko. Kiedy stara rozwarła oczy, wszystko było w poprzednim miejscu, ze słomiakami braciszka Maanape i braciszka Jiguê oraz ślicznej Iriqui w pobok. I wszyscy znów jęli pochrząkiwać z głodu.

Wówczas stara zakipiała ze złości. Przywiązała sobie bohatera do pasa i ruszyła. Przybyła do lasu i dotarła do matecznika zwanego Judaszowe Zadupie. Szła nim jeszcze z półtorej mili, aż wreszcie las się przerzedził i otworzyła się równina urozmaicona tylko karłowatymi zaroślami, na których rosły owoce caju. Żeby choć jeden ptaszek kacyk, który by ożywił tę pustac! Stara zostawiła szkraba w tym polu, gdzie na pewno już nie wyrośnie, i rzekła:

— A teraz twoja matka sobie idzie. Zgubisz się w tym pustkowiu i nigdy już nie urośniesz, nigdy!

I znikła. Macunaima przyjrzał się pustyni i zebrało mu się na płacz. Ale że nie było tam nikogusieńko, to nie rozplakał się. Wziął na odwagę i postawił stopę na gościńcu, i podreptał na drżących krzywych nożynach. Błądził tam z tydzień, aż natknął się na Currupirę piekącego mięso w towarzystwie swego psa Żarłomiodka. A ten Currupira żyje w rdzeniu palmy tucum i naciąga ludzi na tytoń. Macunaima powiedział:

— Dziadku, dasz mi mięsa?

— Dam — odrzekł Currupira.

Wyciął sobie kawał mięsa z łydki, opiekł i dał chłopcu, pytając:

— A co ty robisz w tej głuszy, chłopcze?

— Spaceruję.

— Nie mów!

— Naprawdę, spaceruję...

I opowiedział, jak matka ukarała go za to, że był niedobry dla braci. A kiedy mówił o ponownym przeniesieniu domu na dawne miejsce, gdzie nie było zwierzyny, wybuchnął gromkim śmiechem. Currupira popatrzył na niego i burknął:

— Oj, tyś już nie smarkacz, nie smarkacz... Takie rzeczy robi człowiek dorosły...

Macunaima podziękował i poprosił Currupirę, żeby mu pokazał drogę do plemiennego domu Indian Tapaniumas. Ale ten Currupira chciał pożreć bohatera, więc pokazał fałszywie:

— Pójdiesz, mały człowieczku, tędy i tędy, miniesz tamto drzewo, skrećisz na lewo, zawrócisz i przejdiesz pod moimi jąderkami.

Macunaima ruszył, kręcił tędy i owędy, ale gdy znalazł się przed drzewem, podrapał się w nogę i mruknął:

— Ee, nie chce mi się!

I poszedł prosto przed siebie.

Currupira czekał długo, ale łobuziak nie nadchodził... Więc poczwara wskoczyła na jelenia, który jest jej wierzchowcem, wbiła kragłą stopę w pachwinę rączego bieguna i pomknęła wrzeszcząc:

— Mięso z mojej nogi! mięso z mojej nogi!

Z głębi brzucha bohatera mięso odpowiedziało:

— Co się stało?

Macunaima wydłużył krok i już biegiem wpadł w zarośla, ale Currupira był szybszy i chłopiec widział, że tamten depcze mu po piętach.

— Mięso z mojej nogi! mięso z mojej nogi!

Mięso odpowiadało:

— Co się stało?

Szczeniak był w rozpaczy. Padał deszcz i świeciło słońce, jak na lisie wesele, i stara Vei-Słońce potyskiwała w kropelkach wody rozsiewając światło niczym ziarna kukurydzy. Macunaima podbiegł do kałuży, napił się błotnistej wody i wymiotował mięso.

— Mięso z mojej nogi! mięso z mojej nogi! — tak wrzeszczał coraz bliżej Currupira.

— Co się stało? — odkrzyknęło już z kałuży mięso.

Macunaima okrężną drogą dopadł zarośli amarantu i uciekł.

Półtorej mili dalej usłyszał spoza mrowiska powolny głos tak śpiewający:

— „Aguti kurzy konopie...”

Poszedł tam i wpadł na aguti przesiewającą mąkę maniokową w koszyku tipiti z palmy jacitara.

— Babciu, dasz mi maniaku?

— Dam — odparła Aguti. Dała chłopcu manioku i zapytała:

— Wnuczku, co robisz w tych chaszczach?

— Spaceruję.

— Co takiego?

— No, spaceruję!

Opowiedział, jak to wykołował Currupirę, i wybuchnął gromkim śmiechem. Aguti spojrziała na niego i burknęła:

— Dzieciak tego nie potrafi, wnuczku mój, nie potrafi... Wyrównam ci całe ciało do łepetyny.

Chwyciła cebrzyk pełen, trującego soku z manioku i chlusnęła na brzdąca. Przerażony Macunaima uskoczył, ale zdążył umknąć tylko z głową, reszta ciała została zmoczona. Bohater kichnął i zmienił kształt. Miał teraz piękną postać, słuszny wzrost i siłę, całkiem jak dorosły, mocny chłop. Tylko głowa, nie zmoczona, pozostała mu na zawsze kanciasta, no i zachował paskudną gębusię niemowlaka.

Macunaima podziękował za to i ze śpiewem pomknął ku rodzinnemu słomiakowi.

Nadciągała brzękliwa noc wpychająca mrówki do ziemi i wyciągająca z wody komary. Gorąco było jak w gnieździe. Stara Indianka usłyszała w szarawej dali głos syna i zdumiała się. Macunaima zjawił się z ponurą twarzą i przemówił do niej:

— Matko, śniłem, że zęba stracił, taki miałem sen.

— Znaczy, ktoś z rodziny umrze, tamten albo ten — skomentowała matka.

— Wiem. Pożyjecie, pani matko, jeszcze tylko jedno Słońce, i to tylko dlatego, żeście mnie zrodzili.

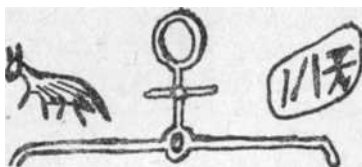
Następnego dnia bracia poszli polować i łowić ryby, stara — do roboty na poletku, a Macunaima został sam z towarzyszką Jiguego. I zmienił się w mrówkę quenquém, ukąsił Iriqui, żeby ją niby popieścić, ale dziewczysko odrzuciło quenquém daleko. Wówczas Macunaima zmienił się w drzewko arnoty. Śliczna Iriqui roześmiała się, narwała jego nasion i wysztafirowała się okropnie malując sobie nimi twarz i znamiona kobiecości. Była prześliczna. Wtedy Macunaima z największym zapałem znów przedzierzgnął się w człowieka i zabawił się z towarzyszką Jigyego.

Kiedy bracia wrócili z polowania, Jiguê od razu spostrzegł zmianę, ale Maanape powiedział mu, że Macunaima na zawsze już pozostanie człowiekiem, i to krępkim. Maanape był czarownikiem. Jiguê zobaczył, że chałupa pełna jest jedzenia — bananów, kukurydzy, słodkiego manioku, piwa ryżowego aluá i cachiri, świeżutkich ryb mapará i comorim, owoców maracujá, flaszowca, białej sapoty, pigwy, klopsików z mięsa jelenia i świeżego mięsa aguti — dużo wyborowego jedzonka i napitków... Jiguê uznał, że nie warto wszczynać zwady z bratem i zostawił mu śliczną Iriqui. Westchnął, wyiskał się z kleszczy i zasnął na oba uszy w hamaku.

Nazajutrz Macunaima, zabawiwszy się z samego rana ze śliczną Iriqui, wyszedł pospacerować. Przemierzył zaczarowane królestwo Pięknego Kamienia w Pernambuco, a gdy był już blisko miasta Santarém, natknął się na łanię, która właśnie powiła młode.

— Zapoluję na nią! — rzekł. I zaczął ją gonić. Umknęła mu z łatwością, ale nasz bohater zdążył pochwytać jelonka, który jeszcze prawie nie trzymał się na nogach, schował się za pniem carapanauby i zaczął łaskotać jelonka, pobudzając go do beczenia. Łania jakby oszalała, wytrzeszczyła oczy, stanęła zdjeta grozą, podeszła, podeszła i stanęła przed nim lejąc łzy miłości. Wtedy bohater przeszył łanię strzałą. Upadła, grzebnęła kilka razy kopytkami i wyprężyła się sztywno na ziemi. Bohater otrąbił zwycięstwo. Podeszedł bliżej, przyjrzał się lepiej łani, wydał krzyk i zemdłał. To była sztuczka diabła Aniangi... Macunaima wcale nie zabił strzałą żadnej łani, tylko swoją matkę, Indiankę z plemienia Tapaniumas; leżała teraz martwa, cała pokaleczona przez kolce palm titara i kaktusów mandacaru rosnących w puszczy.

Kiedy nasz bohater przyszedł do siebie z omdlenia, poszedł zawołać braci; wszyscy trzej płacząc okropnie spędzili noc na czuwaniu, popijając wino palmowe oloniti i jedząc pierożki maniokowe z rybami. Wczesnym rankiem złożyli ciało starej w hamaku i poszli ją pogrzebać pod głazem w miejscu zwanym Ojciec Mrówki Tocandeira. Maanape, jako mistrz sztuk szamańskich, wyrzeźbił nagrobek. Wyglądał tak:



Pościli przepisową ilość dni, czas swojego postu Macunaima przepędził wznosząc bohaterskie lamentsy. Brzuch nieboszczki puchł i puchł, aż pod koniec pory deszczowej zrobił się jak łagodny pagórek. Wtedy Macunaima podał dłoń Iriqui, Iriqui podała dłoń Maanapemu, Maanape podał dłoń Jiguemu i wszyscy czworo ruszyli w szeroki świat.

CI, MATKA LASU

Pewnego dnia wszyscy czworo szli dróżką pośród lasu i cierpieli bardzo od pragnienia; bajorka i jeziora gdzieś znikły. Nigdzie nawet kawałka wodnistego korzenia śliwca, a stara Vei-Słońce, siejąc swe promienie przez listowie, nieustannie chłostała lędźwie wędrowców. Pot lał się z nich jak podczas szamańskiego nabożeństwa, kiedy to wszyscy smarują się olejem piquiá; i szli. Nagle Macunaima zatrzymał się, przecinając noc milczenia szerokim gestem ostrzegawczym. Tamci stanęli jak wryci. Nie było słychać nic, ale Macunaima szepnął:

— Coś tam jest.

Zostawili śliczną Iriqui, która przysiadła na korzeniach puchowca, aby poprawić swoją urodę, i ostrożnie skradali się dalej. Już Vei znudziło się smaganie lędźwi trzech braci, gdy półtorej mili dalej zwiadowca Macunaima wpadł na uspioną pannę. Była to Ci, Matka Lasu. Po tym, że prawą pierś miała uschniętą, poznał od razu, że dziewczyna należy do owego plemienia samotnych kobiet bytujących na plażach jeziora Zwierciadło Księżycy, do którego uchodzi Niamundá. Z tym swoim ciałem zniszczonym przez rozpustę i ubarwionym genipapą dziewczyna była bardzo ładna.

Nasz bohater rzucił się na nią, aby z nią poigrać. Ci nie miała ochoty. Trójzębnej strzały użyła jako dzidy, a Macunaima chwycił za swój wielki nóż. Bijatyka była okropna i pod sklepieniem drzew rozbrzmiewały przeraźliwe ryki walczących, aż kurczyły się ze strachu ciała ptaków. Bohater brał cięgi. Dostał już taką fangę w nos, że aż mu krew poszła, głębokie cięcie przeorało mu też zadek. Amazonka nie miała nawet zadraśnięcia, a każdy jej ruch odbijał się nową plamą krwi na ciele naszego bohatera wydającego straszne wrzaski, od których kurczyły się ze strachu ciała ptaszków. Widząc na koniec, że jest w tęgich opałach i nie da rady Amazonce, bohater wziął nogi za pas wrzeszcząc w, stronę braci:

— Na pomoc, bo inaczej ją zabiję! na pomoc, bo ją zabiję!

Nadbiegli bracia i pochwycili Ci. Maanape wykręcił jej ręce do tyłu, a Jiguê swoim dziurym murucu łoił ją po łbie. I Amazonka bez sił runęła w paprocie poszycia. Gdy już przestała się ruszać, Macunaima zbliżył się i poigrał z Matką Lasu.

I nadleciały chmary papuzek aratinga, chmary purpurowych arar, niebieskorzytek i zielonobrzuszków, periquito, i wszelkich innych papug, aby powitać Macunaimę, nowego Cesarza Dziewiczego Lasu.

I trzech bracia ruszyli dalej z nową towarzyszką. Przeszli przez Miasto Kwiatów, ominęli Rzekę Goryczy przechodząc poniżej Kaskady Szczęśliwości, wstąpili na Gościniec Rozkoszy i dotarli do zagajnika „Mój Skarbie”, gdzieś pośród wzgórz Wenezueli. Stąd Macunaima sprawował władzę nad obszarami tajemniczych lasów, a tymczasem Ci przewodziła wojennym pochodom kobiet uzbrojonych w trójzębne txará.

Życie bohatera płynęło spokojnie. Gnił sobie błogo w hamaku tłukąc mrówki taioca i pociągając z mlaskaniem piwko pajuari, a kiedy zabierał się do śpiewania przy wtórze perlistych dźwięków cotcho, lasy odbrzmiewały słodkim echem usypiającym wężej kleszcze moskity termity i złe duchy.

Z nastaniem nocy przybywała Ci ociekająca żywicą, krwawiąca z licznych ran odniesionych w walkach, i wdrapywała się na hamak, który uplotła z własnych włosów. Igrali, a potem uśmiechali się do siebie.

Przyciśnięci do siebie, uśmiechali się długo. Ci pachniała tak mocno, że Macunaimie aż w głowie się kręciło, do szaleństwa.

— Do licha, jakże ty pachniesz! — szeptał z rozkoszą. I jeszcze bardziej rozdymał nozdrza. I taka na niego przychodziła wściekła ochota, że senność po trochu skapywała mu z powiek. Ale Matka Lasu wcale nie miała dość, więc kołysaniem hamaka, ciasno obejmujące-

go ich oboje, zachęcała towarzysza do dalszych igraszek. Półżywy z niewyspania, zdesperowany, Macunaima igrał z nią tylko przez wzgląd na swoją sławę, gdy jednak Ci pragnęła jeszcze, aby uśmiechał się z zadowolenia, wzdychał znudzony:

— Ee, nie chce mi się...

I odwracając się do niej plecami zasypiał. Ale Ci chciała więcej igraszek... Zapraszała i zachęcała... Bohater spał jak kamień. Wtedy Matka Lasu chwytła swoje txarą i dźgała swego towarzysza. Macunaima budził się i rycząc ze śmiechu skręcał się od łaskotek.

— Daj spokój, bezwstydnico!

— Nie dam!

— Pozwól mi spać, kochanie!

— Chodź, zabawimy się...

— Ee...

I zabawiali się jeszcze raz.

Zdarzały się jednak dni, kiedy Cesarz Dziewiczego Lasu ponad miarę folgował sobie w piwku pajuari i Ci znajdowała go całkiem nabzdryngolonego. Zaczynali igraszki, a tu bohater zapominał w połowie drogi.

— No, bohaterze!

— Niby co?

— Znudziło ci się już?

— Co mi się miało znudzić?

— Ależ, mój grzeszku, przecież właśnie zabawiamy się, a ty zapominasz w samym środku!

— Oj, jak mi się nie chce!...

Macunaima tak był zalany, że o świecie Bożym nie wiedział. I zasypiał błogo, wdychając zapach włosów swojej towarzyszki.

Wtedy Ci, aby go rozruszać, stosowała przemyślny wybieg. Szła do lasu po liście palącej okropnie pokrzywy, którymi nacierała różdżkę bohatera i swoją szkatułeczkę. Od tego zgoła lwia pochutliwość napełniała Macunaimę. A także Ci. Igrali i igrali bez końca, w pełnej cudownego zapachu rozpuście.

Ale najwymyślniejsze rozkosze dawali sobie w nocie bez snu. Wszystkie płonące gwiazdy rozlewały wówczas na Ziemi oliwę tak gorącą, że nie można jej było znieść, a przez las przebiegało coś na kształt pożaru. Nawet ptasi ludek nie mógł wytrzymać w gniazdach. Niespokojnie kręcił szyjkami, polatywał po gałęziach i — cuda to nie widziane, nie słyszane — zaczynał pieśń poranną o północy, w trylach nie mających końca. Skweres był okropny, zapach — bardzo mocny, a upał jeszcze większy.

Macunaima wymierzał kuksańca Ci, odrzucając ją od siebie. Budziła się niczym furia i wskakiwała na niego. I zabawiali się. Teraz, rozbudzeni już zupełnie rozkoszą, wynajdywali nowe sposoby igrania z sobą.

Upłynęło sześć miesięcy i Matka Lasu powiła czerwoniutkiego synka. Z tej okazji przybyły sławne Mulatki z Bahii, Recife, Rio Grande do Norte i z Paraiby, aby podarować Matce Lasu szkarłatny arkan barwy zła, bo odtąd ona będzie właścicielką czerwonego sznura w bożonarodzeniowych Pastorałkach. Po czym, napełnione przyjemnością i radosne, poszły sobie roztańczone, a za nimi futboliści spryciarze flirciarze układacze serenad, cała ta złota młodzież. Macunaima zgodnie ze zwyczajem odpoczywał przez miesiąc, ale postu odmówił. Malec łepetynę miał płaską, a Macunaima spłaszczła mu ją jeszcze bardziej i mówił do dziecka:

— Synku, rośnij szybko, żebyś mógł iść do São Paulo i zarobić kupę forsy.

Wszystkie Amazonki bardzo lubiły czerwoniutkiego chłopczyka i w czasie pierwszej kąpieli wrzuciły do wody klejnoty plemienne, żeby zawsze był bogaty. Z Boliwii sprowadziły nożyce, które umieściły rozwarte pod wezglowiem brzdąca, bo inaczej mógłby przyjść Tutu

Marambá, wyssać mu pępek, a Ci — wielki palec u stopy. Tutu Marambá przyszedł, wpadł na nożyce i naciął się; wyssał uszko nozyc i poszedł sobie zadowolony. Wszyscy myśleli teraz tylko o malcu. Do São Paulo posłali dla niego po słynne trzewiczki włóczkowe wyrabiane przez donę Annę Franciszkę de Almeida Leite Morais, z Pernambuco sprowadzili riuszki „Róża Alpejska”, „Kwiat Guabiroby” i „Cierpię dla Ciebie”, dzieło rąk dony Joachimy Leitao, bardziej znanej pod imieniem Chinka Garbuska. Na napój orzeźwiający i lekarstwo przeciw robakom dla chłopca zlewano sok z najprzedniejszych owoców tamaryndowca sióstr Louro Vieira z Óbidos. Słodkie to było życie!... Ale pewnego razu na słomianku Cesarza usiadł puchacz jucurutu i zahuczał złowieszczo. Macunaima zadrżał, przegonił moskity, nażłopał się zdrowo piwa pajuari, żeby zobaczyć, czy i strach uda mu się wystraszyć.

Opił się i spał przez całą noc. Wtedy przypętał Czarny Wąż i tak długo ssał jedyną pierś Ci, że nie zostawił w niej ani kropelki mleka. A ponieważ Jiguemu nie udało się rozprawczyć żadnej z Amazonek, pozbawiony mamki brzdąc ssał nazajutrz pierś matki i ssał, aż się otruł, po czym westchnął i umarł.

Aniołka wsadzono do glinianej urny wyrzeźbionej w kształcie żółwia jaboti; by zaś błędne ogniki nie wyjadły mu oczek, pogrzebano go w samym środku wioski pośród wielkich śpiewów, tańców i pijaństwa.

Po zakończeniu ceremonii towarzyszka Macunaimy, jeszcze cała ustrojona, zdjęła z szyi słynny zielony kamień Muirakitan, dała mu go i po lianie wspięła się do nieba. Tam sobie teraz żyje Ci — przechadza się wysztafirowana, nie dokuczają jej mrówki, ciągle jest przystrojona, ustrojona światłem, przemieniona w gwiazdę. W Betę Centaura.

Następnego dnia Macunaima poszedł na grób syna i zobaczył, że z jego ciała wyrosła roślina. Pielęgowali ją troskliwie i rozwinęła się w guaranę. Jej utartymi owocami ludzie leczą liczne choroby i orzeźwiają się w czasie spiekot zsyłanych przez Vei-Słońce.

BOIŪNA * LUNA

Nazajutrz wczesnym rankiem bohater nasz, dręczony przez tęsknotą za po wsze czasy niezapomnianą Ci, swoją towarzyszką, przedziurawił sobie dolną wargę i wprawił w nią wisior z kamieniem Muirakitan. Czuł, że się rozplacze. Spiesznie przywołał braci, pożegnał się z Amazonkami i ruszył w świat.

Błąkali się i błąkali po wszystkich tych ostępach, których władcą Macunaima był nadal. Wszędzie składano mu hołdy, zawsze towarzyszyła mu świta złożona z czerwonych arar i żółtych papużek aratinga. W nocie pełne zgryzoty wspinał się na palmę asai obwieszoną owocami fioletowymi jak jego dusza i kontemplował na niebie wytworną postać Ci. „Ty przekleńtnico!” — jęczał... Bardzo wtedy cierpiał, bardzo! i wzywał dobre bogi, wyśpiewując długie pieśni...

Ruda, Ruda!...
Ty, który wysysasz deszczowe wody,
Spraw, aby wichry znad oceanu
Rozhulały się nad moją ziemią
I rozpędziły obłoki
Tak, aby moja Niegodziwa rozbłysła

* Boiúna — jedno z określeń anakondy.

*Mocno i jasno na niebie...
Wyglądź powierzchnię wód
We wszystkich rzekach
Tak, żebym kąpiąc się w nich
Mógł igrać z moją przeklętnicą
Przełądając się w lustrze wód!...*

Tak śpiewał. Potem złąził i płakał wsparty na ramieniu Maanapego, Jiguê zaś, szlochając ze zmartwienia, podsyczał ogień, aby bohaterowi nie dokuczał ziąb. Maanape przełykał łyż i takie oto kołysanki wznosił do Acutiputu Murucututu i Ducucu, panów snu:

*Acutiputu,
użycz trochę snu
Macunaimie,
bo jest bardzo smutny!...*

Iskał bohatera z kleszczy i kołysał go, tuląc do snu. Bohater uspokajał się, uspokajał i zasypiał smacznie.

Na drugi dzień trzej wędrowcy podejmowali marsz przez tajemnicze lasy. A Macunaimę nieodmiennie otaczała świta czerwonych arar i papużek aratinga.

Szli tak i szli, aż tu pewnego razu, gdy snopy promieni jeły przeganiać nocne mroki, usłyszeli w oddali dziewczęce narzekania. Poszli zobaczyć. Uszli z półtorej mili i napotkali kaskadę płaczącą bez przerwy. Macunaima zapytał ją:

— Co to znaczy?

— Płaczę!

— Powiedz, co ci jest!

Kaskada opowiedziała, co się jej przydarzyło:

— Trzeba ci wiedzieć, że na imię mam Naipi i jestem córką wodza Mexé-Mexoitiqui, co w mojej mowie znaczy Naczworaczkaraczkach. Ze mnie była śliczności dziewczyna i wszyscy wodzowie z Okolicy chcieli spać w moim hamaku i spróbować mojego ciała, miększego niżli drewno embiruçu. Ale gdy który przychodził, kopałam go i gryzłam, żeby sprawdzić, czy jest dość silny. Żaden nie dawał rady i wszyscy zmykali jak niepyszni.

Moje plemię było w niewoli u boiuny Capei, która mieszkała w wielkiej jamie z mrówkami saúva. Zawsze w porze, kiedy krzewy begonii na brzegu rzeki okrywały się żółtym kwieciem, boiuna przychodziła do wioski, żeby wybrać sobie młodziutką dziewczęcę, która będzie z nią spać w jaskini pełnej trupich kości.

Kiedy moje ciało zapłakało krwią z tęsknoty za męską mocą, a ptaszek suinara zagwiżdżał o świcie na palmie koło mojej chatki, przyszła Capei i wybrała mnie. Begonie na brzegu rzeki płonęły żółto i wszystko kwiecie opadło na ramiona szlochającego Titçatê, młodego wojownika mojego ojca. Smutek, na podobieństwo procesji czarnych mrówek sacassaia, wpełził do wioski i pożarł nawet ciszę.

Gdy stary czarownik znów wyciągnął noc z jamy, Titçatê narwał kwiecica i wszedł z nim do hamaka ostatniej nocy mej swobody. Wtedy ugryzłam Titçatego.

Z przegryzionego przegubu chłopca trysnęła krew, ale nie zwrócił na to uwagi, jęczał tylko z miłosnego szaleństwa i wepchnął mi kwiaty do ust, tak że nie mogłam już gryźć. Wskoczył do hamaka i Naipi uległa Titçatemu.

Zabawialiśmy się jak szaleni pośród kwiatuszków ipê i tryskającej krwi, a potem mój zwycięzca wziął mnie na plecy, wrzucił do czółna ukrytego pod gąszczem krzaków aturiá i pomknął jak strzała po Wścieklej Rzece, żeby uciec przed boiuną.

Następnego dnia, kiedy stary czarownik znów zamknął noc w jamie, Capei przyszła po

mnie, ale znalazła pusty i zakrwawiony hamak. Wydała ryk i puściła się w pogoń za nami. Była coraz bliżej i bliżej, coraz wyraźniej słyszeliśmy jej ryk, był już bliźniętko, i wreszcie wody Wścieklej Rzeki wezbrały od cielska boiuny.

Titçatê, osłabły z upływu krwi z rany na przegubie, ustawał przy wiośle. Dlatego nie mogliśmy uciekać. Capei pochwyciła mnie, przewróciła, zbadała takim niby-jajkiem i przekonała się, że byłam już kobietą Titçatego.

Boiuna rozwścieczyła się tak okropnie, że chciała chyba rozwalić cały świat... mnie zmieniła w ten kamień, a Titçatego cisnęła na plażę i przemieniła w drzewko. O, to, które widzicie tam, daleko, w dole, o tam! To ten piękny mururé, który stamtąd, z wody, wyciąga ku mnie ramiona. Jego fioletowe kwiaty to krople krwi z mojego ukąszenia, zmroził je chłód wodospadu.

Capei siedzi ciągle pode mną i sprawdza, czy rzeczywiście zabawiał się ze mną chłopiec. Zabawiał się, i aż po kres tego, co nie ma kresu, opłakiwać będę swój ból, że więcej już nie oddam się mojemu Titçatê...

Skończyła. Na kolana Macunaimy skapywały łzy, szlochał cały roztrzęsiony.

— Gdyby... gdyby... gdyby ta boboiuna się pokazała, to... bym ją zabił!

Wtedy dał się słyszeć potworny ryk i Capei wynurzyła się z wody. Capei to była boiuna. Macunaima bohatersko wypiął wspaniały tors i ruszył naprzeciw potwora. Capei rozwarła paszczę i wypuściła chmurę os apiacá. Macunaima młócił ramionami jak wiatrak i w końcu dał radę osom. Wtedy potwór chciał go smagnąć swym grzechoczącym ogonem, ale w tej właśnie chwili mrówka tracuá ukąsiła naszego bohatera w piętę. Zajęty swym bólem pochylił się i ogon przeleciał nad nim, bijąc z rozmachem w gębę Capei. Ryknęła jeszcze potężniej i kolnęła Macunaimę w udo. Ten uchylił się zręcznie, złapał ostry głąz i ciach! uciał tej wścieklicy łeb.

Jej cielsko skręcało się w wirach nurtu, a głowa przyturlała się, aby na znak uległości całować stopy mściciela. Nasz bohater poczuł lęk i w towarzystwie braci chyżo zapuścił się w las.

— Ptaszynko, kruszynko, zaczekaj no, zaczekaj no! — krzyczała głowa.

Jeszcze przyspieszyli. Ubiegli z półtorej mili i obejrzeni się. Głowa Capei nadal toczyła się za nimi. Pobiegli dalej, a gdy już nie mogli z wyczerpania, wspięli się na nadrzeczne drzewo bacupari, żeby zobaczyć, czy głowa poturla się dalej. Ale zatrzymała się pod drzewem i poprosiła o owoce. Macunaima potrząsnął drzewem. Głowa pozbierała owoce z ziemi, pożarła i poprosiła o jeszcze. Jiguê natrząsł owoców do wody, ale głowa powiedziała, że co to, to nie, ona tam nie pójdzie. Wówczas Maanape z całej siły rzucił daleko jeden owoc i w czasie, kiedy głowa toczyła się poń, bracia zeszli z drzewa i czmychnęli. Biegli i biegli, aż półtorej mili dalej stanęli przed chatą, w której żył magister z Kananei. Dziadyga siedział w progu i czytał uczone manuskrypty. Macunaima przemówił do niego:

— Jak leci, magistrze?

— Nie najgorzej, ignoto viator.

— Zażywamy chłodku, hę?

— C'est vrai, jak mówią Francuzi.

— Fajnie. No to cześć, magisterku, dosyć się spieszę...

I znów wzięli nogi za pas. Migiem przemknęli przez śmietniska muszelek na brzegach Caputery i Morrete. Trochę dalej stała opuszczona chałupa. Weszli i dobrze zamknęli drzwi. Wtedy Macunaima spostrzegł, że zgubił wisiorek. Wpadł w rozpacz, bo była to jedyna pamiątka po Ci. Miał wyjść na poszukiwanie kamienia, ale bracia nie pozwolili. Niezadługo przyturlała się głowa i buch! uderzyła w drzwi.

— A co tam?

— Otwórz, żebym mogła wejść!

Ale czy koza otworzy wilkowi? Co to, to nie! i głowa nie mogła wejść. Macunaima nie

wiedział, że głowa stała się jego niewolnicą i wcale nie zamierza zrobić mu krzywdy. Czekala długo, ale widząc, że nie chce otworzyć, zaczęła rozmyślać, w co by tu się zmienić. Jeśli w wodę, to ją wypiją, jeśli w moskita — strują flitem, jeśli w kolej żelazną, to ją wykołaja, jeśli w rzekę — umieszczą na mapie... Rozstrzygnęła: będę Księżycem. Wrzasnęła:

— Ludzie, otwórzcie, chcę tylko coś wziąć!

Macunaima zerknął przez szparę i ostrzegł Jiguego, który już uchylił drzwi:

— Wypchnij ją!

Jiguê na powrót zamknął drzwi. Od tego poszło wyrażenie „wypchaj się!”, oznaczające, że nie chcemy zrobić tego, o co nas proszą.

Capei widząc, że jej nie otwierają, zaczęła strasznie lamentować i spytała pajaka iandu, czyby nie pomógł jej wspiąć się do nieba.

— Słońce rozpuści mi nić — odparło ogromniaste pajęczysko.

Wtedy głowa poprosiła ptaszki-kacyki, żeby zbiły się w stado i zrobiła się ciemna noc.

— Nocą nikt nie dojrzy mojej nici — rzekło straszdyło-pajęczdyło.

Głowa poleciała w Andy przynieść kalebasę chłodku. I rzekła:

— Wypuszczaj kropelkę co półtorej mili, a nić pobieleje od szronu. I będziemy mogli wejść.

— No to chodźmy.

Iandu zaczął prząść nić na ziemi. Pierwsze tchnienie wietrzyka, który tam harcował, uniosło lekko nić aż do nieba. Wtedy pajęczdyło-straszdyło wspięło się po niej i stamtąd, z góry, wylało odrobinę chłodku. Wielki pajak snuł swoją nić coraz wyżej, a tymczasem jej dolny koniec cały zbieleł. Głowa krzyknęła:

— Żegnaj, mój ludu, bo idę do nieba!

I ląkała nić wznosząc się aż na rozległe niebieskie błonia.

Bracia otwarli drzwi i śledzili Capei, która była coraz wyżej.

— Naprawdę idziesz do nieba, głowo?

— Mmmmm — rzekła, nie mogąc otworzyć ust.

Na jakąś godzinkę przed świtem boiúna Capei dotarła do nieba. Była pękata od masy nici, którą pożarła, i pobladła z wysiłku. Wszystek jej pot spadł na ziemię jako świeża rosa. To przez tę zamrożoną nić Capei jest tak zimna. Przedtem Capei była boiúną, ale teraz jest głową Księżycy na rozległych połaciach nieba. Od tego czasu pajaki iandu woła prząść swoją nić w nocy.

Nazajutrz bracia przetrząsnęli teren aż po brzeg rzeki, ale szukali i szukali nadaremno, po Muirakitanie ani śladu. Pytali się wszystkich stworzeń — żółwi aperema, małpek uistiti, pancerników mulita, szarańczy mussuã z ziemi i drzew, bąków tapiucaba, jaskółek tapera, kukulek matinta-perera, dzięciołków pinica-pau i napowietrznych aracuã, ptaszka-kacyka i jego kuma szerszenia, młodej karaluszki na wydaniu, ptaka krzyżącego „Taam!” i jego towarzyszkę odpowiadającej „Taim!”, jaszczurki udającej kota wobec myszki, rzecznych ryb tambaqui tucunarê pirarucu curimatã, broźców i ibisów z plaży — pecai tapicuru iererê, wszystkich tych żyjących istot, ale żadne niczego nie widziało, nie wiedziało o niczym. I bracia znowu ruszyli w drogę, aby przeczesać domeny cesarskie. Cisza była szkaradna, a też i rozpacz. Macunaima przystawał od czasu do czasu, rozmyślając o swojej przeklętnicy... Jakież nim trzęsło pożądanie! Zatrzymywał się na chwilę. Płakał długo. Łzy, spływające po dziecinnych policzkach bohatera, moczyły włochatą jego pierś. Wówczas wzdychał i trzął małą głową:

— Ach, braciszku! Pierwsza miłość nie rdzewieje!

I szedł dalej. Zewsząd otrzymywał hołdy i ciągle towarzyszyła mu pstrokata świta papużek aratinga i czerwonych arar.

Pewnego razu, gdy wyciągnął się w cieniu oczekując braci, którzy poszli na ryby, Murzynek Pasterzy — Macunaima modlił się do niego co dnia — ulitował się nad nim i po-

stanowił mu pomoc. Posłał ptaszka uirapuru. W pewnej chwili bohater usłyszał niespokojny trzepot i ptaszek uirapuru siadł mu na kolanie. Macunaima zamachnął się i przepędził ptaszka uirapuru. Nie upłynęła nawet minuta, a znów usłyszał szum i ptaszek usiadł mu na brzuchu. Macunaimy i tym razem to nie obeszło. Wówczas ptaszek uirapuru jął wyśpiewywać słodką piosenkę i bohater zrozumiał z niej wszystko. To, że Macunaima był nieszczęśliwy, bo zgubił Muirakitan na plaży, gdy wdrapywał się na drzewo bacupari. Ale teraz — tak brzmiał lament ptaszka uirapuru — przyszła już kryśka na Matyska, bo żółw tracając połknął Muirakitana, a rybak, który go złowił, sprzedał zielony kamień wędrownemu kupcowi z Peru nazwiskiem Waclaw Pietro Pietra. Właściciel talizmanu wzbogacił się i żyje sobie jako tłusty fazendeiro w São Paulo, mieście-molochu, którego stopy liżą wody kanału Tietê.

Powiedziawszy to, ptaszek uirapuru wywinął koziołka w powietrzu i zniknął. Gdy bracia powrócili z połowu, Macunaima rzekł do nich:

— Szedłem sobie drogą i tropiłem jelenia, a tu bęc! coś zimnego spadło mi na plecy. Sięgnąłem ręką i wylazła stonoga, co wyjawiała mi wszystko, jak było.

I Macunaima opowiedział, gdzie jest teraz Muirakitan; oznajmił też braciom, że gotów jest pójść do São Paulo i poszukać tego Waclawa Pietro Pietry i odebrać mu ukradziony wisiorek.

— ...i kaktus mi na dłoni wyrośnie, jeśli znów go nie dostanę! Pójdziecie ze mną — to dobrze; nie — to lepiej być samemu niż w lichej kompanii! Ale ja, jak się uprę, to wołem mnie nie ruszy, i jak sobie coś wbiję do głowy, to koniec! Muszę iść sam, choćby po to, żeby zamknąć dziób temu uirapuru, nie, co ja mówię! tej stonodze.

Skończywszy przemówienie, Macunaima wybuchnął śmiechem na myśl o numerze, jaki wytnie ptaszкови. Maanape i Jiguê postanowili iść razem z nim, przecież nasz bohater potrzebował opieki.

PIAIMAN

Następnego dnia, bardzo wcześnie, Macunaima wskoczył do czółna i udał się aż do ujścia Czarnej Rzeki, żeby na wyspie Marapatá zostawić swoje sumienie. Umieścił je troskliwie na wierzchołku dziesięciometrowego kaktusa-świecznika, tak by nie pożarły go mrówki saúva. Wrócił na miejsce, gdzie oczekiwali go bracia, i w samo południe wszyscy trzej wyruszyli na lewy brzeg Słońca.

Wiele im się przydarzyło w czasie tej podróży przez chaszczce rzeki bystrzyny zagaje parowy gliniaste ścieżyny puszcze dziewicze i cuda sertonu. Macunaima z oboma braćmi zdążył do São Paulo. Podróż ułatwiła im Araguaia. Przez te wszystkie podboje i wyczyny nasz bohater nie odłożył nawet złamanego szeląga, ale przecież skarby odziedziczone po Amazonce-gwieździe leżały sobie ukryte w grotach Roraimy. Z tych skarbów Macunaima wybrał na podróż nie mniej niż czterdzieści razy po czterdzieści milionów owoców kakao-wca, tradycyjnej monety. Załadował nimi całą masę łódek. Śliczności był to widok — to mnóstwo dłubanek rozciągniętych na wodach Araguai, ze dwieście ich było poszczepianych jedna za drugą, niczym strzała na skórce rzeki. Na dziobie pierwszej stał posępny Macunaima, wypatrując w oddali miasta. Medytował i medytował obgryzając palce pokryte kurzajkami od bezustannego wskazywania na Ci — gwiazdę. Bracia robili przy wiosłach płosząc moskity, a każde uderzenie wiosłem wprawiało w rozkołys wszystkie dwieście powiązanych czółen i strącało na powierzchnię rzeki kupę owoców, zostawiając na niej czekoladową pokrywę, którą raczyły się ryby camuata pirapitinga dorady piracanjuba uaru-uará i bacu.

Pewnego razu Słońce okryło trzech braci łuską potu i Macunaima przypomniał sobie o kąpieli. Ale w rzece nie było można z powodu piranii, tak żarłocznych, że niekiedy walcząc o jakiś szczątek rozszarpanej siostrzycy wyskakiwały całymi chmurami ponad wodę na metr albo i wyżej. Ale oto Macunaima spostrzegł pośrodku rzeki ogromny głaz, a w nim wydrążenie pełne wody. A dziura ta miała kształt jakby śladu stopy olbrzyma. Przybili. Bohater, wydawszy wiele okrzyków, bo woda była chłodna, wszedł do tej jamy i wymył się caluteńki. Ale woda była zaczarowana, bo ta dziura w głazie została jako odcisk stopy Sumego z czasów, kiedy wędrował on głosząc Ewangelię Jezusa Indianom brazylijskim. Gdy bohater wyszedł z kąpieli, był biały, jasnowłosy i niebieskooki, woda zmyła całą jego czerń. I nikt nie mógł rozpoznać w nim syna smolistocznego plemienia Tapaniumas.

Jiguê ujrzawszy ten cud, od razu rzucił się w odcisk stopy Sumego. Woda jednak była już bardzo brudna od czerni bohatera i choć Jiguê szorował się jak opętaniec, rozchlapując ją na wszystkie strony, zdołał jedynie oblec się w barwę jasnobrązową. Macunaimie zrobiło się go żal, więc go pocieszył:

— No, braciszku Jiguê, biały to ty nie będziesz, ale lepsze to niż nic!

Wtedy do mycia zabrał się Maanape, ale Jiguê wychlapał już był całą zaczarowaną wodę z tego zagłębienia; została jej tylko odrobina na dnie, tak że Maanape mógł zamoczyć jedynie dłonie i stopy. I dlatego pozostał czarny, jak przystało prawdziwemu synowi Tapaniumasów, tyle tylko, że dłonie i stopy ma od wewnątrz czerwone, bo zwilżyła je święta woda. Macunaimie zrobiło się go żal, więc go pocieszył:

— Nie martw się, braciszku Maanape, nie martw, nasz wujaszek Judasz musiał się nacierpieć o wiele więcej!

I ślicznie wyglądali trzej braciszkwowie w słońcu na tej skale: jeden jasnoskóry drugi czerwony trzeci czarny, wyprostowani i nadzy. Wszystkie leśne stworzenia patrzyły oszołomione. Kajmany jacareúna i jacaretinga ze szczęką w czarne plamy i kajman okularnik i czarny wielki kajman açu i jacaré-ururau z żółtym podgardlem, wszystkie te kajmany wybałuszyły z wody swe kamykowate oczy. W gałęziach drzew ingá aninga puchowców embaucha i wodnych catauari wszystkie czterdzieści gatunków małp Brazylii — makak-gwóźdz makak czarnowargi małpy brodacze i wyjce i brzuchate cuatá — wszystkie gapiły się oślinione z zazdrości. A znów ptaszki sabiá sabiacica sabiapoca sabiauna sabiapiranga sabiagonga co to gdy-je-to-nic-nie-da sabiá barranco sabiá tropeiro sabiá pomarańczówka i sabiá gute — wszystkie one osłupiały i zapomniały dokończyć swoich tryłów, wrzeszczały tylko i wrzeszczały jak najęte. Zezłiło to Macunaimę. Wziął się pod boki i huknął na przyrodę:

— Niczego nigdy nie widziałś!

Wówczas wszystkie stwory przyrody rozpierchły się do swego normalnego życia, a trzej bracia znów ruszyli w drogę.

No i znaleźli się na terenach kanału Tietê, gdzie właśnie zapanowała moda na kawę burbon, a tradycyjnym pieniądzem nie były już owoce kakaowca, lecz coś, co się nazywało forsa flota dzięki drut miedziaki grosiwo patyki pięćsetki tysiączki smoluchy kawałki koła papierki badyle szmal, tak że nawet podwiązki od pończoch nie można było dostać za dwadzieścia tysięcy *cacaus*. Macunaimę bardzo to rozdrażniło. On, bohater, miałby iść do pracy... Mruknął zrozpaczony:

— Cholera!...

Postanowił rzucić całą tę zabawę i wrócić w strony, których był cesarzem. Ale Maanape powiedział tak:

— Nie bądź mięczak, braciszku! Gdy jeden krab zdechnie sobie, nie będą wszystkie w żałobie, do diaska! Nie upadaj na duchu, załatwię tę sprawę!

Po przybyciu do stanu São Paulo odłożył trochę skarbu do worków, żeby mieli co jeść, a resztą zaczął grać na Giełdzie i zarobił z osiemdziesiąt tysięcy rejsów. Maanape był czarownikiem. Osiemdziesiąt badyli to nie było wiele, ale bohater namyślił się dobrze i rzekł do

braci:

— Cierpliwości. Damy sobie radę i z tym, a kto chce jechać na koniu bez płamki, niech idzie piechotą...

I Macunaima żył z tego grosiwa.

I o pewnym chłodnym zmierzchaniu bracia napotkali ogromne miasto São Paulo rozłożone na brzegu kanału Tietê. Najpierw rozebrzmiał wrzask imperialnej papuziej świty, żegnającej bohatera. I pstrokata zgraja powróciła w północne lasy.

Bracia zanurzyli się w gęstwinie palm inajá ouricuri ubussu bacaba mucajá miriti tucumã powiewających wysoko w górze pióropuszcami dymu, a nie pierzastymi liśćmi i orzechami kokosowymi. Wszystkie gwiazdy zeszyły z nieba bardzo pobielatego od gęstej mżawki i błądziły po mieście. Macunaimie zachciało się poszukać Ci. Ech, jej to już nigdy nie zdoła zapomnieć, bo zaczarowany hamak do igraszek splotła była z własnych włosów, a to sprawia, że tkaczka staje się niezapomniana. Macunaima szukał i szukał, ale drogi i place zatłoczone były tak bielutkimi, tak jaśniutkimi, tak... Macunaima jęknął. Ocierał się o dziewczęta pomrukując przymilnie: „Mani, Mani! ach, dziewczuszki z maniokowej mączki...” zupełnie oglupiały od przyjemności i takiej urody. Wreszcie wybrał sobie trzy. Zabawił się z nimi na dziwacznym hamaku rozłożonym na ziemi, w chacie wyższej niż góry Paranaguara. Potem, z powodu twardości owego hamaka, zasnął rozciągnięty w poprzek na ciałach dziewcząt. I ta noc kosztowała go cztery patyki.

Inteligencja naszego bohatera doznała wielkich zakłóceń. Zbudziły go wrzaski gawiedzi zwierzęcej miotającej się w dole, na ulicach, wśród przerażających chat. No i ta cholerna mała sagui-açu, co zawlokła go na szczyt tej ogromnej chałupy, gdzie spał... Jaka masa zwierząt: chrząkających wilkołaków demonów diabłów jurupari duszków sacy błędnych ogników boitatá na ścieżkach, w podziemnych jamach, w łańcuchach wzgórz podziurawionych grotami, skąd wylewa się biały, bielutki tłum na pewno ulepiony z maniokowej mączki... Bardzo była zmacona inteligencja bohatera. Dziewczyny ze śmiechem pouczyły go, że ten sagui-açu to nie był żaden sagui, tylko że nazywało się to winda i było maszyną. Rankiem wytłumaczyły mu, że wszystkie te świsty kukania gwizdy chrząknięcia trzaski to wcale nie było to, tylko klaksony dzwonki gwizdy trąbienie i że wszystko to z maszyn. Brunatne jaguary to nie były brunatne jaguary, nazywały się one fordys upmobile szewrolety dodże i były maszynami. Mrówkojady ogniki palmy inajá z pióropuszcami dymu były to natomiast ciężarówkami tramwaje trolejbusy ogłoszenia świetlne zegary reflektory radia motocykle telefony posterunki patefony... Wszystko maszyny, w całym mieście były tylko maszyny! Bohater uczył się w milczeniu. Od czasu do czasu wzdrygał się. I znów pogrążał się w bezruchu słuchając, rozmyślając i medytując w osłupieniu. Przejął go szacunek pełen zazdrości wobec tej rzeczywistości przepotężnej bogini, osławionej Tupan, którą ludzie z maniokowej mączki zwali Maszyną, i większe znającej czary niż Matka Wód, z tym swoim przeraźliwym zgiełkiem.

Wtedy postanowił iść i zabawić się z Maszyną, żeby zostać także cesarzem ludzi z maniokowej mączki. Ale trzy dziewczuchy bardzo się uśmieły i powiedziały, że te historie z bogami to stare, wierutne bujdy, że nie ma żadnych bogów i że z maszyną nie można się zabawiać, bo zabije. Maszyna to nie żaden bóg, nie ma też ona cech żeńskich, które tak lubi nasz bohater. Zrobiona została przez ludzi. Porusza się za pomocą elektryczności ognia wiatru dymu, bo ludzie wykorzystują siły natury. Ale kto uwierzy w takie bujdy? no, na pewno nie nasz bohater! Usiadł na łóżku i w takim, o! geście pogardy uderzył lewym przedramieniem o zgięte prawe ramię, kiwając energicznie prawym przegubem w stronę trzech dziewczuch, i poszedł sobie. W tej właśnie chwili, jak powiadają, wynalazł ów słynny obelżywy gest — a takiego!

I wraz z braćmi zamieszkał w pensjonacie. Usta miał pełne wrzodziańki po tej pierwszej nocy miłosnej w Sao Paulo. Jęczał z bólu i nie było sposobu, żeby go wyleczyć, aż Maanape ukradł klucz od tabernakulum i dał go Macunaimie do ssania. Bohater ssał, ssał i

wyzdrowiał. Maanape to był czarownik.

Następny tydzień Macunaima spędził nie jedząc i nie zabawiając się, rozmyślał tylko o tych kończących się przegraną zwadach ludzi z maniokowej mączki z Maszyną. Maszyna ich zabijała, ale przecież to ludzie rozkazywali Maszynie... Skonstatował osłupiały, że ludzie z maniokowej mączki są pozbawionymi tajemnicy i mocy panami maszyny pozbawionej tajemnicy woli sumienia obrzydzenia: sam nie potrafił wytłumaczyć tych pechowych przypadków. Ogarnęła go więc melancholia. Aż pewnej nocy, zawieszony wysoko wraz z braćmi na tarasie jakiegoś drapacza chmur, Macunaima zakonkludował:

— Ani ludzie z maniokowej mączki nie mogą w tej walce dać rady maszynie, ani ona im. Remis.

I na tym skończył, bo nie przyzwyczał się jeszcze do gadania, ale coś mu mówiło, bardzo niejasno, bardzo! że ta maszyna to musi być jednak bóg, nad którym tak naprawdę ludzie nie mają władzy, choćby dlatego, że nie zrobili z niej zwykłej i pospolitej Jary, wodnej boginki, lecz tylko rzecz należąca do realnego świata. Z całego tego mętliku jego umysł wydobył jedną jedyną, jasną jak słońce myśl: otóż to ludzie są maszynami, a maszyny — ludźmi. Macunaima wybuchnął gromkim śmiechem. Zrozumiał, że znów jest wolny i pierońsko go to ucieszyło. Zamienił Jiguego w maszynę telefoniczną i zadzwonił do kabaretów, żeby zamówić langusty i Francuzki.

Nazajutrz tak był wyczerpany tą bibą, że padł pod ciosem tęsknoty. Przypomniawszy sobie o Muirakitanie. Postanowił działać natychmiast, boć tylko pierwszym ciosem można zabić węża.

Wacław Pietro Pietra mieszkał w cudownej chacie otoczonej lasem przy końcu ulicy Maranhão wychodzącej na wilgotny stok góry Pacaembu. Macunaima powiedział Maanapemu, że skoczy tam na chwilę, bo ma ochotę poznać Wacława Pietro Pietrę. Maanape wygłosił mowę wykazując, że te odwiedziny to rzecz niebezpieczna, bo kramarz chodzi piętami do przodu, a jeśli tak został naznaczony przez Boga, to musi być w tym przestroga. To na pewno jakiś zły duch Manuari... Kto wie, może nawet olbrzym Piaiman, ludojad!... Macunaima puścił to mimo uszu.

— A co mi tam, idę! Gdzie mnie znają, to i szanują, a gdzie nie znają mnie, to uszanują albo i nie!

No i Maanape poszedł z bratem.

Za chatą handlarza żyło sobie drzewo Dzalaúraiegue, co rodzi wszelkie owoce: orzeszki caju śliwce cajú cajúamanga mango ananasy abacate jaboticaba jabłka z Jamajki pigwice wilhelmki piaangi guajiru „woń pachy Murzynki” — wszystkie możliwe owoce, drzewo bardzo wysokie. Obu braciom chciało się jeść. Z liści naciętych przez mrówki saúva zrobili kryjówkę na najniższym konarze drzewa, aby szyc stamtąd strzałami w zwierzęta pożerające owoce. Maanape rzekł do Macunaimy:

— Słuchaj, jeśli jakiś ptaszek zaśpiewa, to ani mru-mru, bo inaczej wszystkie czary diabli wezmą!

Bohater kiwnął głową, że tak. Maanape wypuszczał strzały z dmuchawki, a Macunaima układał za sobą padającą zwierzynę. Padała z wielkim hałasem i Macunaima zbierał całą tę zwierzecą hałastrę — kuropatwy macuco małpy makaki kuraki mutum jacu jaó tukany. Ale rumor wyrwał Wacława Pietro Pietrę z farniente, przyszedł zobaczyć, co się dzieje. A ten Wacław Pietro Pietra to był olbrzym Piaiman, ludojad. Stanął w drzwiach domu i zaśpiewał po ptasiemu:

— Ogoró! ogoró! ogoró!

a głos dochodził niby w wielkiej oddali. Macunaima zaraz odpowiedział:

— Ogoró! ogoró! ogoró!

Maanape, świadom niebezpieczeństwa, szepnął:

— Skryj się, braciszku!

Nasz bohater ukrył się wśród ubitej zwierzyny i mrówek. Wtedy nadszedł olbrzym.

— Kto to odpowiadał?

Maanape odrzekł:

— Nie wiem.

— Kto odpowiadał?

— Nie wiem.

I tak trzynaście razy. Potem olbrzym powiedział:

— To był człowiek. Pokaż mi go.

Maanape rzucił martwego makaka. Piaiman połknął makaka i rzekł:

— To był człowiek. Pokaż mi go.

Maanape rzucił martwą małpę. Piaiman połknął ją i znów powiedział:

— To był człowiek. Pokaż mi go.

I dojrzał mały palec schowanego bohatera, i wypuścił w jego kierunku strzałę. Dał się słyszeć przeciągły jęk, uuuuu! i Macunaima zwinął się, ugodzony w serce. Olbrzym rzekł do Maanapego:

— Rzuć mi człowieka, którego zabiłem!

Maanape rzucał małpy wyjce kuraki jaó mutum kuropatwy bażanty uru urumutum, no, cały ten zwierzyniec, ale Piaiman łykał i łykał i ciągle żądał człowieka, którego ustrzelił. Maanape nie chciał wydać bohatera i rzucał zwierzynę. W ten sposób zeszło dużo czasu, Macunaima dawno już umarł. Na koniec Piaiman ryknął okropnie:

— Maanape, synu, dość tego gadania! Rzuć człowieka, którego upolowałem, bo inaczej ciebie utłukę, stary łobuzie!

Ale Maanape wcale nie chciał rzucić brata, więc zdesperowany chwycił sześć zabitych zwierząt naraz małpkę macuco makaka jacu jacutingę kurę angolską i kurę jaçana, i rzucił je na ziemię krzycząc:

— Bierże szóstkę!

Piaimana szlag trafił ze złości. Wyrwał cztery drzewa w lesie: acapurane angelim spió i carará, i rzucił się na Maanapego:

— Zjeżdżaj mi stąd, gnojku! Wóz albo przewóz, co mi tam twoja szóstka, ja tu mam na ciebie dobre cztery trefle, ty szachraju!

Wtedy Maanape bardzo się przeraził i łuuup! rzucił na ziemię naszego asa. W ten to sposób Maanape i Piaiman wynaleźli szlachetną grę karcianą truco.

Piaiman uspokoił się.

— O tego mi szło.

Złapał nieboszczyka za nogę i powlókł za sobą. Wszedł do domu.

Zrozpaczony Maanape zszedł z drzewa. Kiedy zamierzał ruszyć za zmarłym braciszkiem, spotkał się z małą mrówką sarará o imieniu Cambgique. Mrówka zapytała:

— Co tutaj porabiasz, kumie?

— Idę za olbrzymem, co zabił mojego brata.

— Idę z tobą.

I Cambgique wyssała całą krew bohatera rozlaną po ziemi i gałęziach; wysysając krople leżące na drodze wskazywała w ten sposób ślad Maanapemu.

Weszli do domu, przecięli hall i jadalnię, przeszli przez kredensowy, wyszli na boczny taras i stanęli przed suteroną. Maanape zapalił żagiew ze szczapy jutai, tak że mogli zejść po ciemnych schodkach. W samych drzwiach piwnicy kropił się jeszcze ostatni ślad krwi. Drzwi były zamknięte. Maanape podrapał się w nos i spytał Cambgique:

— No i co teraz?

Wówczas popod drzwiami prześliznął się kleszcz Zlezleg i zapytał Maanapego:

— Jakie teraz, kumie?

— No, idę za olbrzymem, co zabił mojego brata.

Zlezleg powiedział:

— W porządku. No to zamknij oko, kumie.

Maanape zamknął.

— Otwórz oko, kumie.

Maanape otworzył, a tu leży kleszcz Zlezleg zamieniony w klucz yale. Maanape podniósł klucz z ziemi i otworzył drzwi. Zlezleg znów zamienił się w kleszcza i pouczył go:

— Z pomocą tych tam butelek, z góry, poradzisz sobie z Piaimanem.

I zniknął. Maanape wziął dziesięć butelek i odkorkował je, cudowny z nich się dobył aromat. Był to słynny biber cauim zwany chianti. Wtedy Maanape przeszedł do następnej piwnicy. Siedział tu olbrzym ze swoją towarzyszką, starą dzikuską wечно pykającą fajkę; zwała się ona Ceiuci i była bardzo łakoma. Maanape wręczył butelki Wacławowi Pietro Pietrze, dzikusce dał zwitek tytoniu Acará i oboje zapomnieli o bożym świecie.

Nasz zuch, posiekany i poszatkowany na sześćset kąsków, pływał w bulgoczącej polencie. Maanape wyłowił wszystkie kawałeczki oraz kości i rozłożył je na betonie, żeby ostygły. Gdy już ostygły, sarará Cambigue spryskała je wyssaną krwią. Wtedy Maanape zwinął okrwawione kawałki w liście bananowca, wrzucił pakunek do marynarskiego koszyka i wziął kurs na pensjonat.

Kiedy się tam znaleźli, postawił kojber na ziemi, wdmuchnął weń dym i Macunaima, jeszcze na pół nieprzytomny i blady jak trup, wygramolił się spośród liści. Maanape dał bratu guarany i znów zrobił się z niego chłop na schwał. Utłukł kilka moskitów i zapytał:

— Co to się ze mną działo?

— Serdeńko ty moje, czy ci nie mówiłem, żebyś nie odpowiadał na ptasie zaśpiewki! mówiłem, no nie, a więc...

Następnego dnia Macunaima zbudził się chory na szkarlatynę, przez cały czas w gorączce rozmyślał o tym, że powinien mieć maszynę-pistolet, żeby wykończyć Wacława Pietro Pietrę. Jak tylko wyzdrowiał, poszedł do domu Anglików i zażądał smith-wessona. Anglicy powiedzieli:

— Pistolety są jeszcze zielone, ale zobaczymy, może któryś już dojrzał.

I poszli pod drzewo-pistoletowiec. Anglicy rzekli:

— Stań tu i czekaj. Jak się urwie jakiś pistolet, to łap. Ale żeby nie upadł na ziemię!

— W porządku.

Anglicy potrząsnęli drzewem raz i drugi i spadł jeden dojrzały pistolet. Anglicy powiedzieli:

— Ten jest w sam raz.

Macunaima podziękował i poszedł sobie. Chciał, żeby inni sądzili, że on gada po angielsku, ale nie umiał powiedzieć nawet sweetheart, za to bracia umieli. Maanape też zapragnął mieć pistolet, kule i whisky. Macunaima poradził:

— Ty, Maanape, nie umiesz dobrze po angielsku, pójdiesz i wrócisz jak zmyty. Poproś o pistolet, a dadzą ci konserwy. Ja pójdę za ciebie.

I po raz drugi poszedł pogadać z Anglikami. Pod drzewem-pistoletowcem trzęśli i trzęśli gałęziami, ale nie spadł ani jeden pistolet. Wtedy poszli pod drzewo-kulowiec; Anglicy zatrzęśli nim i oberwał się z niego grad kul, których Macunaima nie łapał, tylko pozbierał z ziemi.

— Teraz whisky — powiedział.

Poszli pod whiskowiec, Anglicy potrząsnęli nim i urwały się dwie skrzynki, które Macunaima złapał w powietrzu. Podziękował Anglikom i wrócił do pensjonatu. Tam schował obie skrzynki pod łóżkiem i poszedł porozmawiać z bratem:

— Pogadałem z nimi po angielsku, braciszku, ale nie mieli już ani pistoletów, ani whisky, bo przeszła tamtędy kolumna drapieżnych mrówek i wszystko zeżarła. Kule mam tutaj. Oddaję ci swój pistolet, a jak ktoś będzie do mnie szurał, to palnij mu w łeb.

Po czym zmienił Jiguego w maszynę telefoniczną, zadzwonił do olbrzyma i sklął go od maci.

FRANCUZKA I OLBRZYM

Maanape bardzo lubił pić kawę, a Jiguê — spać. Macunaima chciał zbudować szałas, żeby wszyscy trzej mieli gdzie mieszkać, ale zanimby go ukończył — ho, ho! Robota nie udawała się nigdy, bo Jiguê cały boży dzień spędzał na spaniu; Maanape zaś — na picciu kawy. Nasz bohater rozzłościł się, chwycił łyżkę, zmienił ją w robaka i powiedział:

— Schowaj się teraz w proszku kawowym. Kiedy bratu Maanape zechce się pić, ugryź go w język!

Potem wzięwszy motek bawełny zmienił go w ohydny gąsienicę mandorová i rzekł:

— A ty schowasz się w hamaku. Kiedy brat Jiguê będzie chciał spać, zacznij ssać jego krew!

Jak tylko Maanape wszedł do pensjonatu, żeby znów napić się kawy, robak uciał go w język:

— Aj! — wrzasnął Maanape.

Na co ten spryciarz Macunaima:

— Co, boli, braciszku? Mnie tam nie boli, jak mnie gryzie robaczek.

Maanape zeźlił się. Wyrzucił robaka bardzo daleko, mówiąc:

— Won, zarazo!

Wtedy wszedł Jiguê, żeby uciąć sobie drzemkę. Bielutka gąsienica tak się opila jego krwi, że aż poróżnowiała.

— Aj! — wrzasnął Jiguê.

Macunaima na to:

— Braciszku, boli cię? Widzisz, ja to nawet lubię, jak taka gąsieniczka ssie moją krew.

Jiguê się wściekł i cisnął gąsienicę precz, mówiąc:

— Won, zarazo!

I trzech bracia znów zabrali się do stawiania szałasów. Maanape i Jiguê stali po jednej stronie, a Macunaima po drugiej — chwycił cegły rzucając przez braci. Maanape i Jiguê strasznie byli wkurzeni na braciszka i pragnęli się zemścić. A bohater niczego się nie domyślał. I bach, Jiguê złapał cegłę, ale żeby nie przesadzić, zamienił ją w kulę z bardzo twardej skóry. Podał do Maanapego, wysuniętego bardziej do przodu, a Maanape strzelił prosto w Macunaimę i rozkwasił mu nos.

— O jo jo jo jo j! — zawrzęsnał bohater.

A te przechery braciszku w krzyk:

— Ajajajajaj, braciszku, boli, co? Ale przecież jak piłka uderzy w człowieka, to nie boli!

Macunaimę ogarnęła wściekłość i nogą posłał piłkę hen, daleko, mówiąc:

— Precz, zarazo!

Podszedł do braci:

— Już nie buduję tego szałasów, szlus!

I zamienił cegły kamienie dachówki narzędzia w chmurę skrzydlatych mrówek icá, które na trzy dni zawładnęły miastem São Paulo.

Robak spadł w Campinas, gąsienica gdzieś dalej, a piłka — na pole. W ten to sposób Maanape wynalazł robaka kawowego, Jiguê — różową gąsienicę plantacji bawełnianych, a

Macunaima — futbol: trzy plagi narodowe.

Nazajutrz bohater, myślami ciągle przy swojej przeklętnicy, zdał sobie sprawę, że powinna mu się noga; nigdy już nie będzie mógł się pojawić na ulicy Maranhão, bo teraz Waclaw Pietro Pietra zna go doskonale. Dumał i gdzieś około godziny piętnastej wpadł na pomysł: postanowił oszukać olbrzyma. Wsadził sobie do gęby gwizdek, zmienił Jiguego w maszynę telefoniczną i zadzwonił do Waclawa Pietro Pietry, że niby chce z nim rozmawiać o maszynie-interesie pewna Francuzka. Tamten odrzekł, że w porządku i żeby przysłała zaraz, bo stara Ceiuci z dwiema córkami właśnie wyszła, więc będzie można robić ten interes swobodniej.

Wtedy Macunaima pożyczył od właścicielki pensjonatu parę śliczności stroidełek: maszynę-szminkę, maszynę-jedwabne pończoszki, maszynę-kombinację pachnącą capim-cheiroso, maszynę-pas o aromacie melisy, maszynę-dekolt zwilżony perfumami Patchouli, maszynę-mitenki — wszystkie te upiększydełka włożył na siebie, na piersiach zawiesił sobie dwie szypułki bananowca i tak się wyszykował. I aby dokończyć dzieła, kawałkiem drzewa kampszewego podmalował na niebiesko swoje oczka dzieciaka, które przybrały rozmarzony wyraz. Tyle miał na sobie, że zrobił się dość ociężały, ale przedzierzgnął się w tak śliczną Francuzeczkę, że z patriotyzmu wyperfumował się jeszcze juremą i przyszpilił sobie gałązkę sosny paragwajskiej, aby zażegnać zły urok. I poszedł do pałacu Waclawa Pietro Pietry. A ten Waclaw Pietro Pietra to przecież był olbrzym Piaiman, ludojad.

Gdy wychodził z pensjonatu, napotkał kolibra z ogonem w kształcie nożyczek. Zły to był omen i zamierzał nie pójść na spotkanie, ale słowo się rzekło, więc wymamrotał zaklęcie i poszedł.

Olbrzym czekał na niego w drzwiach. Po wielu reweransach obiskał Francuzkę z kle-szczy i zaprowadził ją do cudownej alkowy o rzeźbionych wspornikach z drewna acaricuary i belkowaniu z itauby. Parkiet był w szachownicę z drzewa muirapiranga i drewna satynowego. Alkova wyposażona była w słynne białe hamaki z Maranhão. Pośrodku stał stół z rzeźbionej żakarandy, a na nim biało-czerwona porcelana z Breves i fajans z Belém, porozstawiane na koronkowym obrusie z włókien bananowca. W ogromnych misach pochodzących z jaskiń rzeki Cunani dymiała tapioka przepawiona tucupi, zupa z mieszkańca Sao Paulo, co skruszał przedtem w chłodni spółki „Continental”, potrawka z kajmana i polenta. Co do win, to był tam mocny klaret Ica z Iquitos, podrabiane porto z Minas, osiemdziesięcioletnia caïçuma, dobrze zamrożony szampan z São Paulo i nalewka — o wielkiej sławie — z genipapy, obrzydliwa jak deszczowa trzydniówka. Były jeszcze — porozkładane z wielkim smakiem dekoratorskim i pozawijane w papierki — pyszne cukierki „Falchi” i biszkopty z Rio Grande spiętrzone w czarnych, lśniących tykwach z Monte Alegre, zdobnych w rysunki rżnięte kozikiem.

Francuzka rozsiadła się w hamaku i czyniąc wdzięczne gesty zaczęła wcinać. Była bardzo głodna, więc opchała się nieźle. Potem, żeby przepłukać gardło, wychyliła kieliszek klaretu i postanowiła od razu złapać byka za rogi. Natychmiast spytała, czy to prawda, że olbrzym posiada kamień Muirakitan w kształcie kajmana jacaré. Olbrzym wyszedł, wrócił z konchą w dłoni i wyciągnął z niej zielony kamień. Był to Muirakitan! Macunaimie aż zimno zrobiło się w środku ze wzruszenia, .czuł, że wybuchnie płaczem. Ale maskował się doskonale i zapytał, czy olbrzym nie chciałby sprzedać kamienia. Waclaw Pietro Pietra jednak szelmowsko mrugnął, mówiąc, że dać to może i da, ale nie za pieniądze. Wówczas Francuzka zaczęła prosić go na wszystkie świętości, żeby jej tylko wypożyczył kamień do domu. Waclaw Pietro Pietra po raz drugi mrugnął łobuzersko mówiąc, że go ani nie sprzeda, ani nie pożyczy.

— Więc ty sobie myślisz, Francuzeczko, że ja tak od razu ustąpię, dla twoich pięknych oczu, co? Mowy nie ma!

— Ale ja bym tak chciała mieć ten kamień!...

— A chciej sobie, chciej!

- Ja tylko tak, dla hecy, wcale mi na nim nie zależy, przekupniu!
— Tylko nie przekupniu, Francuzeczko! Gryźnij się w język! Jam jest kolekcjoner!

Wyszedł i wrócił z ogromnym koszem na kury, zrobionym z włókien embiry i pełnym kamieni. Były tam turkusy szmaragdy beryle otoczaki, żelaziaki w kształcie igiełek, chryzolity „kropla wody” oliwiny kryształy szmergle żwiry kwarce „gołębie jaja”, krzemienie „końskie gnaty” siekiery noże grotty strzał z kamienia łupanego amulety głązy skamieniałe słonie, kolumny greckie, bożki egipskie, posążki Buddy z Jawy, obeliski, stoły meksykańskie, złoto gujańskie, kamienie ptasiokształtne z Iguape, opale z igarapê Alegre, rubiny i granaty z rzeki Guripi, itamotingi znad rzeki Garças, kwarcyty, turmaliny z Vupabuçu, bloki tytanu z rzeki Piriá, boksyty znad potoku Małp, skamieliny wapienne z Pirabas, perły z Cametá, ogromny głaz, jaki Oaque, ojciec Tukana, wystrzelił ze swojej dmuchawki stamtąd, z tej góry, litoglif z Calamare — wszystkie rodzaje kamieni były w tym koszu.

Wtedy Piaiman powiedział Francuzce, że jest sławnym kolekcjonerem, zbieraczem kamieni. A ta Francuzka to był Macunaima, nasz bohater. Piaiman wyznał, że największym klejnotem kolekcji jest właśnie Muirakitan o kształcie jacaré, kupiony za tysiąc patyków od cesarzowej Amazonek, hen na plaży jeziora Jaciuruá. Wszystko to było łgarstwem olbrzyma. I nagle usiadł w hamaku bardzo blisko

Francuzki, bardzo! i zaczął jej szeptać, że za żadne pieniądze ani nie sprzeda, ani nie pożyczy kamienia, ale dać, to może i da... w pewnych okolicznościach... Olbrzym chciał zabawić się z Francuzką, ot co. Zrozumiawszy po zachowaniu Piaimana, co znaczy „w pewnych okolicznościach”, nasz bohater bardzo się zaniepokoił. Kombinował: „Ten olbrzym chyba naprawdę myśli, że jestem Francuzką!... A idźże w cholerę, bezwstydnym Peruwiańczyku!” I wybiegł do ogrodu. Olbrzym za nim. Francuzka czmychnęła w krzaki, żeby się ukryć, ale wpadła tam na Murzyneczkę. Macunaima szepnął do niej:

— Katarzyno, zwiewaj mi stąd!

Katarzyna ani drgnie. Macunaima, nieźle już wkurzony przez tę łotrzycę, szepnął:

— Katarzyno, zjeżdżaj stąd, bo ci przyłożę!

Mulateczka nic. Wtedy Macunaima trzepnął porządnie tę zgagę i dłoń mu w niej uwiązła.

— Katarzyno, puść moją rękę i spływaj, bo przyłożę ci jeszcze!

Otóż Katarzyna była kukłą z wosku carnauby, postawioną tam przez olbrzyma. I stała sobie cichutko. Wolną ręką Macunaima trzepnął ją drugi raz i przykleił się jeszcze bardziej.

— Katarzyno, Katarzyno, puść mi ręce i spływaj stąd, kocmołuchu, bo jak nie, to cię kopnę!

Wymierzył jej kopniaka i ugrzązł jeszcze bardziej. W końcu bohater całkiem przykleił się do Kaški. Wtedy nadszedł Piaiman z koszem. Uwolnił Francuzkę z pułapki i ryknął do koszyka:

— Koszu, otwórz gębę, otwórz wielką swoją paszczę!

Kosz rozwarł gębę i olbrzym wpuścił do niej bohatera. Kosz na powrót zamknął gębę, Piaiman wziął go na plecy i wrócił do domu. Francuzka zamiast torebki miała sajdaczek, w którym trzyma się strzałki do dmuchawki. Olbrzym zostawił kosz oparty o drzwi i pocwałował do wnętrza domu, żeby schować sajdaczek pośród kamieni swej kolekcji. A ten sajdaczek zrobiony był z tkaniny woniejącej upolowaną zwierzyną. Olbrzymowi coś się w tym nie spodobało, więc spytał:

— Czy twoja matka, dziecino, też jest taka pachnąca i grubiotka jak ty?

I aż wywrócił oczyma z lubości. Ubzdurał sobie, że sajdaczek jest synem Francuzki. A tą Francuzką był nasz bohater Macunaima. Z wnętrza kosza usłyszał pytanie i bardzo się nim zaniepokoił. „Więc ten Waćław wyobraża sobie naprawdę, że przeszedłem pod tęczę i zmieniłem swoją naturę? Zgiń, przepadnij, siło nieczyste!” I dmuchnął proszkiem z korzenia cumacá, który ma własność rozluźniania sznurów, rozluźnił wiązanie kosza i wyskoczył na

zewnątrz. Właśnie gdy wychodził, natknął się na kundla olbrzyma: zwał się on Xareu, imieniem ryby, żeby nie dostał wodowstrętu. Bohater wystraszył się bardzo i wziął nogi za pas, jak zając zmykał przez park, a kundel następował mu na pięty. Gnali tak i gnali. Przemknęli obok Cypla Karceru, skierowali się na Guajará-Mirim i skręcili na wschód. W Itamaracá Macunaima pofolgował trochę, w sam raz tyle, żeby zdążyć przełknąć pół tuzina mango-jaśminowców, które wyrosły, jak powiadają, z ciała dony Sanchy. Wzięli teraz kurs na południowy zachód i pośród wzgórz Barbaceny nasz uciekinier spostrzegł krowę, gdzieś u szczytu stromej ścieżki najeżonej ostrymi kamieniami. Zachciało mu się mleka. Jako niezły cwaniak pobiegł w górę brukowaną alejką, żeby się nie zmęczyć, ale ta krowa była rasy Guzerá, bardzo narowistej. Zatrzymała tę swoją kapeńkę mleka, ale Macunaima wyrecytował takie oto zamawianie:

*Pomóście, Święta Panienczko
i z Nazaretu święty Antoni,
krówka łagodna sama da mleczko,
dzika, jak zechce, też nie wzbroni!*

Krowie się to spodobało, dała mu mleka, więc pomknął na południe. Przeskoczył Paranę przebiegłszy tam i z powrotem całą pampę i chciał się wdrapać na drzewo, ale ujadanie bieгло za nim tuż-tuż, kundel deptał naszemu zuchowi po piętach. Ten wrzeszczał:

— Z drogi, drzewa!

I wymijał każdy pień kasztanowca, tekomy, cumaru, na które tak chętnie by się wdrapał. Gdzieś w okolicy miasta Berra w Espirito Santo omal rozplątałby sobie czaszkę o głąz z licznymi rzeźbionymi obrazkami, zupełnie niezrozumiałymi. Na pewno był pod nim zakopany skarb... Ale Macunaimie bardzo się spieszyło, więc jak pocisk ruszył ku urwiskom wyspy Bananowej. Wreszcie ujrzał wysokie na trzydzieści metrów mrowisko, ziejące przy samej ziemi dużą dziurą. Wgramolił się do niej i przycupnął w środku, wysoko. Psisko przywarowało na straży.

W tej chwili nadbiegł olbrzym i natknął się na warującego obok mrowiska kundla. U samego wejścia Francuzka zgubiła srebrny łańcuszek. „Tu jest mój skarb”, mruknął olbrzym. A kundlisko zniknęło. Piaiman wyrwał z ziemi, nie zostawiając najmniejszego śladu, całą palmę inajá z korzeniami. Poobcinał pędy i wsadził pień do dziury, pragnąc gorąco wykurzyć Francuzkę. Ale wyjdzie baranek do wilka? Nie taki on głupi! Bohater rozkraczył nogi i, za przeproszeniem, nadział się na pał inajá. Widząc, że Francuzka nie wychodzi, Piaiman poszedł po ostrą przyprawę: przyniósł całą kolumnę mrówek anaquilá, które są przyprawą olbrzymów, i wrzucił je do dziury, a one wzięły się do szpikowania bohatera. Ale Francuzka i tak nie wyszła. Piaiman zaprzysiągł zemstę. Wygarnął mrówki i wrzasnął do Macunaimy:

— Teraz cię wreszcie dopadnę, bo przyniosę tu zaraz żararakę Elite!

Na te słowa nasz bohater zdrętwiał. Na żmiję-żararakę nie ma rady. Odkrzyknął olbrzymowi:

— Poczekaj chwilkę, olbrzymie, już wychodzę.

Żeby jednak zyskać na czasie, zdjął z piersi szypułki bananowca i cisnął je w stronę otworu mówiąc:

— Najpierw wyrzuć to, bardzo proszę.

Piaiman był tak rozsierdzony, że odrzucił je daleko. Macunaima widział jego wściekłość.

Zdjął maszynę-dekolt, położył ją przy wejściu do mrowiska i znów rzekł:

— Bardzo proszę, wyrzuć to.

I Piaiman znów rzucił precz tę szatkę. Wówczas Macunaima rzucił maszynę-pas, potem maszynę-pantofelki i tak ze wszystkimi częściami swego ubioru. Olbrzym aż pienił się ze zło-

ści. Wyrzucał wszystko precz nie patrząc nawet, co to jest. Wtedy nasz bohater spokojniutko wstawił do otworu swój zadek i rzekł:

— Wyrzuć jeszcze tylko tę cuchnącą dynię.

Ślepy z wściekłości Piaiman złapał zadek i nie wiedząc, co to jest, cisnął nim wraz z bohaterem na półtorej mili. I pozostał tak na zawsze czatując na bohatera, podczas gdy ten był już daleko i zmykał w stronę kępy drzew mororó.

Gdy dotarł do pensjonatu, tak był wykończony, że serdecznie powitał psa, kocura zaś nazwał wujaszkiem; a wyglądał! spocony, podrapany, zziązany, z okiem krwistym. Odsapnął ździebko, a że kiszki mu marsza grały, wciął od razu pieczeń z małżów z Maceió, wędzoną kaczkę z Marajó, zapijając tę przekąskę winem maniokowym. I odpoczywał.

Macunaima był bardzo rozdrażniony. Waclaw Pietro Pietra był słynnym kolekcjonerem, a on nie! Aż się pocił z zazdrości i na koniec postanowił naśladować olbrzyma. Nie wydawało mu się jednak zabawne kolekcjonowanie kamieni, bo u siebie, w swoich okolicach, miał ich bez liku po wszystkich źródłiskach, krynicach, potokach, zapadliskach i jamach. A wszystkie te kamienie były już kiedyś osami mrówkami moskitami kleszczami zwierzętami ptaszkami ludźmi i dziewczuskami, i pannicami, a nawet wdziękami dziewczuszek i pannic... Po co jeszcze więcej tych kamieni, tak ciężkich do noszenia!... Rozłożył bezsilnie ramiona i mruknął:

— Cholera! Nie chce mi się...

Dumał, dumał i wydumał. Będzie kolekcjonował brzydkie słowa, które tak lubił.

I zabrał się do tego. W mgnieniu oka zebrał ich tysiące z wszystkich języków żywych, a nawet z łaciny i greki, których liznał był co nieco. Kolekcja włoska była już kompletna — słowa na wszystkie godziny dnia, na wszystkie dni roku i wszelkie życiowe okoliczności oraz uczucia ludzkie. Cała masa wszelkiego plugastwa! Ale. klejnotem zbiorów było pewne zdanie indyjskie niemożliwe do wypowiedzenia.

MACUMBA

Macunaima był bardzo rozdrażniony. Nie zdołał odzyskać Muirakitana i to było okropne. Lepiej byłoby zatłuc tego Piaimana... Więc wyszedł z miasta i poszedł do lasu Jakiegoś, żeby wypróbować swoją siłę. Rozglądał się z półtorej mili i spostrzegł wreszcie drzewo peroba nie mające końca. Wsunął ramię pod napowietrzny korzeń i szarpnął, próbując wyrwać drzewo, ale górą tylko wiatr zatrzęsł listowiem. „Nie, jeszcze nie mam dosyć siły”, pomyślał Macunaima. Wziął szczurzy ząb zwany crô, brutalnie naciął sobie udo, jak to jest zalecane słabeuszom, i krwawiąc wrócił do pensjonatu. Bardzo był przygnębiony tym że jest jeszcze tak słaby; popadł w takie roztargnienie, że w drzwiach nabił sobie potężnego guza.

I pogrążony w tej boleści bohater nasz spostrzegł nagle wysoko, pośród gwiazd, chudziutki nów Capei w lisiej czapie. „Kiedy księżyc chuderławy, nie zaczynaj żadnej sprawy”, westchnął. I to go pocieszyło.

Nazajutrz zrobiło się całkiem zimno, więc bohater postanowił zemścić się na Waclawie Pietro Pietrze i dać mu dobre cięgi, żeby się rozgrzać. Ale nie miał dość siły, toteż bardzo się bał olbrzyma. Zdecydował przeto wsiąść w pociąg i pojechać do Rio de Janeiro, aby uzyskać pomoc diabła Exu, na którego cześć dnia następnego miała się odbyć macumba.

Był czerwiec, z pogodą całkiem chłodną. Macumbę odprawiano w Mangue, w ruderze ciotki Ciaty, niezrównanej czarownicy, sławnej „mateczki świętego” i mistrzyni gitary. O ósmej wieczorem Macunaima zjawił się w tej norze z obowiązkową butelką sznapsa pod pachą. Było tam już wielu ludzi — wytworniaków i biedaków, adwokatów kelnerów kamie-

niarzy mularczyków posłów rzezimieszków, najróżniejszych; ceremonia właśnie się zaczynała. Macunaima zdjął buty i skarpetki, jak wszyscy, i przyłożył sobie na szyję czarodziejski plaster zrobiony z wosku osy tatucaba i ususzonego korzenia euforbii assacu. Wszedł do zapchanego pokoju i oganiając się od chmary moskitów ruszył na czworakach ku siedzącej na trójnogu, nieruchomej i milczącej szefowej candomblé, aby ją powitać. Ciotka Ciata była to stara Murzynka od stu lat obznajomiona z cierpieniem, szpetna i wychudzona, z chmurą białych włosów świecących wokoło małej główki. W jej twarzy nie dostrzegano już oczu, cała była tylko wiązką kości wydłużającą się coraz bardziej i sennie dotykającą niemal ziemi.

Nagle chłopak będący, jak mówiono, synem Oxuma i Najświętszej Paniienki Niepokalanego Poczęcia — jej macumba wypadła w grudniu — wręczył zapaloną świecę każdemu z marynarzy stolarzy dziennikarzy bogaczy oszustów kobiet funkcjonariuszy publicznych — no, wszystkim tym ludziom! i zdusił płomyk gazowy, oświetlający salkę.

I rozpoczęła się prawdziwa macumba — procesją ze śpiewami ku czci świętych. Wyglądała tak: na przedzie szedł ogam walący w bęben, czarne chłopisko, syn Oguma, dziobaty, z zawodu śpiewak fado; nazywał się Olelê Rui Barbosa. Bęben podskakiwał w rytmie, który poruszał całą procesją, a na ściany pokryte papierowymi tapetami w kwiatki zapalone świece rzucały chybotliwe, drżące cienie jak z upiornego snu. Za ogamem posuwała się niemal nieruchomo ciotka Ciata, tylko jej wargi szeleściły monotonną litanią. Za nią szli adwokaci majtkowie znachorzy poeci nasz bohater łotrzykowie Portugały senatorowie — cały ten tłum tańczący i odśpiewujący respons, brzmiało to tak:

— Va-mo sa-ra-vá!...

Ciotka Ciata śpiewała imię świętego, którego należało uczcić:

— Och, Olarung!

Tłum odpowiadał:

— Va-mo sa-ra-vá!...

Ciotka Ciata ciągnęła:

— O, Boto Tucuchi!

Tłum odpowiadał:

— Va-mo sa-ra-vá!...

Cichutko, monotonną litanią.

— Och, Iemanjá! Anamburucu! Oxumie! i wy, trzy Matki Wód!

— Va-mo sa-ra-vá!...

I tak szło dalej. A gdy ciotka Ciata przystawała krzycząc i machając rękami:

— Precz, Exu!

bowiem Exu był to kulawy diabeł, złośliwy duch potrafiący tylko szkodzić, w pomieszczeniu wybuchał jęk udreki:

— Uuuuum!... uuuuum!... Exu! Ojcie nasz, Exu!...

A imię diabliska huczało i huczało echem, od którego kurczyła się noc na zewnątrz.

Procesja zawodziła dalej:

— Och, królu Nagô!

— Va-mo sa-ra-vá!...

Cichutko, monotonną litanią.

— Och, Baru!

— Va-mo sa-ra-vá!...

Od czasu do czasu ciotka Ciata przystawała krzycząc i wymachując ramionami:

— Precz, Exu!

bo Exu był to diabliski kusy i wredny, złośliwy duch. I znów udreńczona sala jęczała:

— Uuuuum!... Exu! Ojcie nasz, Exu!...

A imię diabła rozlegało się huczającym echem, od którego kurczyła się noc.

— Och, Oxalá!

— Va-mo sa-ra-vá!...

I tak w kółko. Oddali cześć wszystkim świętym macumby: Białemu Boto, patronowi miłości, Kango, Omulu, Iroco, Oxosse, okrutnej Matce Boiunie, Obatalá dającym moc do długiego igrania — wszystkim tym świętym, i procesja dobiegła kresu. Ciotka Ciata usiadła na trójnogu w kącie, wszyscy zaś ci oblani potem ludzie — lekarze piekarze inżynierowie kauzyperdy gliny służące pismaki mordercy Macunaima — wszyscy podeszli, aby postawić na ziemi wokół trójnoga świece. Świece rzucały na powałę cień nieruchomej „świętej mateczki”. Prawie wszyscy zdjęli już z siebie to i owo i oddechy jeły świszcząc wskutek pomieszania się wyczewów kota cōty ryby i potu. Wtedy kolej przysła na picie. Tam właśnie Macunaima po raz pierwszy pokosztował strasznej okowity zwącej się cachaça. Pokosztował, uszczęśliwiony mlasnął językiem i wybuchnął gromkim śmiechem.

Napili się raz i nim znów zabrali się do picia, podjęli modły błagalne. Wszyscy aż płonęli z niecierpliwości, spragnieni pojawienia się na tej macumbie, tej nocy, jakiegoś świętego. Od dawna już żaden się nie zjawił, choć wszyscy bardzo o to prosili. Bo macumba ciotki Ciaty to nie była taka sobie, byle jaka, fałszywa macumba, w czasie której „święty ojczulek” udawał zawsze, że widzi jakiegoś nadchodzącego Xango Oxosse, tylko po to, żeby zadowolić uczestników obrzędu. Tutaj macumba była na serio i kiedy zjawiał się święty, to zjawiał się naprawdę, bez żadnego kręactwa. Ciotka Ciata nie pozwalała na taką demoralizację w swojej lepiance, i oto już od dwunastu miesięcy ani Ogum, ani Exu nie pojawiali się w Mangue. Wszyscy chcieli, żeby przyszedł Ogum, zaś jeden tylko Macunaima — Exu, po to, żeby wziąć pomstę na Waclawie Pietro Pietrze.

Popijając gorzałkę, jedni na kolanach, inni na czworakach, wszyscy ci półobnażeni ludzie modlili się Wokół czarownicy błagając o nadejście świętego. O północy przeszli do pomieszczenia w głębi, żeby uraczyć się mięsem kozła, którego łeb i nogi leżały już na ołtarzu przed wizerunkiem Exu zrobionym z termityery, z trzema muszlami miast ust i oczu. Kozła zabito jako ofiarę dla diabła i posypano proszkiem z grzebienia i ostróg bojowego koguta. „Święta mateczka” podniosła to żarło ze czcią, trzykrotnie przeżegnawszy się w odwrotną stronę. Cały tłum — sprzedawcy bibliofile bradziagi akademicy bankierzy, wszyscy ci ludzie tańczyli wokół ołtarza i śpiewali:

*Bamba querê
Sai Aruê
Mongi Gongô
Sai Orobôô
Êh...
Ó mungunzá
Bom acaçá
Vancê nhamanja
De pai Guenguê
Êh!...*

I gadając, żartując, pożarli okrwawionego kozła, a każdy pociągał ze swojej butelki, nikomu bowiem nie wolno było pić z cudzej, wszyscy wytrąbili w ten sposób mnóstwo gorzały, ale to mnóstwo! Macunaima wybuchnął raz po raz wielkim śmiechem i nagle rozlał wino na stole. Według niego miała to być oznaka wielkiego ukontentowania, a wszyscy ubrdali sobie, że bohater jest wybranym tej świętej nocy. Ale wcale nim nie był.

Zaledwie na nowo zaczęła się modlitwa, na środek izby wyskoczyła kobieta, której pół jęk, pół szloch intonujący nowy śpiew sprawił, że wszyscy zamilkli. Dreszcz przebiegł po ludziach, a świece rzucały w ką powały poskręcany monstrialnie cień dziewczyny, to był

Exu! Ogam zmagał się z bębniem usiłując uchwycić wariackie rytmy nowej pieśni, pieśni swobodnej, pełnej niecierpliwych nut i karkołomnych przeskoków, i szaleńczej ekstazy, cicho wibrującej furii. „Polaca” o twarzy jaskrawo wymalowanej, w kombinacji, której ramiączka zsunęły się zupełnie, miotała się pośrodku salki, obnażona już niemal całkowicie. Jej piersi kołysały się bijąc głośno klap, klap! o ramiona, twarz i brzuch. Blondynka śpiewała i śpiewała. Wreszcie z jej wypacykowanych ust potoczyła się piana, wydała krzyk, od którego noc skurczyła się jeszcze bardziej, wstąpił w nią święty, upadła i wyprężyła się.

Przez jakiś czas trwało sakralne milczenie. Potem ciotka Ciata wstała ze swojego trójnoga; jakaś cudzoziemska dziewczuszka zaraz zastąpiła go nowym stołkiem, na którym jeszcze nikt nie siedział, teraz należał on do tej drugiej. „Święta mateczka” zbliżała się, zbliżała się powoli. Ogam szedł za nią. Reszta stojąc przywarła do ścian. I tylko ciotka Ciata zbliżała się i zbliżała i wreszcie znalazła się obok zeszywniałego ciała dziewczyny leżącej pośrodku izby. Czarownica zrzuciła z siebie ubranie i została nago, tylko z naszyjnikami, bransoletami i kolczykami ze srebrnych paciorków, podzwaniających o jej kości. Z tykwy, trzymanej przez Ogama, czerpała skrzeptą krew zjedzonego kozła i wcierała ją w głowę kapłanki. Kiedy jednak posypała ją zielonkawą mączką bananową, sztywniaczka skrzywiła się z jękiem i upajająca woń jodu napełniła powietrze. Wówczas „święta mateczka” zaintonowała świętą modlitwę do Exu — monotonną litanie.

Gdy skończyła, kobieta otworzyła oczy i poruszyła się: była zupełnie inna niż przed chwilą, nie była już kobietą, lecz „wierzchowcem świętego”, była Exu. Była Exu, biesem, który pospołu ze wszystkimi przyszedł tu na macumbę.

Para nagusek puściła się w zaimprovizowaną zwawą sambę-jongo, jej rytm wyznaczał klekot kości ciotki Ciaty, klaskanie piersi krągłej Polki i głuche bębnienie Ogama. Wszyscy inni też byli nadzy i oczekiwano, że obecny tu król demonów wybierze Syna Exu. Jongo była przerażająca... Macunaima aż się trząsł z nadziei, że zobaczy arcydiaska i poprosi go o spuszczenie dobrych cięgów Wacławowi Pietro Pietrze. Nie wiadomo, co mu nagle strzeliło do głowy, chwiejnie wkroczył na środek sali, przewrócił Exu i padł na nią, żeby zwycięsko z nią poigrać. I nastąpiła powszechna rozpusta jako uświęcenie nowego Syna Exu; wszyscy też uderzyli w gaz na cześć nowego syna diabelskiego.

Po skończeniu ceremonii odprowadzono diabła na trójnóg i zaczęła się adoracja. Złodzieje senatorowie przygłupki czarnuchy damy futboliści — wszyscy, ile ich było, przypełzli tarzając się w chmurze pomarańczowego kurzu, napełniającego salkę, i uderzywszy lewą skronią o podłogę, jęli okrywać pocałunkami kolana i całe ciało medium. Zacerwieniona, drżąca, sztywna kobieta, z której ust skapywała piana — wszyscy maczali w niej palce, aby przeżegnać się wspak — wydawała chrapliwe jęki ni to szloch, ni to rozkoszy, i nie była to już „polaca”, lecz Exu, najpotężniejszy święty tej religii.

Gdy wszyscy mieli już dość całowania, adoracji i znaków krzyża na wspak, przyszedł czas na prośby i obietnice. Pewien rzeźnik prosił, żeby wszyscy kupowali u niego zepsute mięso, i Exu przystał na to. Pewien fazendeiro prosił, by z jego folwarku znikły mrówki i malaria, lecz Exu ze śmiechem rzekł, że na to się nie zgodzi. Jakiś zakochany prosił, aby jego ptaszynka otrzymała posadę nauczycielki w szkole miejskiej, żeby mogli się pobrać, i Exu się zgodził. Pewien lekarz wygłosił przemówienie, w którym prosił o dar wytwornego pisania po portugalsku, ale Exu odmówił. I tak dalej. Przyszła wreszcie kolej na Macunaimę, nowego czarciego syna. Powiedział:

— Przychodzę z prośbą do mego ojca, bo jestem bardzo zezłoszczony.

— Jak się nazywasz? — spytał Exu.

— Macunaima, bohater.

— Hmmmm... mruknał kusy — imię zaczyna się na Ma, to zły omen...

Ale przyjął bohatera z sympatią i przyrzekł mu wszystko, co zechce, bo przecież był synem. I bohater poprosił, żeby Exu zalał sadła za skórę Wacławowi Pietro Pietrze, olbrzy-

mowi pozerającemu ludzi.

Wówczas nastąpiło coś przerażającego. Exu wziął trzy patyczki melisy poświęcone przez księdza-apostatę, rzucił je w górę i skrzyżował dwa palce rozkazując w ten sposób ja Wacława Pietro Pietry, żeby przyszło i wstąpiło w niego, w Exu. Poczekał chwilę, ja olbrzyma pojawiło się i wstąpiło w ciało kobiety, po czym Exu polecił synowi spuścić lanie temu ja, wcielonemu w postać Polki. Nasz bohater wziął tęgą pałę i zabrał się do Exu z ochotą. Dał mu okropną wciereę. Exu wrzeszczał:

*Garbuj skórę, lecz na miękko
Bo to boli, boli, boli!
Ja przecież też mam rodzinę
A to boli, boli, boli!*

W końcu fioletowy od tego lania, krwawiący przez nozdrza usta uszy padł bez zmysłów na ziemię. Okropny widok... Macunaima rozkazał, żeby ja olbrzyma wzięło kąpiel z wrzącej słonej wody, i dymiące ciało Exu zwilżyło ziemię. I Macunaima rozkazał, żeby ja olbrzyma poszło ścieżką wysypaną tłuczonym szkłem, poprzez las pokrzyw i cierni aż do urwisk Andów, w środku zimy, i ciało Exu zaczęło krwawić od zacięć szkłem, ukłuć kolcami i oparzeń pokrzywami, dysząc z wyczerpania i drżąc od wielkiego chłodu. Okropny był to widok. I Macunaima rozkazał, żeby ja Wacława Pietro Pietry zostało przedziurawione ostrym rogiem dzikiego byka, kopnięte przez nieokiełznanego żrebca, ugryzione przez kajmana jacaré i pokąsane przez czterdzieści razy po czterdzieści tysięcy czerwonych mrówek. I ciało Exu zaczęło wić się i skręcać na ziemi, krwawiące i obrzękłe, z rządkiem zębów wbitych w nogę, ze szczękami czterdziestu razy po czterdzieści tysięcy czerwonych mrówek w skórze, której nie było już widać, z głową roztrzaskaną kopytem żrebaka i dziurą w brzuchu po ostrym rogu. Pomieszczenie wypełnił straszny odór. Exu jęknął:

*Na róg nadziejaj mnie powoli
Bo to boli, boli, boli!
Przecież ja też mam rodzinę
A to boli, boli, boli!*

Przez długi jeszcze czas Macunaima zarządzał wiele rzeczy tego rodzaju i Wacław Pietro Pietra znosił to wszystko w ciele Exu. Na koniec zemsta naszego bohatera nic już wymyślić nie mogła i dała spokój. Kobieta, rozciągnięta na ziemi, ledwo dychała. Zapadło znużone milczenie. Widok był okropny.

Hen, w pałacu przy ulicy Maranhão w São Paulo trwała nieustająca bieganina. Zjawili się lekarze, przyjechało pogotowie, wszyscy byli w rozpaczy. Wacław Pietro Pietra krwawił i ryczał jak wół. Na jego brzuchu ziała dziura po ciosie rogiem, głowę miał rozplataną jakby końskim kopytem, ciało miał poparzone odmrożone pokąsane całe pokryte siniakami i obrzękami, jakby dostał jakąś przeokropną wciereę.

Na candomblé trwała przerażająca cisza. Ciotka Ciata miała wszakże swoje sposoby i zaczęła odmawiać główną modlitwę do diabła. Była to najbardziej świętokradcza spośród wszystkich modlitw, taka, że jeśli pomylić się w jednym bodaj słowie, sprowadza śmierć — modlitwa do Ojca Naszego Exu. Brzmiała tak:

— Ojcie Nasz Exu, który jesteś w trzynastym piekle w dole po lewej stronie, wszyscy kochamy cię bardzo, wszyscy!

— Kochamy cię! Kochamy!

— ...Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj i niech wola twoja stanie się także w czworakach niewolników twoich, należących do ojca naszego Exu, teraz i zawsze, amen!...

Chwała czarnej ojczyźnie Exu!

— Chwała synowi Exu!

Macunaima podziękował. Ciotka dokończyła:

— Sikutera czarny książę stał się naszym ojcem Exu sykulo sykuloru teraz i zawsze niech tak będzie, amen.

— Na wieki wieków, amen!

Exu w oczach przychodził do zdrowia i wszystko mocą czarów zniknęło już, gdy znów poszły w ruch butelki z gorzałką i ciało Polki stało się zdrowe. Rozległ się potężny hałas i przestrzenią zawładnął zapach spalonej smoły, kobieta natomiast wyrzuciła ustami pierścień z agatu. Wówczas różowa grubaska ocknęła się z omdlenia, bardzo zmęczona; teraz była już tylko zwykłą Polką. Exu zniknął.

Na zakończenie wszyscy urządzili sobie wyżerkę, jedli szynkę i szperkę i tańczyli sambę-rumbę, i wszyscy weselili się najbardziej rozwiązłymi szaleństwami. I nagle skończyło się wszystko, powróciło prawdziwe życie, a uczestnicy macumby — Macunaima, Jaime Ovalle, Dodô, Manu Bandeira, Blaise Cendrars, Ascenso Ferreira, Raul Bopp, Antonio Bento — wszyscy wyszli o świcie.

VEI-SŁOŃCE

Macunaima szedł sobie i napotkał drzewo Volomã, bardzo wysokie. Na gałęzi siedział zielony ptaszek pitiguari; jak tylko spostrzegł bohatera, zaczął wydzierać gardziołko w śpiewie: „A któż to drogą sobie idzie? A któż to drogą sobie idzie?” Macunaima spojrział w górę, żeby podziękować, a tu ten Volomã aż się ugina od owoców. Naszemu bohaterowi już od wielu godzin kiszki marsza grały i gdy ujrzał wszystkie te owoce — sapoty pigwice mango brzoskwinie orzechy kokosowe maurycje czereśnie z Cayenne melony flaszowce — aż wydał mu się żołądek.

— Daj owoców, Volomã — poprosił Macunaima.

Drzewo nie chciało, toteż bohater wrzasnął dwakroć:

— Boiôîô, boiôîô! Quizama quizu!

Wszystkie owoce spadły, więc podjadł sobie nieźle. Volomana ogarnęła wściekłość. Schwycił bohatera za nogi i cisnął nim ponad zatoką Guanabara na bezludną wysepkę, zamieszkiwaną niegdyś przez nimfę Alamoę, która przybyła z Holendrami. Macunaima tak był zmordowany, że podczas lotu chwycił go sen. Uśpiony, spadł u stóp palmy guairo, bardzo aromatycznej, na której siedział sobie sęp.

Otóż ptaszysko zamierzało właśnie oddać hołd naturze i zrobiło to, i ofajdało naszego bohatera od stóp do głów. Nadszedł ranek, pogoda była całkiem chłodna. Macunaima zbudził się dygocząc, cały opaskudzony. Ale i tak przepatrzył dobrze maleńką skalistą wysepkę, czy przypadkiem nie ma na niej jakiejś jamy z ukrytą forsą. Nie było. Nawet zaczarowanego srebrnego łańcuszka, który wskazuje wybrańcowi miejsce holenderskiego skarbu. Kłębila się tylko masa czerwonych mrówek jaquitagua.

Wtedy przemknęła chyżo gwiazda zaranna Caiuanogue. Macunaima, mocno już zniechęcony do życia, poprosił, żeby zaniósła go do nieba. Caiuanogue przybliżyła się, ale nasz bohater okropnie cuchnął.

— Idź się wykapać! — rzekła i poszła sobie.

W ten sposób powstało powiedzenie „Vá tomar banho”, jakie Brazylijczycy stosują wobec niektórych emigrantów z Europy.

Przechodziła Capei, Księżyc. Macunaima krzyknął do niej:

— Rączki całuję, szanowna pani Luno, rączki całuję!

— Uhum... — odparła.

Wówczas poprosił Lunę, żeby zaniósła go na wyspę Marajó. Capei zbliżyła się, ale Macunaima jednak cuchnął straszliwie.

— Idź się wykapać! — rzekła i odeszła.

I wyrażenie to utrwaliło się raz na zawsze.

Macunaima krzyknął do Capei, żeby przynajmniej użyczyła mu szczypty ognia na rozgrzanie się.

— Poproś u sąsiada! — rzekła wskazując na Słońce, które, wiosłując po wielkiej wodzie, przybywało z daleka. I poszła sobie.

Macunaima trząśł się jak listek, a sęp bez przerwy fajdał na niego. Wszystko przez to, że wysepka była tycia, tyciuteńka. Vei przyptywała czerwona i obłana potem. Ta Vei to było Słońce. Dla Macunaimy składało się to doskonale, bo u siebie, w domu, zawsze zanosił Słońcu w ofierze pączki z manioku, żeby sobie polizało i obeszło.

Vei wzięła Macunaimę na tratwę, zaopatrzoną w żagiel koloru rdzy, ufarbowany pnączem muruci, i swoim trzem córkom kazała wymyć bohatera, obiskać go z kleszczy i sprawdzić, czy ma czyste paznokcie. I Macunaima znów stał się czyściutki. Ponieważ jednak starucha była czerwona i bardzo spocona, bohater nie połapał się, że jest ona Słońcem, pochciwym słoneczkiem, ponchem biedaków. No i poprosił ją, żeby zawołała Vei i jej ciepełko, bo wprawdzie jest już czyściutki, ale dygocze z zimna. A Vei to było samo Słońce; kombinowała ona sobie, żeby Macunaimę uczynić swoim zięciem. Tyle, że na razie nie mogła nikogo ogrzać, było zbyt wcześnie, nie miała siły. Żeby jakoś rozerwać go do tego czasu, zagwizdała w pewien szczególny sposób i trzy córki zaczęły delikatnie drapać go po głowie i łaskotać po całym ciele.

Śmiał się jak głupi i aż wił się z tej rozkoszy. Gdy przestawały, prosił o jeszcze i już z góry cały się trząśł z tej przyjemności. Vei zauważyła wyuzdanie bohatera i rozzłościło ją to. Odechciało się jej krzesać z siebie ogień i ogrzewać świat. Wtedy dziewoje pochwytiły matkę, skrępowały ją porządnie i Macunaima przyłożył parą razy pięścią w kałdun tej wiedźmy, no i z tyłu wyszedł jej płomyk, przy którym wszyscy się ogrzali.

Nastał upał, który objął całą tratwę i rozlał się po wodach oraz wyłocił czyste oblicze powietrznego przestworu. Macunaima wyciągnięty na tratwie niby jaszczurka kołysał się w błękicie. I ta wszechobejmująca cisza...

— O, jak mi się nic nie chce!...

Bohater westchnął. Słysząc było tylko poszept fal. Całe ciało Macunaimy ogarnęła błoga omdłałość, tak mu było dobrze... Najmłodsza z dziewcząt uderzała w marimbę urucungo, przywiezioną przez matkę z Afryki. Rozległy był obszar wód, a na wyniosłym pagórze nieba nie było jednej chmurki. Macunaima skrzyżował dłonie pod głową robiąc z nich poduszkę; w czasie gdy najstarsza z córek światłości opędzała go od chmar moskitów-pijanic, trzecia dziewczuszka końcami warkoczy wprawiała w rozkoszne drgawki brzuch naszego zucha. A on śmiał się w pełni szczęścia, zatrzymując się przy każdej zwrotce tej oto piosenki, aby się nacieszyć rozkoszą:

Kiedy umrę, nie płacz po mnie,

Bo nie żałuję żywota;

— Mandu sarará,

Ojcem było mi wygnanie,

Matką była mi zgryzota,

— Mandu sarará,

Tato przyszedł i rzekł do mnie:

— *Nigdy nie będziesz kochany!*
— *Mandu sarará,*
Mamusia mi zawiesiła
Naszyjnik łzami obłany,
— *Mandu sarará,*
Pancernik niech grób mi kopie
Swoim zębkiem wyszczerbionym,
— *Mandu sarará,*
Dla mnie, nieszczęśliwego,
Bom przez wszystkich opuszczony,
— *Mandu sarará...*

Było mu dobrze... Jego ciało lśniło i rzucało złote błyski od kryształków soli, a morską woń, leniwe pociągnięcia wiosłem Vei, jego brzuch drgający od pieszczotek dziewczęcych, ach!... Aż krzyknął: „O rany, ludzie, niech mnie coś trafi, tak mi strasznie fajnie!” I bohater nasz, przymykając lubieżnie swoje drańskie oczka i z ustami od ucha do ucha w leniwym uśmiechu bezwstydnego rozpustnika, smakował i smakował tę rozkosz, aż usnął.

Kiedy wiosła Vei przestały kołysać go do snu, obudził się. Hen, w oddali, rysował się wyraźnie drapacz chmur w kolorze różowym. Tratwa stała przycumowana do przystani wyniosłej wioski zwanej Rio de Janeiro.

Na brzegu, przy samiuteńkiej wodzie, rósł duży zagajnik cały z drzew fernambukowych i z pałacami w różnych barwach po obu stronach. A ten zagajnik to była avenida Rio Branco. Tu właśnie mieszka Vei-Słońce ze swoimi trzema córami światłości. Vei pragnęła Macunaimę na zięcia, bo ostatecznie był bohaterem i niegdyś dawał jej wiele paczków maniokowych, żeby obeschła wcinając je. Toteż powiedziała:

— Zięciaszku, powinienes ożenić się z jedną z moich córek. W posagu dostaniesz ode mnie Uropę, Francję i Bahię. Ale musisz być wierny i nie wążęsać się tu i tam, żeby zabawiać się z dziewczętami.

Macunaima podziękował i przyrzekł, że tak, przysięgając na pamięć swojej matki. Kiedy Vei z trzema córkami poszła uczynić dzień w zagajniku przykazując raz jeszcze Macunaimie, żeby nie opuszczał tratwy i nie szukał tutejszej płci nadobnej, aby się z nią zabawić, Macunaima znów przysięgł na swoją matkę, że nie.

Jak tylko Vei z trzema córkami znikła w lasku, Macunaima poczuł ogromną ochotę zabawienia się z jakąś dziewoją. Zapalił papierosa, ale chętkę miał coraz większą. A pod drzewami przechadzał się cały tłum dziewczuszek, dziewuch, panienek z wdziękiem i talentem kołyszących wszystkim, co tam miały dobrego.

— Niechże to grom zapali! — wrzasnął Macunaima. — Nie jestem znów taka oferma, żeby baba zrobiła mi źle!

I wielki blask rozbłysnął w jego mózgowicy. Powstał na tratwie i rozpościerając ramiona nad ojczyzną oznajmił uroczyście:

**DUŻO MRÓWEK, ZDROWIA MAŁO
TO BRAZYLII SIĘ DOSTAŁO!**

Wyskoczył z tratwy przewracając przechodzącego tam biskupa, pobiegł okazać skrucę przed wizerunkiem świętego Antoniego, który był kapitanem regimentu, a potem rzucił się na wszystkie tamtejsze młódki. Od razu natrafił na jedną, która w słodkim kraiku kumów Portugalczyków była sprzedawczynią ryb, i jeszcze ostro jechało od niej sardynkami. Macunaima zrobił do niej oko i oboje poszli na tratwę, żeby się zabawić. I tak uczynili, poigrali sobie co niemiara. Teraz uśmiechają się do siebie.

Kiedy Vei z trzema córkami pojawiła się po skończonej dniuówce, bo zapadała już noc,

dziewczęta, które nadeszły pierwsze, wpadły na Macunaimę i Portugalkę, dalej zabawiających się z sobą. Wtedy trzy córki światłości rozgniewały się:

— A więc to tak, bohaterze! Czy nasza matka Vei nie mówiła ci, żebyś nie opuszczał tratwy i nie szedł zabawiać się z tutejszymi młódkami?!

— Było mi bardzo smutno! — rzekł bohater.

— Jakie tam smutno, przestańże nam tu zawracać gitarę, bohaterze! Oj, dostaniesz ty za swoje od naszej matki Vei!

I bardzo rozgniewane zwróciły się do starej:

— No i zobacz, matko, co wyprawia ten twój zięć! Ledwośmy skryły się w zagajniku, a ten od razu hyc! rzuca się na jakąś zdzirę, taszczy ją na twoją tratwę, zabawiając się na niej aż do utraty tchu, a teraz śmieją się jedno do drugiego!

Wówczas Słońce rozpało się i zrużowało go tak:

— Tatata, mój kochaneczku! Czy ci nie mówiłam, żebyś nie zadawał się z żadnym dziewczyskiem, co?... Mówiłam! A na dodatek zabawiasz się z nią na mojej tratwie i uśmiechacie się teraz do siebie!

— Było mi bardzo smutno — powtórzył Macunaima.

— Cóż, gdybyś był mnie usłuchał, ożeniłbyś się z jedną z moich córek i zawsze byłbyś młody i śliczny. A tak, to młody będziesz tylko przez krótki czas, jak inni ludzie, a potem zdiadziejiesz i stracisz urodę.

Macunaimie zbierało się na płacz. Westchnął:

— Gdybym był wiedział...

— Z takiego gdyby rosnały tylko grzyby, ty obwiesiu! Nie można powiedzieć, kawał z ciebie drania! A co do mojej córki, to figa z makiem, tyle dostaniesz!

Ale tu Macunaima też jej dopiekł do żywego:

— No to wiedz, że wcale jej nie chciałem, żadnej z trzech! Diabelska sprawa, gdzie z trzema zabawa!

Wtedy Vei oraz jej trzy córki poszły na nocleg do hotelu, zostawiając Macunaimę śpiącego z Portugalką na tratwie.

Gdzieś na godzinę przed brzaskiem przyszło Słońce z trzema dziewczętami na przejażdżkę po zatoce; zastały Macunaimę i Portugalkę jeszcze pogrążonych we śnie. Vei obudziła oboje i Macunaimie dała w prezencie kamień Vato. Ten kamień Vato daje ognia, kiedy tylko człowiek zechce. I poszło sobie Słońce razem z trzema córami światłości.

Także i ten dzień Macunaima spędził na zabawianiu się ze sprzedawczynią ryb to tu, to tam, po całym mieście. Gdy zapadła noc, ułożyli się do snu na ławce Flamengo, aż tu nagle przyszedł straszliwy upiór. Był to Mianiquê-Teibê, który pojawił się, aby pożreć naszego bohatera. Oddychał palcami, słyszał pępkami, a oczy miał w miejscu sutek. Co do ust, to miał ich dwoje ukrytych pomiędzy palcami u stóp. Macunaimę zbudziła woń upióra, więc uciekł gdzie pieprz rośnie. Wtedy Mianiquê-Teibê pożarł sprzedawczynię ryb i poszedł sobie.

Nazajutrz Macunaima stwierdził, że stolica Republiki przestała mu się podobać. Zamienił kamień Vato na zdjęcie w gazecie i wrócił do wioski na brzegach kanału Tietê.

LIST DO AMAZONEK ZWANYCH ICAMIABAS

Do wielce przez nas umiłowanych poddanych naszych. Pań Amazonek, Trzydziesty Maius Roku Pańskiego Tysiąc Dziewięćset Dwudziestego i Szóstego, Sao Paulo.

Cne Damy,

Pewna to rzecz, iż niemało zadziwi was adres tego pisma i jego literatura. Wypadnie nam wszakże rozpocząć te linie — a wiele w nich jest tęsknoty i szczerego afektu — od niemiłej nowiny. Owóż rzecz tak się ma, iż w tym zacnym mieście São Paulo — największym we świecie, podług słów niezwykle wymownych jego mieszkańców — znane jesteście nie jako „icamiabas” (słowo to nikczemnej jest ekstrakcji), ale imieniem Amazonek; ile że, jak tu utrzymują, cwałujecie na wojowniczych rumakach i pochodzicie z klasycznej Hellady; dlatego tak was tu zowią. Bólem wielkim napełniły nas te nader uczone niedorzeczności — nas, waszego Cesarza; zgodzić się przecież musicie z nami, że takim sposobem rośnie heroiczna nasza sława i okazałość, powleka je bowiem warstwa szacownej patyny tradycji i nieskazitelnosci antycznej.

Ale nie wolno nam trwonić waszego drogiego czasu, a tym bardziej takiego tenoru nowinami turbować wam rozum, przejdźmy tedy zaraz do opowieści o Naszych tu dokonanych przewagach.

Nie ubiegło jeszcze pięć słonecznych obrotów, jak rozdzieliliśmy się, gdy spadło na nas najokropniejsze ze wszystkich nieszczęść. Pewnej pięknej nocy Idów Majowych roku przeszłego postradaliśmy Muirakitan, które to imię pisano niegdyś Muraquitan; poniektórzy uczeńce, rozmiłowani w dziwacznych etymologiach, pisali owoż Muyrakitan, a nawet — nie śmiejecie się! — Muraqueitam. Trzeba wam wiedzieć, że imię to, tak bliskie waszym trąbkom Eustachiusza, tutaj jest prawie nieznanne. W tych wielce cywilizowanych stronach wojownicy noszą przewanie policjantów, glin, żandarmów, bokserów, prawników, rozrabiaczy etc.; zgodzicie się, iż niektóre z tych terminów to absurdałne neo-logismy, przebrzydłe śmiecie, którymi fircyki i lekkoduchy plugawią czystą mowę luzytańską. Ale nie dostaje nam wczasu, iżby *sub tegmine* fagi rozprawiać o mowie portugalskiej, zwanej też luzytańską. Niechybnie bardziej was zaciekawi, jeśli się dowiedzie, że wojownicy tutejsi nie szukają ku epitalamicznym zbliżeniom dam o sercu marsowym; wołają, aby były uległe i zamienialne łatwo na niewielkie, lotne karteluski, które plebs zowie pieniędzmi — *curriculum vitae* Cywilizacji, do jakiej przynależć jest obecnie punktem naszego honoru. Tak tedy słowo Muirakitan, raniące obecnie łacińskie uszy waszego Cesarza, nie jest znane wśród wojowników i wszystkich w ogóle ludzi, oddychających powietrzem tych stron. Jedynie paru „mężów sławnych dla swych cnót i literackich zasług”, jak to powiadał już pocziwy staruszek, nasz klasyk ojciec Luis de Sousa, cytowany przez doktora Rui Barbozę, zwraca jeszcze ku Muirakitanom blask swojego umysłu, by stwierdzić, że wartość ich mizerna jest, jako że pochodzą z Azji, nie zaś z waszych palców, tak żarliwych w szlifierskim zajęciu.

Byliśmy jeszcze przynębieni utratą naszego jaszczuropolodnego Muirakitana, gdy — być może za sprawą jakowychś metapsychicznych fluidów, albo, *chi lo sa*, na skutek jakiejś tęsknej *libido*, stosownie do wyjaśnień teutońskiego mędrca, doktora Sigmunda Freuda (czytajcie: Frojda) — zjawił nam się we śnie wspaniały archanioł. Od niego to dowiedzieliśmy się, że zagubiony talizman spoczywa w dostojnych dłoniach ichmość pana Wacława Pietro Pietry, poddanego Wicekrólestwa Peru, pochodzenia zaś bez wątpienia florenckiego, na podobieństwo rodziny Cavalcanti z Pernambuco. A jako że szlachetny ten człek przebywał naonczas w prześwietnym grodzie świętego Pawła, bez zwłoki pośpieszyliśmy tamże w poszuki-

waniu ukradzionego nam złotego runa. Obecne nasze stosunki z doktorem Wacławem są ze wszech miar zadowalające i niezawodnie już niedługo otrzymacie miłą wiadomość o odzyskaniu przez nas talizmanu, za czym poprosimy was o stosowny wiatyk.

Albowiem, umiłowane poddane, nie da się zaprzeczyć, że My, wasz Cesarz, w bardzo podłej znachodzimy się kondycji. Skarb, któryśmy z Sobą przynieśli, wypadło nam zamienić na monetę w tym kraju kurs mającą, która to zmiana walnie utrudniła nam utrzymanie stosowne, zważywszy na wahania Giełdy i niżkę cen kakao.

Trzeba wam też wiedzieć, że Dam tutejszych nie obala się na ziemię razami kija, nie igrają też one z samej lubości ku igraniu, za darmo, ale tylko gdy spuścić na nie deszcz podłego metalu, kaskady markowego Szampana i jadalnych potworów, *vulgariter* zwanych langustami. Jakże mam czar ich przedziwny wystawić, damy Amazonki!!! Z polerowanego pancerza, różowawego i uczynionego kształtem kadłuba morskiej nawy, wyrastają ramiona, macki i ogon, wszystko niczym wiosła różnokształtne, i cała ta ciężka machina, gdy ją ułożyć na talerzu z sewrskiej porcelany, jawi się oczom naszym jakby jakowaś trirema prująca nurty Nilu i w wąpiach swoich unosząca bezcenne ciało Kleopatry.

Obróćcie uwagę swoją, panie Amazonki, na akcentuację tego słowa; otóż wielce byście nas zasmuciły, gdybyście wraz z nami nie przełożyły tej wymowy, zgodnej z lekcją klasyków, nad wymowę Kleopatry, bardziej nowoczesną, i którą układacze dykcjonarzów nader lekkomyślnie obdarzają swym faworem nie pojmując, iż jest to godne pogardy śmiecie brudnym potokiem płynące do nas z Francji, od tych przeklętych gallofonów.

Otóż za sprawą owych właśnie wykwintnych monstrów, zdolnych zatryumfować nad najdelikatniejszym podniebieniem, damy tutejsze legają w małżeńskie łóżce. Teraz już łącznie pojmiecie, o jakim to stosownym wiatyku mówiliśmy. W rzeczy samej, langusty są bardzo drogie, moje bardzo drogie poddane; za niektóre z nich przyszło nam zapłacić sześćdziesiąt tysięcy i więcej, co przeliczone na naszą tradycyjną monetę czyni okazałą kwotę osiemdziesięciu milionów *cacaus*... Snadnie tedy przyjdzie wam wyrozumieć, ile już wydaliśmy, i że na gwałt trzeba nam tego bezcennego metalu, żeby móc zabawić się z owymi tak nieprzystępnymi damami. Zaprawdę, bardzo byśmy pragnęli naszym płomienistym zapałom położyć tamę wstrzeźliwości, choćby najbardziej uciążliwej, aby snadnie oszczędzić wam wydatków; czyż jednak najsilniejszy nawet duch zdolny byłby się oprzeć czarom i umizgom tak rozkosznych pastereczek!?

Chodzą one wystrojone w olśniewające klejnoty i najcieńsze płótna podnoszące grację ich poruszeń i ledwie kryjące wdzięki, które urodą ukształcenia swego i odcienia nie mają sobie równych u jakiegokolwiek rywalki. Wszystkie są bielutkie, a tyloma zręcznymi sposobami popisują się w sztuce igrania, iż byłoby zaiste nużące wyliczanie ich tutaj, nadto naruszałoby to wymagania dyskrecji, jaka przystoi Cesarzowi w stosunku do poddanych. Jakie piękności! Jakaż elegancja! jakież *cachet*! Jakież *dégagé* płomienisty, ogniopodobny, wszechpożerający!!! Myślmy — grzesznik niepoprawny — tylko o nich, jakkolwiek nie przestajemy też troszczyć się o naszego Muirakitana.

Zda się nam, prześwietne Amazonki, że wiele byście zyskały ucząc się od nich wszystkich tych milutkich sztuczek i igraszek Amora. Odstąpiłybyście natenczas od waszego wyniosłego i samotniczego Zakonu w stronę innych, rozkoszniejszych zatrudnień, które Pocałunek uwzniośla, Namiętność zasię rozpala do białości, tak że na koniec *urbi et orbi* w całej chwale ukazuje się subtelna potęga *odor di femmina*, jak to piszą Italczykowie.

Skoro już zatrzymaliśmy się nad tym delikatnym przedmiotem, nie omieszkamy podzielić się z wami kilkoma jeszcze spostrzeżeniami, jakie mogą się wam okazać użyteczne. Damy z São Paulo, poza tym, że nader są foremne i uczone, nie zadowolają się darami i wybornością, jakich udzieliła im Natura. Same troskają się bardzo o siebie, więc też nie uznałyby się za doskonałe, gdyby nie kazały sprowadzać ze wszystkich części Globu wszelkich najbardziej subtelnych i wdzięcznych rzeczy, jakie wydestylowały prastare cywilizacje w dziedzinie scje-

ncji dupskiej, to jest, chciałem powiedzieć, damskiej. Takż i wezwały mistrzynie ze starej Europy, nade wszystko z Francyjej, i nauczyły się od nich sztuki spędzania czasu wielce różnej od waszej. Już to obmywają się i całe godziny trawiają na tym delikatnym procederze, już to kraszają swymi czary zebrania teatralne towarzystwa, już to nie robią zgoła nic; i na pracach tych przepędzają dzień cały z takim zatrudnieniem i znojem, że z nastaniem nocnej pory zbraknie im czasu na igranie, wprędce tedy oddają się — jak to powiadają — objęciom Morfeusza. Trzeba wam też wiedzieć, moje damy, że w tutejszych stronach dzień i noc w szczególny sposób różnią się od waszego wojowniczego Horarium: dzień zaczyna się, kiedy dla was jest południe, noc zaś, gdy was kołysze czwarty już, ostatni, tedy najwięcej wzmacniający sen.

Wszystkiego tego damy paulistańskie wyuczyły się od mistrzyń francuskich; nadto polerowania i hodowania paznokci, jako też zresztą — *horresco referens!* — innych części rogowych swych legalnych towarzyszy. Wybaczcie mi tę odrobinę kwiecistej ironii!

Siła by też prawić o ich kunszcie przycinania sobie włosów manierą bardzo wdzięczną i chłopięcą, tak że więcej upodabniają się do efebów greckich i jakowychś Antinousów wszechpamięci niżli do statecznych matron laticynskich. Jednakowoż zgodzicie się ze mną w materii niestosowności długich kos, jeśli zważycie na to, co cię rzekło wprzód; jako że ichmościowie z São Paulo nie zwykli wybranek swoich obalać na ziem siłą, jeno mocą żółtego metalu i langust, rzeczone kosy są zbyt długie, a dodać trzeba jeszcze i to, że tym sposobem hoduje się choroby — rodzą je owe kosy, będąc zwyczajnym pomieszkaniem i strawą wielce złośliwych insektów, jak to się przytrafia między wami.

Owóż, nieukontentowane tym, czego nauczyły się od Francji — subtelności i galanterii na sposób Ludwika XV — damy paulistańskie z najbardziej niegościnnych okolic świata sprowadzają to, co przydaje im smakowitości: małe stópki z Nipponu, rubiny z Indii, fidrygałki z Północnej Ameryki, i wiele jeszcze innych mądrostek i skarbów międzynarodowej proweniencji.

A teraz jeszcze opowiem wam — choć pokrótce — o świetnym zastępie dam pochodzących z Polonii, które żyją tu i królują nam wspaniałomyślnie. Noszą się one okazale, a bardziej są mnogie niż piasek w morzu oceanicznym. Tak jak i wy Amazonki przebywają w gyneceum, mężowie zaś, którzy w owych domach mieszkają, skazani są na nikczemny stan niewolniczy i na usługiwanie im. Nie nazywają ich tedy mężami, jeno szpetnym zawołaniem garsonów się ich traktuje; sporego są to oglądzenia ludzie i bardzo miłkliwi, zawsze też odziewają się w szaty żałobników.

Damy owe bytują wszystkie w tym samym miejscu, zwanym w tych stronach „wielką dzielnicą” albo zgoła pensjonatami lubo też „ulicą rozpusty”; zbyt długie jest dodawać, że ostatnie z tych wyrażen nie znalazłoby się w naszej opowieści o sprawach miasta São Paulo jako nieprzystojne, gdybyśmy nie pragnęli wykazać się dokładnością i znawstwem. Tak tedy, choć podobnie wam owe miłe nam damy tworzą klan niewieści, to przecież bardzo są od was odległe aspektem, rodzajem życia, jakie wiodą, takż ideałami. Musimy więc powiedzieć, że żyją one porą nocną, nie oddają się też dziełom Marsa ani nie przypalają prawej piersi, jedynym obiektem swych umizgów czyniąc Merkurego; co zaś tyczy się piersi, to zezwalają im rosnać kształtem olbrzymich a obwisłych owoców. Które, choć może nie przydają im powabu, to przecież służą do rozlicznych a żarliwych dzieł najwyborniejszej cnoty i cudownej zaiste ekscytacji.

Ich *Physicum* tym się jeszcze różni — modłą potworną, choć potworność to wdzięczna — że mózgowie ich w pudendach jest umieszczone, serce zaś, jak to celnie się powiada w języku madrygałowym, mają na dłoni.

Mówią one wieloma językami i bardzo szybko, wysoko są edukowane i wiele zwiedziły świata; wszystkie zawsze równie posłuszne, choć tak do siebie niepodobne w różnaitości: a to czarnulki, a to *fausses maigres*, a to tłuściutkie; w liczbie i różnorodności ich takie jest

bogactwo, że wielce nas niepokoi fakt, iż wszystkie miałyby pochodzić z jednego jedyne go kraju. Dodać trzeba, że wszystkie otrzymują podniecający, choć i niewłaściwy epitet „Francuzka”. Domniemywamy, że damy owe nie wszystkie wiodą się z Polonii i że przeto rozmijają się z prawdą, będąc rodem z Iberii, Italii, Germanii, Turcji, Argentyny, Peru jako też z wszelkich innych żyznych krain tego i tamtego hemisferium.

Bardzo bylibyśmy radzi, panie Amazonki, gdybyście pospołu z nami dzieliły to domniemanie, a też gdybyście zaprosiły niektóre z owych dam do waszej krainy, a naszego Cesarstwa po to, iżby nauczyły was one nowocześniejszego i bardziej lukratywnego sposobu życia, co pokaźnie ubogaciłoby skarbowe komory waszego Cesarza. A nawet gdybyście nie miały zamiaru odrzekać się waszego samotniczego Zakonu, to i tak przebywanie kilku setek owych dam pomiędzy wami znacznie ułatwiłoby nam *modus in rebus* po naszym powrocie do Imperium Puszczy Dziewiczej, które to imię zresztą proponujemy zamienić — gwoli większej harmonii z lekcjami klasyków — na Imperium Puszczalskich Dziewic.

By jednak zakończyć roztrząsanie materii tak pryncypialnej, winniśmy jeszcze, dla waszego dobra, ostrzec was przed niebezpieczeństwem, jakie mogłoby wynikać z takowego importu, gdybyście nie zgodziły się też na obecność w obrębie Cesarstwa — w czasie, gdy My przebywać będziemy z dala od niego — paru bardzo krzepkich ichmościów. Owóz damy te pełne są zapału i swobody, przeto czyż nie zaczęłaby nadmiernie im ciążyć niedorzeczna rekluzja, w której żyjecie? czyż — aby nie zatracić scjencji i sekretów dających im chleb — nie mogłyby posunąć się do ostateczności i posłużyć się dzikimi bestiami, jako to: małpieżewyjce, tapiry i sprytny rybki candiru? A znaczniejszy jeszcze ciężar ległby na naszym sumieniu i wzniosłym poczuciu obowiązku, gdybyście, o nasze poddane, wyuczyły się od nich pewnego wszeteczeństwa, tak jak się to stało z towarzyszkami wdzięcznej deklamatorki imieniem Sappho na różanej wyspie Lesbos; ułomność owa nie wytrzymuje krytyki z punktu widzenia ludzkich możliwości, a tym mniej — skalpela surowej i zdrowej moralności.

Jak więc widzicie, wielce skorzystaliśmy z naszego przebywania w tej prześwietnej ziemi bandeirantów; prawdą jest, że nie przestajemy myśleć o naszym talizmanie, ale też nie szcędzimy wysiłków ani podłego metalu, by przyswoić sobie najważniejsze ze spraw tej wiecznotrwałej cywilizacji łacińskiej, tak iżby po naszym powrocie do puszczy dziewiczej móc wdrożyć całą serię ulepszeń, które wielce nam ułatwią życie i bardziej jeszcze rozślawią nasze imię jako narodu cywilizowanego pośród najbardziej cywilizowanych we świecie. Dlatego teraz powiemy wam nieco o tym szlachetnym mieście, ile że zamierzamy na obszarach waszego władztwa, a naszego Cesarstwa, wznieść gród podobny.

Jest São Paulo pobudowane na siedmiu wzgórzach, modłą starego Rzymu, miasta cesarów, *capita* całej *Latinitatis*, z której się wiedzimy; a stopy jego całują swawolne i niespokojne nurty Tietê. Wody tam wspaniałe, powietrze tak rozkoszne jako w Akwizgranie albo i w Antwerpii, przestrzeń zaś tak im dorównuje pod względem pożyteczności dla zdrowia i dostatku, że śmiało rzec można — naśladowując subtelny sposób kronikarzy — iż z trzech AAA dzieworódczo lęgnie się miejska fauna.

Miasto jest wielkiej piękności, a i miłe w nim przebywanie. Pocięte jest całe ulicami przemyślnie wąskimi i obrzeżonymi posągami oraz zabawnymi latarniami tak sztucznie wyrzeźbionymi, iż wszystko to nader zręcznie uszczupla przestrzeń, tak że arterie owe ludzi pomieścić nie mogą. Tym sposobem uzyskuje się wrażenie, jakoby wielkie było nagromadzenie ludzi, których liczbę snadnie i stosownie do życzenia można powiększać, co bardzo jest pomyślnie w czas wyborów, będących wynalazkiem niezastąpionych mieszkańców Minas Gerais; jednocześnie edyloom nastęrcza to walną sposobność do godziwego zarobku i zjednywania powszechnego podziwu dla potoków swej misternej wymowy, a także nieporównanej czystości i kwiecistości stylu.

Rzeczony arterie bogato są inkrustowane ruchliwymi papierkami i lotnymi łupinami owoców, nade wszystko przecież zaściela je drobniuteńki, tańczący pył, rozsiewający co dnia

tysiąc i jedną odmianę żarłocznych *makrobów*, które dziesiątkują ludność. W taki to sposób przodkowie nasi rozwiązali problem cyrkulacji; w rzeczy samej insekty owe pochłaniają nikczemne żywoty pospółstwa i nie pozwalają zbyt się mnożyć próżniakom i robotnikom, tak że liczba ludności utrzymuje się w równowadze. Nie dość im było przecie, iż pył ten wzbijają kroki przechodniów i ryczące maszyny zwane tu „automobilami” i „elektrowozami” (niektórzy używają słowa „tramwaj”, słowa-bękarta, zapewne z mowy Angłów się wiodącego); gorliwi edylowie najeli parę stworów człekokształtnych, monstrów w rodzaju hippocentaurow, łaciatych i jednobarwnych, znanych pod ogólną nazwą Przedsiębiorstwa Oczyszczania Miasta. Które to monstra *per amica silentia Lunae*, kiedy cichnie rozgwar i pył leży sobie nieszkodliwie, wypełzają ze swych nor i ciągnięte przez muły, wirującymi swymi ogonami na kształt mioteł cylindrycznych podnoszą z asfaltu kurz i wytrącają ze snu insekty, nakładając je do działania zamaszystymi swymi gestami i rozgłośnymi wrzaski. Temu nocnemu dziełu dyskretnie akompaniują wątle światełka rozmieszczone daleko jedno od drugiego, tak by ciemności panowały niemal całkowite i by nie przeszkadzały w pracy rzeźmieszkom i złoczyńcom.

Liczba tychże jawi się nam jako zaiste nadmierna, i obawiamy się, że jest to jedyny tutejszy obyczaj nie godzący się z przyrodzonym nam temperamentem, miłującym porządek i spokój. Dalecy jednak jesteśmy od jakichkolwiek zarzutów wobec zarządców miasta São Paulo; dobrze wiemy przecie, jak wielkie upodobanie waleczni pauliści znajdują w złoczyńcach i ich kunsztach. Mieszkańcy Sao Paulo to rasa śmiała i nieustraszona, wielki żywiąca afekt do cierpkiego smaku wojaczki. Życie zbiega im na zmaganiach w pojedynkę i gromadnie, wszyscy uzbrojeni są od stóp do głów, nie dziwota tedy, że bardzo są tu częste zamieszki, w czasie których na arenie padają nierzadko setki tysięcy bohaterów zwanych tu *bandeirantes*.

Z tegoż samego powodu miasto wyposażone jest w wielce marsową i okazałych rozmiarów Policję, przemieszkującą w białych pałacach o kosztownej architekturze. Policji tej przypada też zadanie wyrównywania nadmiarów publicznego bogactwa, aby niezliczone krążki złota tej Nacji nie utraciły swego waloru; i taką pilność wkłada ona w ten trud, że już ze wszystkich stron dobrze nadgryzła krajowe pieniądze — a to na parady i błyszczące stroje, a to na gimnastyki godnej zalecenia madame Eugonii, której nie mieliśmy jeszcze przyjemności poznać, a to wreszcie na atakowanie nieostrożnych mieszczan powracających z teatrum czy kinematografu bądź też udających się na przejażdżkę automobilem pośród rozkosznych ogrodów, jakie otaczają stolicę. Zadaniem owej Policji jest nadto zabawianie pokojówek paulistańskich; rzecz tu trzeba na jej chwałę, że oddaje się temu zajęciu co dnia w parkach *ad hoc* urządzonych, jak na przykład park Dom Pedro Drugiego i Świetlisty Ogród. A gdy liczebność owej Policji zwiększa się, jej ludzie posyłani są na najodleglejsze i najbardziej jałowe płaskowyże kraju, gdzie rozszarpują ich hordy olbrzymów-ludożerców, jakie grasują po naszej geografii mając jeno na względzie haniebny cel obalania uczciwych Rządów, i to powołanych za pełnym przyzwoleniem i ku uciesze ludności, jak tego można dociec ze świadectwa urn wyborczych i z agap rządowych. Podżegacze ci chwytają policjantów, pieką ich i zjadają na modłę niemiecką; ich kości, rozsypane po jałowej ziemi, są przednim nawozem na przyszłych plantacjach kawy.

Tak tedy mieszkańcy São Paulo, doskonale zorganizowani, żyją sobie i prosperują w najwyborniejszym porządku i postępie; nie szkoda im nawet czasu na wielkoduszne budowanie szpitali, które ściągają zewsząd południowoamerykańskich trędowatych — z Minas, Paraiby, Peru, Boliwii, Chile, Paragwaju; nim trafią oni do tych uroczych leprozoriów, by w nich zamieszkać i poddać się staraniom pań o wątpliwej i nadpróchniałej już piękności (zawsze to jednak panie!), ożywiają gościńce Państwa i ulice metropolii wytwornymi kawałkami bądź przepyszными maratonami, będącymi chlubą naszej rozmiłowanej w sportach rasy, w której dumnym obliczu tętni krew heroicznym big i kwadryg rzymskich!

Cóż nadto, moje damy! Siła jeszcze o tym ogromnym kraju plag, chorób i insektów, z których trzeba nam się kurować!... Wszystko toczy się w nie znającym miary rozprężeniu, zżerają nas choroby i stonogi! Wkrótce znów będziemy kolonią Anglii albo Północnej Ameryki!... Dlatego, a także na wieczną pamiątkę mieszkańców São Paulo, będących jedynymi pożytecznymi ludźmi tego kraju — skąd ich przydomek „lokomotywy” — oddaliśmy się trudowi ułożenia rymowanego dystychu, zawierającego w sobie klucz do tajemnicy tak srogiego nieszczęścia:

DUŻO MRÓWEK, ZDROWIA MAŁO
TO BRAZYLII SIĘ DOSTAŁO!

Uznaliśmy za właściwe umieścić ten dystych w księdze Znamienitych Gości Instytutu Butantan, gdy bawiliśmy w owej sławnej instytucji, znanej i w dalekiej Europie.

Mieszkają paulistanie w wyniosłych pałacach o pięćdziesięciu, stu i więcej piętach, na które spadają w okresie prokreacyjnym chmury wszelkiej maści długonogich moskitów, wielkim cieszącym się wzięciem u tubylców, jako że tak przemyślnie kąsają one damy i kawalerów w ich części wyróżniające, że gładko mogą się obywać obie płcie bez piekących pokrzyw, jakich modłą masażu ekscytujących używają mieszkańcy lasów. Zadanie to biorą na się owe stworki długonogie i takich w tej materii dokazują cudów, że co roku w nędznych dzielnicach pojawia się nieprzeliczone mnóstwo hałaśliwych dziewczynek i chłopców, zwanych tu „małymi makaroniarzami”; przeznaczeniem ich jest zasilać fabryki złotem kąpiących magnatów i jako rabowie służyć aromatycznemu wytchnieniu Krezusów.

Ci właśnie, a także i inni multimilionerzy wznieśli wkoło tej *urbs* dwanaście tysięcy fabryk jedwabiu, a w jej zaciszu — sławne manufaktury Najprzedniejszej Kawy Świata. Wszystko to misternie wyrzeżane w żakarandzie i wykładane listkami złota, jako też i barwnym szylkretem.

Pałac zasię Rządowy cały jest ze złota, na podobieństwo Pałacu Królowej Adriatyku; a Prezydent, pan wielu małżonek, u schyłku dnia zażywa przejażdżki w srebrnych karocach wyściełanych najdelikatniejszymi futrami, i uśmiecha się łagodnie.

O tych i wielu jeszcze innych wspaniałościach moglibyśmy was oświecić, panie Amazonki, gdyby nie nasza obawa przedłużenia ponad miarę tej epistoły, aliści to choćby, iż powiemy, że jest ów gród niechybnie najpiękniejszy na ziemskim padole, już wielkim jest ukłonem przed zachością tego szlachetnego ludu. Zasromać by się nam przecie wypadało, gdybyśmy ukryli w milczeniu pewną szczególną jego *curiositas*. Otóż wiedzieć wam trzeba, że bogactwo ich intelektualnej wymowności tak jest cudne, iż jednym językiem mówią, a piszą drugim. Zaraz tedy, gdy przybyliśmy w te gościnne krainy, z mozołem jęliśmy zgłębiać sejcję etnologii tych ziem, i wpośród rozlicznych siurpryz, jakie się naszym zdumionym oczom tu przedstawiły, nie najmniejszą wcale była ta lingwistyczna *originalitas*. W rozmowach paulistanie posługują się mową barbarzyńską i wieloznaczną, szpetnej konstrukcji i nieczystego wyrazu, która aliści przedziwnym rzeczy porządkiem ma jakowyś swój smak i moc, nade wszystko w wyzwiskach i słowach tyczących igrania. Zgłębiliśmy z największym staraniem te właśnie, i najmilszym będzie dla nas trudem dobrze was ich wyuczyć po naszym powrocie. A choć w rozmowie tubylcy tak nikczemną posługują się mową, to gdy tylko chwytają za pióro, wyswobadzają się z owej chropawej skóry i oto wyłania się z niej *Homo Latinus* Linn., a jego wysłowienie wcale jest inne, bardzo bliskie Wergiliuszowemu; jak to powiada panegirysta, mowa to słodka, z nieporównaną celnością i dystynkcją zwana „językiem Camõesa”! O bogactwie tym i oryginalności wielce z pewnością miło będzie wam poznać wiadomość; w większe was wszakże wprawi zdumienie, gdy się dowiedziecie, że przeważnej części onego ludu, czy nawet wszystkim, nie wystarczają te dwa języki, jeśli nie ubogacą ich najczystsza mowa italską, powszędy w tym grodzie mającą wzięcie dla swej wdzięczności i muzyki. O wszystkim tym siła nowego się nauczyliśmy, dzięki niech będą bogom; i wiele

też godzin naszego czasu strawiliśmy na roztrząsaniu kwestii litery „z” w słowie Brazylia, a też i zaimka „się”. Zakupiliśmy także mnóstwo ksiąg dwujęzycznych zwanych „bryki”, jako też dykcjonarz Mały Larousse, i już czujemy się na siłach cytować w łacińskim oryginale rozliczne zdania sławnych Filozofów, a nawet *texticula* biblijne.

Na koniec, damy Amazonki, wiedzieć też musicie, że na tę wyniosłość Progressu i lśniącej Cywilizacji wielkie to miasto dźwignęli jego znamienici obywatele; zowie się ich także Politykami. Zawołaniem tym oznacza się gatunek wielce wyrafinowanych Doktorów, równie wam nie znanych, co zgoła jakieś monstra. Bo też i Monstra są to w rzeczy samej — monstra w nieporównanej okazałości swej odwagi, mądrości, zacności i moralności. I choć niejaki podobieństwo dzielą ze śmiertelnymi, to przecież ród ich wiedzie się od uirauaçu, harpii królewskich, i z ludźmi mało mają wspólnego. Wszyscy obediencję zanoszą Cesarzowi, w potocznej mowie zwanemu Wielkim Tata; ten przemieszkuje w oceanicznym grodzie Rio de Janeiro — najpiękniejszym na świecie podług mniemania cudzoziemców. Co też i na własne oczy sprawdzić mieliśmy sposobność.

Na sam już koniec, panie Amazonki i wielce u- miłowane poddane: wiecie już, ileśmy przecierpieli i znieśli ustawicznych i gorzkich zgryzot, odkąd obowiązki właściwe naszej pozycji oddaliły nas od Imperium Dziewiczego Lasu. Tutaj wszystko jest delcją i szczęśliwym trafem, wszelka atoli rozkosz i wczas będą nam odjęte, jak długo nie odzyskamy utraconego talizmanu. Powtarzamy jednak z mocą, że stosunki nasze z Doktorem Wacławem są najlepsze pod słońcem; że negocjacje zostały już rozpoczęte i mają najpiękniejsze widoki; i że już z góry mogłybyście wysłać stosowne, wyżej wzmiankowane znaleźne. Wstrzemięźliwy wasz Imperator ukontentuje się małym: gdybyście nie mogły wysłać dwustu czołen pełnych owoców kakao, wyślijcie sto albo nawet pięćdziesiąt!

Przyjmijcie błogosławieństwo waszego Cesarza i braterskie życzenia zdrowia. Ze czcią i posłuszeństwem czytajcie te niedołącznie nakreślone słowa; a nade wszystko nie zapominajcie o znaleźnym i Polkach, których przemożną odczuwamy potrzebę.

Niech Ci zachowa w opiece Wasze Excelencje,

Macunaima, Cesarz.

PAUÍ-PŌDOLE

Wacław Pietro Pietra bardzo zachorzał po owych ciągach i przez wiele miesięcy leżał w hamaku, obłożony gałązkami drzewa bawelnianego. Macunaima nie mógł teraz przedsięwziąć niczego dla odzyskania Muirakitana, przechowywanego obecnie pod cielskiem olbrzyma, w muszli ślimaka. Wpadł na pomysł, żeby wpuścić mu do kaptura mrówkę cupim, bo to, jak powiadają, sprowadza śmierć, ale Piainan stopy miał do tyłu i nie używał kaptura. I ani wte, ani wewte; bardzo to złościło Macunaimę, który całymi dniami wylegiwał się w hamaku żując pączki maniokowe i zakrapiając je porządnymi łykami gorzałki. W owym czasie zastukał do drzwi pensjonatu z prośbą o nocleg Indianin Antonio, słynny święty, wraz ze swą żoną, Matką Bożą. Przyszedł w odwiedziny do Macunaimy, wygłosił przemówienie i ochrzcił bohatera w obliczu mającego nadejść boga o kształcie ni to ryby, ni to tapira. W ten sposób Macunaima przyjęty został na łono religii Caraimonhaga, robiącej prawdziwą furorę w sertonie stanu Bahia.

Czas wyczekiwania wykorzystywał Macunaima na doskonalenie się w dwu językach

tego kraju: mówionym brazylijskim i portugalskim pisany. Znał już nazwy wszystkich rzeczy. Pewnego dnia — było to Święto Kwiatów, wymyślone po to, żeby Brazylijczycy nauczyli się miłosierdzia — wyroliło się tyle moskitów carapanã, że Macunaima rzucił w diabły naukę i wyszedł do miasta, żeby przewietrzyć sobie mózgowicę. I ujrzał tam obłądne mrowie różnych rzeczy. Zatrzymywał się przed każdą witryną i oglądał badawczo ten natłok potworności, wyglądający zupełnie jak góra Ararat, kiedy w czasie wielkiego światowego potopu wszystko, co żyje, schroniło się na jej szczycie. Macunaima chodził sobie i chodził, aż natknął się na dziewczuskę z koszykiem pełniuteńkim róż. Podłotek zatrzymał go i wetknął mu kwiat do butonierki, mówiąc:

— Płaci pan milrejsa.

Macunaima bardzo się zdenerwował, bo nie wiedział, jak nazywa się ta dziura w maszynie-ubrani, w którą dziewczątka wetknęła mu kwiat. A ta dziura nazywała się butonierka. Łamał sobie głowę, przetrząsał wszystkie zakamarki pamięci, lecz nigdy przenigdy nie słyszał nazwy tej dziury. Zamierzał to nazwać właśnie dziurą, ale natychmiast spostrzegł, że pomyliłby ją z innymi dziurami na tym świecie, i zrobiło mu się wstyd przed dziewczyną. W piśmie ludzie używali słowa „otwór”, ale nikt przecież za żadne skarby nie powiedziałby „otwór”. Medytował i medytował, nie udało mu się jednak wpaść na to słowo; i nagle zauważył, że z ulicy Prostej, gdzie spotkał dziewczuskę, uszedł już kawał drogi, aż znalazł się na São Bernardo, minawszy przedtem siedzibę mistrza Kosmy. Zawrócił więc, zapłacił dziewczynie i rzekł do niej naburmuszony:

— Ładnie mnie pani urządziła na cały dzień, nie ma co! Proszę nigdy więcej nie wsadzać mi kwiatka do tej... ciupci, proszę pani!

Macunaima miał gębę niewyparzoną. Wielkie wygadywał świństwa, naprawdę! Dziewczątka nie wiedziało, że „ciupcia” to brzydki wyraz, i gdy nasz bohater wytracony z równowagi przez to zdarzenie wracał do pensjonatu, ona skręcała się ze śmiechu, tak jej przypadło do smaku to słowo. „Ciupcia...” mówiła do siebie. I powtarzała to z lubością: „ciupcia... ciupcia...” myśląc, że to jest w modzie. I wszystkich naokoło zaczęła rozpytywać, czy nie chcą, żeby im wetknęła różę do ciupci. Jedni chcieli, inni nie, pozostałe dziewczęta usłyszały słówko, zaczęły go używać i „ciupcia” chwyciła. I nikt już nie używał słowa „butonierka”, tylko „ciupcia” i „ciupcia”, wszędzie.

Macunaima przez tydzień był zły jak ocet, nie jadł, nie baraszkował, nie spał, bo zapragnął wyuczyć się porządnie języków tej krainy. Miał ochotę zapytać innych, jak nazywa się ta dziurka, ale wstydził się; na pewno pomyślał, że jest ignorant i tuman. Nareszcie przyszła niedziela-do-wesela, dzień Krzyża Południa, nowego święta, żeby Brazylijczycy mogli sobie lepiej odpocząć. Z rana na Mooce odbyła się parada wojskowa, w południe — msza połowa u Najświętszego Serca, o piątej po południu — korso i bitwa na konfetti w alei Rangel Pestana, wieczorem zaś — po przemarszu bandy deputowanych i próżniaków ulicą Quinze — miał być pokaz ogni sztucznych na Ipirandze. I Macunaima, żeby się rozerwać, poszedł do parku na ten pokaz.

Wychodząc z pensjonatu wpadł na jasnoskórą, złotowłosą panienkę, dziewczynkę z maniokowej mączki jak się patrzy, ubraną na biało i w kapeluszu z czerwonego włókna palmy tucumã, obsypanym stokrotkami. Na imię miała Fräulein i zawsze brakowało jej opieki. Poszli tam razem. Park było to istne чудо. Tyle tam było maszyn-wodotrysków, pomieszanych z maszynami-lampami elektrycznymi, że ludzie w ciemności opierali się jedni o drugich i chwyтали za ręce, żeby nie rozpląnąć się w zachwycie. Tak właśnie uczyniła panna, Macunaima zaś szepnęła cichutko:

— Mani... dziewczynko z maniokowej mączki!...

Po czym wruszona do łez Niemeczka obróciła się do niego i spytała, czy pozwoli jej wetknąć sobie tę stokrotkę w ciupcię. Nasz bohater zrazu zbaraniał, zamurowało go! i chciał się rozniewać, skojarzył jednak fakty i uświadomił sobie, że jest bardzo inteligentny. Wybu-

chnął gromkim śmiechem.

Otóż stało się tak, że „ciupcia” zagościła już na łamach fachowych czasopism roztrząsających wielce uczenie język mówiony i pisany; w sposób więcej niż pewny wykazały one, że na mocy praw katalepsy elipsy synkopy metonimii metafonii metatezy proklizy protezy aferezy apokopy haplologii etymologii ludowej, wszystkich tych praw, słowo „butonierka” przekształciło się ostatecznie w „ciupcie”, przechodząc przez stadium pośrednie — słowo łacińskie *rabanitius* („butonierka” → *rabanitius* → „ciupcia”), aczkolwiek słowa *rabanitius* nie spotkano w żadnym ze średniowiecznych tekstów pisanych; wszelako uczeni twierdzili, że z całą pewnością istniało ono i było powszechnie używane w *sermo vulgaris*.

W pewnej chwili jakiś bardzo ciemny Mulat wdrapał się na posąg i rozpoczął entuzjastyczną orację mającą wyjaśnić Macunaimie, co to takiego ten dzień Krzyża Południa. Otóż według niego na czyściutkim nocnym niebie nie było ani chmurek, ani Capei. To, co na nim widzimy, proszę państwa, to są znajomi, „ojcowie drzew”, „ojcowie ptaków”, „ojcowie zwierzyny”, a także rodzice, bracia, ojcowie, matki, ciotki, szwagierki, kobiety, panienki — wszystkie owe mrugające gwiazdeczki, szczęśliwe w tym kraju wolnym od zła, gdzie dużo jest zdrowia, mało zaś mrówek — hen, na firmamencie. Macunaima słuchał przepelniony wdzięcznością i zgadzając się z każdym słowem tej długiej mowy, jaką kierował doń orator. Dopiero gdy facet pokazał wszystko palcem i dokładnie opisał, Macunaima zdał sobie sprawę, że ten niby Krzyż Południa to przecie nic innego jak cztery gwiazdy, które dobrze znał jako Ojczulka Mutuma, przemieszkującego na niebieskich błoniach. Kłamstwo Mulata doprowadziło go do wściekłości, więc ryknął:

— To wcale nie tak!

— ...Szanowni państwo — perorował tamten — owe cztery gwiazdy lśniące niby cztery płomienne łyzy, jak to powiada natchniony poeta, to przenajświętszy, uświęcony tradycją Krzyż Południa, który...

— Nie, wcale nie!

— Fiu! Fiu!

— ...symbol naj...

— Ale gdzie tam!

— Słusznie mówi!

— Przegonić go!

— Fiu! Fiu!

— ...wznioślejszy i najcu-cudowniejszy naszej u-ukochanej ojczyzny to właśnie ów skrzący się i tajemniczy Krzyż Południa, który...

— Bzdury!

— ...widzicie jako...

— Nie pieprz pan!

— ...jego ...cztery błyszczące srebrne pacior...

— Nie, wcale nie!

— Nie! Nie! — krzyczała już reszta.

Cały ten harmider na koniec zbił z pantałyku Mulata, ludzie zaś, podnieceni tym „nie, wcale nie!” naszego bohatera, nabrali wielkiej ochoty, żeby trochę poszumieć. Ale Macunaima aż się trząsł, tak był rozeźlony. Wskoczył na posąg i rozpoczął historię Ojczulka Mutuma. Szła ona tak:

— Nie, wcale nie! Drogie panie, drodzy panowie! Te cztery gwiazdy tam, wysoko, to Ojczulek Mutum! Ludzie, klnę się, że to Ojczulek Mutum, co tam mieszka, na rozległych polach niebieskich!... Było to w czasach, kiedy zwierzęta już przestały być ludźmi, a stało się w wielkim lesie Jakimstam. Było sobie raz dwóch szwagrów, co mieszkali bardzo daleko jeden od drugiego. Jeden nazywał się Camã-Pabinque i był czarownikiem. Pewnego razu szwagier tego Camã-Pabinque poszedł do lasu, żeby sobie trochę popolować. Polował, aż tu

nagle spotyka się z Paui-Pódole i jego kumplem, świetlikiem Camaiuí. A ten Paui-Pódole to był właśnie dziki kogut Ojczulek Mutum. Siedział sobie wysoko na gałęzi acapu i odpoczywał. No więc szwagier czarownika wrócił do wioski i powiedział swojej towarzyszcze, że spotkał Paui-Pódole i jego kumpla Camaiuí. A ten Ojczulek Mutum i jego kumpel w tych dawnych czasach byli ludźmi, całkiem tak jak my. I ten człowiek powiedział jeszcze, że miał wielką ochotę zabić Paui-Pódole z dmuchawki, ale nie mógł dosięgnąć Ojczulka Mutuma na jego gałęzi, było za wysoko. I złapał swój oścień z pracuuby z bambusowym grotem, i poszedł łowić ryby caratai. Po chwili do chaty szwagra wszedł Camã-Pabinque i rzekł:

— Siostró, co ten twój chłop ci powiedział?

I siostra opowiedziała wszystko czarownikowi, i że Paui-Pódole siedział wysoko na gałęzi acapu razem ze swoim kumplem, świetlikiem Camaiuí. Nazajutrz skoro świt Camã-Pabinque wylazł ze swojego szałas i znalazł Paui-Pódole; siedział na acapu i gdał. Wtedy czarownik zamienił się w mrówkę tocandeira Ilague i zaczął się wspinać po pniu drzewa, ale Ojczulek Mutum zauważył go i zapiał z całej siły. Rozszalała się taka wichura, że czarownik zleciał z drzewa i spadł w zarośla poszycia. Wówczas zamienił się w małą mrówkę tacuri Opalá i znowu zaczął się pisać po pniu, ale Paui-Pódole znów go spostrzegł. Dmuchnął i leciutki powiew zniósł mróweczkę Opalá gdzieś w chaszczce. I wtedy Camã-Pabinque przedzie-rzgnął się w mrówkę-nogomyjkę zwaną Megue, tycią tyciunią, wspiął się na acapu, porządnie uciął Ojczulka Mutuma w delikatne wnętrze nosa, zwinął swoje drobne ciało, ujął dupcię pomiędzy łapki i sik! wpuścił mu trochę kwasu mrówkowego. Ludzie, co się działo! Paui-Pódole latał tu i tam jak szalony, taki straszny czuł ból, wreszcie kichnął potężnie i wyrzucił daleko mrówkę Megue. Czarownik nie mógł już wyswobodzić się z ciała mrówki, tak się przelał.

No i pozostał w ciele mrówki-nogomyjki, na nasze utrapienie... Słuchajcie, ludzie:

*Dużo mrówek, zdrowia mało,
to Brazylii się dostało!*

tak jakem już powiedział! Następnego dnia Paui-Pódole postanowił zamieszkać w niebie, żeby już nie cierpieć od naszych mrówek. Tak też zrobił. Swojego kumpla świetlika poprosił, żeby szedł przed nim i oświetlał drogę swoimi zielonymi latarenkami. Świetlik Cunavá, siostrzeniec tamtego, szedł przodem oświetlając drogę Camaiuí; swojego brata poprosił, żeby szedł przed nim i oświetlał drogę jemu samemu. A brat poprosił ojca, ojciec matkę, matka — cały swój ród, szefa policji, inspektora dzielnicowego i wielu, wielu innych — leciała cała chmara świetlików, nawzajem oświetlających sobie drogę. Spodobało im się to, lecieli tak jedni za drugimi i nigdy już nie powrócili z rozległych pól niebieskich. To właśnie jest ta świetlista droga, przecinająca przestrzeń, o, stąd ją widać. Wtedy Paui-Pódole wznosił się do nieba i został tam. Ludzie, te cztery gwiazdy to nie żaden tam Krzyż Południa, co za bzdura! To ojczulek Mutum! Ojczulek Mutum, ludzie! To Ojczulek Mutum, Paui-Pódole, co zamieszkał w niebie... I to jest cała historia.

Wyczerpany Macunaima umilkł. Wówczas ze zgromadzonego tłumu podniósł się przeciągły szmer zadowolenia, od którego jeszcze mocniejszym blaskiem rozświetlił cały ten niebieski lud — ojcowie ptaków, ojcowie owadów, ojcowie ryb, ojcowie drzew — wszyscy dobrzy znajomi, zamieszkujący rozległe pola niebios. Niezmierne było uszczęśliwienie całego tego paulistańskiego ludku, wznoszącego oszołomione spojrzenia ku niebieskiemu plemieniu, rodzicielowi żywych stworzeń, co połykiwał w swej wyniosłej siedzibie. Wszyscy oni byli najpierw ludźmi, a potem tajemniczymi stworzeniami, które spłodziły wszelkie żywe istoty. Teraz są gwiazdkami na niebie.

Ludzie rozeszli się wzruszeni, szczęśliwi, z sercami pełnymi tego, co im wytłumaczył Macunaima, i żywych gwiazd. Odtąd nikt nie przejmował się już ani dniem Krzyża Południa,

ani maszyną-wodotryskiem połączoną z maszyną-latarnią elektryczną. Poszli do domów, aby pod prześcieradło podścielić sobie ceratki; tej nocy zabawiali się ogniem, więc na pewno posiusiają się do łóżek. Wszyscy poszli spać. Zapadły ciemności.

Przycupnięty na posągu Macunaima pozostał sam. On też był wzruszony. Spojrzał w górę. Jaki tam Krzyż Południa! To Paui-Pódole, widać go dobrze... I Paui-Pódole uśmiechał się do niego, dziękując. Naraz zapał przeciągle niby kolej żelazna. Ale to wcale nie był pociąg, tylko pianie dzikiego koguta, którego podmuch zgasił wszystkie światła w parku. Wtedy Ojczulek Mutum miękko zamachał skrzydłem, żegnając się z bohaterem. Macunaima zamierzał podziękować, ale ptak, wznosząc kurzawę mgły, zerwał się do wielkiego lotu poprzez bezkresny przestwór nieba.

STARA CEIUCI

Nazajutrz bohater obudził się bardzo przeziębiony, a to dlatego, że pomimo nocnej duchoty spał w ubraniu, z lęku przed demonem Caruviana, który chwyta człowieka śpiącego nago. Sukces mowy wygłoszonej poprzedniego wieczora bardzo wbił go w pychę, toteż w niecierpliwości spędził dwa tygodnie w łóżku, chorując; postanowił, że opowie narodowi jeszcze parę innych takich historii. Gdy jednak poczuł się wreszcie dobrze, był ranek, a przecież temu, kto za dnia bajdurzy, ogon wyrośnie szczurzy. Dlatego zaproponował braciom polowanie; tak też zrobili.

Kiedy dotarli do Lasku Saúde, bohater mruknął:

— Tu będzie dobrze.

Rozstawił braci na zasadzce, w lesie podłożył ogień i sam też się przyczaił czekając, aż wyskoczy na niego z lasu jakiś jelen. Lecz jelenia nie było tam ani śladu, ani na lekarstwo, i gdy ogień się dopalił — co wyskoczyło, no co? — tylko dwie marne myszy o nadsmalonej sierści. Więc bohater upolował te myszy, zjadł je i nie zawoławszy braci powrócił do pensjonatu.

Tam zebrał wszystkich sąsiadów służących właścicielkę dziewczuszki maszynistki studentów urzędników, całą masę urzędników! no, wszystkich, i opowiedział im, że był na polowaniu na rynku w Arouche i że zabił...

— ...dwa leśne jelenie, nie, co ja mówię, nie leśne, tylko z buszu, zjedliśmy je razem z braćmi. Nawet przyniosłem niezły kawał dla was, ale tam na rogu pośliznąłem się, węzełek mi wypadł i pies wszystko zeżarł.

Wszyscy bardzo zdumieli się tą historią i nikt nie uwierzył naszemu bohaterowi. Kiedy powrócili Maanape i Jiguê, sąsiedzi zapytali ich, czy to prawda, że Macunaima na rynku w Arouche upolował dwa jelenie z buszu. Bracia rozeźlili się bardzo, nie potrafili bowiem kłamać, i wykrzyknęli wielce poirytowani:

— Jakie tam jelenie! Bohater nigdy w życiu nie zabił jelenia! Tam nie było nawet śladu jelenia! Krowa, co dużo ryczy, mało mleka daje, tak, ludzie! Były tylko dwie myszy z nadsmaloną sierścią, Macunaima je złapał i zjadł.

Wtedy sąsiedzi zrozumieli, że bohater ich nabrał, i bardzo się rozgniewali. Wpadli do jego pokoju, żeby zażądać satysfakcji. Macunaima grał sobie właśnie na piszczałce zrobionej z gałązki papai. Przestał dmuchać, przyciął ustnik flecika i ze zdziwieniem, bardzo spokojnie rzekł:

— A cóż to znowu za zbiegowisko w moim pokoju! ... Ludzie, to niezdrowo!

Wszyscy zaczęli pytać:

— Bohaterze, coś ty właściwie upolował?

— Dwa leśne jelenie.

Wówczas służący dziewczęta studenci urzędnicy, wszyscy sąsiedzi jęli głośno się z niego śmiać. Macunaima nadal przycinał ustnik flecika. Właścicielka, założywszy na brzuchu ramiona, tak zeń szydziła:

— Ależ skarbie mój, dlaczego mówisz, że to były dwa jelenie leśne, skoro to były dwie myszy z osmoloną sierścią!

Macunaima spojrział na nią, o tak, i odparł:

— Kłamałem.

Wszystkim sąsiadom miny wydłużyły się jak Andrzejowi; wymykali się cichutko jeden po drugim.

A ten Andrzej to był sąsiad, co miał zawsze zawstydzoną minę. Maanape i Jiguê popatrzyli na siebie; zazdrościli bratu inteligencji. Maanape rzekł jeszcze do niego:

— Dobrze, bohaterze, ale po coś skłamał?

— To niechcący, naprawdę... chciałem ludziom opowiedzieć, jak to było, ale zanim się spostrzegłem, już łgałem...

Cisnął precz piszczałkę, chwycił marakasy, odchrząknął i zaczął podśpiewywać. Nucił przez calutkie popołudnie — melodię tak, ale to tak ponurą, że przy każdej zwrotce łzy lały mu się z oczu. Przestał, bo szloch nie pozwalał mu kontynuować. Cisnął precz marakasy. Na zewnątrz smutny zmierzch zapadał w gęstą mgłę. Macunaima poczuł się nieszczęśliwy i zatęsknił strasznie za niezapomnianą Ci. Zawołał braci, aby mogli pocieszać się nawzajem. Maanape i Jiguê usiedli koło niego na łóżku; w trójkę długo rozprawiali o Matce Lasu. I aby przegnać chandrę, mówili o ostępach, sawannie, mgłach, bogach i zdradzieckich brzegach Uraricoery. Tam się urodzili i tam po raz pierwszy śmiali się w swoich kołyskach... Rozwaleni w hamakach zawieszonych na otwartej przestrzeni wokół chat, Guirowie śpiewali przez cały boży dzień, a było ich przeszło pięćset rodzin... Prawie piętnaście razy po tysiąc gatunków zwierząt straszło w tych lasach, gdzie drzew było bez liku, miliony i miliony... Któregoś dnia pewien biały przyniósł z kraju Anglików w gotyckim koszu katar sprawiający, że Macunaima szlocha teraz z tęsknicy... Przeziębienie zamieszkało w dziurze mrówek mumbuca, czarnych jak noc. W ciemnościach upał stawał się miękki, jak gdyby wychodził z wody; przy pracy śpiewało się; nasza matka przemieniła się we wzgórek z miękkiej ziemi w miejscu zwanym Ojciec Mrówek Tocandeira... Psiakość!... I trzech bracia posłyszeli tuż koło siebie szmer Uraricoery! Och, jak tam było dobrze! Bohater ryknął wielkim płaczem i rzucił się w tył, na łóżko.

Gdy Macunaima wyplakał się już do woli, utłukł parę moskitów i zapragnął rozrywki. Przypomniał sobie, że miał skląć matkę olbrzyma pewnym brzydkim słowem świeżutko przybyłym z Australii. Zamienił Jiguęgo w maszynę telefoniczną, ale braciszek był jeszcze zupełnie skołatany tą historią naszego bohatera i nie łączył, aparat był uszkodzony. Wówczas Macunaima pociągnął sobie dymku z nasion paricá, żeby mieć smakowite sny, i zasnął.

Następnego dnia przypomniał sobie, że trzeba się zemścić ma braciach, i postanowił zrobić ich w tęgiego capa. Wstał wczesnym rankiem i poszedł ukryć się w pokoju właścicieli; żeby zabić czas, zabawiał się z nią. Potem wrócił i zaferowany powiedział braciom:

— Hej, braciszku, natrafiłem na świeżutki ślad tapira, przed samą Giełdą Towarową!

— Bajuj-bajuj, będziesz w rajach!

— Właśnie. Kto by powiedział!

Nikt jeszcze nie upolował tapira w mieście. Bracia całkiem zbaranieli i poszli z Macunaimą zapolować na zwierzaka. Zjawili się tam, zaczęli szukać śladu, a cały ten ogromny tłum kupców handlarzy pośredników makaroniarzy, widząc trzech braci węszących z nosami przy asfalcie, też wszczął poszukiwania. Szukali tu, szukali tam, i co, znalazłeś? oni też nie!

Więc spytali Macunaimę:

— Gdzieś ty widział trop tapira? Tutaj nie ma nic takiego.

Macunaima nie przestawał szukać, gadając bez przerwy:

Tetâpe, dzónanei pemonéite hêhê zetêne netaite taite.

I bracia przekupnie naganiacze domokrażcy magdalenki Węgrzy znów zabierali się do poszukiwań. Gdy byli zmęczeni i przerywali, żeby zapytać, Macunaima, szukając bez ustanku, odpowiadał:

— Tetâpe, dzónanei pemonéite hêhê zetêne netaite.

A cała ta hałastra znów szuka i szuka. Była już niemal noc, gdy zniechęceni dali za wygraną. Wtedy Macunaima jął się usprawiedliwiać:

— Tetâpe dzónanei pemo...

Wszyscy zaczęli rozpytywać, co znaczą te słowa, i nie pozwolili mu skończyć. Macunaima odrzekł:

— Nie wiem. Nauczyłem się ich w domu, kiedy byłem malutki.

Tłum bardzo się roznamiętnił. Macunaima odsunął się nieznacznie, mówiąc:

— Ludzie, tylko spokojnie! Tetâpe hêhê! Nie powiedziałem, że jest tutaj ślad tapira, powiedziałem, że był! A teraz już go nie ma.

Zrobiło się gorąco. Jeden z kupców rozsierzdził się nie na żarty, pewien reporter zaś, stojący obok niego, widząc, jak tamten jest wściekły, także wpadł w okropny gniew.

— Nie, tak nie można! Człowiek haruje w pocie czoła na chleb, a tu zjawia się taki typ i odrywa go od roboty na cały dzień, żeby gonił za tropem jakiegoś tam tapira!

— Przepraszam, chłopcze, ale ja wcale nie prosiłem nikogo, żeby szukał śladu! To moi bracia, Maanape i Jiguê, chodzili i prosili! To ich wina!

Wówczas ludzie, rozżłoszczeni już na dobre, zwrócili się przeciwko Maanapemu i Jiguemu. Wszyscy, a było ich wielu! — mieli wielką chętkę urządzić jakąś drakę. Wtedy pewien student wdrapał się na maskę auta i wygłosił przemówienie, oskarżając Maanapego i Jiguego o niesłychane występki. Tłumem zawładnęła wściekłość.

— Szanowni państwo, życie tak wielkiego centrum miejskiego jak São Paulo wymaga tak wielkiej intensywności w codziennym trudzie, że cudowna harmonia jego rozwoju nie dozwala na choćby najbardziej krótkotrwałe pojawienie się różnych nieszkodliwych istot. Dlatego *una voce* powstańmy przeciwko zgubnym miazmatom, plugawiącym nasz organizm społeczny; ponieważ zaś Rząd przymyka oczy i trwoni fundusze Narodu, przeto sami będziemy sędziami...

— Zlinczować! Zlinczować! — zaczął wrzeszczeć tłum.

— Spróbujcie tylko! — wykrzyknął Macunaima biorąc braci pod swe skrzydła.

I znów wszyscy zwrócili się przeciwko niemu, a bardzo już byli rozeźleni. Student - samotnie kontynuował:

— ...a kiedy uczciwą pracę zakłóca jakiś nieznajomy...

— Co? Ja jestem nieznajomy? — ryknął urażony Macunaima.

— Ty!

— Wcale nie!

— A tak!

— No to idź się wypchać, smarkaczu! To twoja matka jest nieznajoma, słyszysz? — i zwracając się do ludu: — No, a co wy myślicie, że może mam pietra, co? Niedoczekanie wasze! Nawet gdyby was były dwa tysiące, albo i dziesięć, to i tak w mig się z wami załatwię!

Przed bohaterem tkwiła jakaś rozpustnica; obróciła się do stojącego za nią kupca i ofuknęła go:

— Łapy przy sobie, bezwstydniku!

Bohatera oślepiła wściekłość, myślał, że to do niego:

— Jakie „łapy przy sobie”, ty szkapo! Ciebie miałbym macać, co?

— Zlinczować sprostnika! Dać mu wciery!

— Spróbujcie, wy gnojki!

I ruszył naprzeciwko tłumowi. Adwokat chciał czmychnąć, ale Macunaima wymierzył mu kopniaka w plecy i jął roztrącać ciżbę, kopiąc na prawo i lewo i waląc bykiem. Naraz ujrzał przed sobą wysokiego, bardzo przystojnego blondyna. A to był gliniarz. Macunaima na widok tak wielkiej urody poczuł nienawiść, więc zasunął gliniarzowi solidną fangę w ryło. Ten wrzasnął i bełkocząc coś w cudzoziemskim języku ułapił bohatera za kark.

— Aresztuję pana!

Bohater zdrętwiał:

— Aresztować, za co?

W odpowiedzi policjant wyrzucił z siebie chmarę słów w obcym języku i nie popuszczał.

— Przecież ja nic nie zrobiłem! — szeptał wystraszony bohater.

Glina jednak nie miał ochoty na pogawędkę i ruszył w dół ulicy, a za nim cały ludek. Pojawił się drugi glina i obaj bardzo, ale to bardzo długo! szwargotali w obcej mowie, popychając przed sobą naszego zucha w dół uliczki. Ktoś, kto był świadkiem wszystkiego, opowiedział, co się stało, pewnemu panu stojącemu w drzwiach owocarni, a ten, bardzo zmartwiony, przedarł się przez tłum i zatrzymał policjantów. Byli już na ulicy Libero. Wówczas ów pan wygłosił mowę do gliniarzy, że nie powinni byli aresztować Macunaimy, bo przecież nic nie zrobił. Dołączyła do nich grupa innych glin, ale żaden nie zrozumiał nic z tej przemowy, bo ani trochę nie kapowali po brazylijsku. Kobiety łały łzy współczucia nad bohaterem. Gliny szwargotały okropnie w obcym języku, gdy wtem jakiś głos krzyknął:

— Tak nie można!

Wtedy tłum ogarnęła wielka ochota znowu trochę porozrabiać i ze wszystkich stron rozległy się okrzyki: „zjeżdżaj!”, „zostaw go!”, „nie wolno”, „nie wolno wam go brać!”, straszny zgiełk, „puszczaj”. Pewien fazendeiro zbierał się do wygłoszenia mowy pełnej obelg pod adresem policji. Gliny nie rozumiały z tego nic i wielce skonfundowane gestykulowały, rozprawiając w nieznanym języku. Zrobiło się straszne zamieszanie. Skorzystał z tego bałaganu Macunaima i żwawo wziął nogi za pas — tyle go widziano! Po szynach nadjeżdżał rozklekotany tramwaj. Macunaima wskoczył doń w biegu i pojechał zobaczyć, jak się miewa olbrzym.

Wacław Pietro Pietra zaczął już dochodzić do zdrowia po laniu, jakie otrzymał w czasie macumby. W domu było okropnie gorąco, bo nadeszła właśnie pora warzenia polenty, na dworze zaś, dzięki południowemu wiatrowi, panowała miła świeżość. Dlatego też olbrzym, stara Ceiuci z dwiema córkami i służba wynieśli krzesła i usadowili się w drzwiach wychodzących na ulicę, żeby zażywać chłodka. Olbrzym nie uwolnił się jeszcze z bawełnianych powijaków i wyglądał jak chodzący tłumok. Rozsiedli się.

Drobny deszczyk Kapuśniaczek mżył sobie to tu, to tam po całej dzielnicy, aż natknął się na Macunaimę zerkającego zza rogu. Przystanął i przyjrzał się bohaterowi. Macunaima obrócił się:

— No i co się tak gapisz!

— Co ty tu robisz, przyjacielu?

— Chcę nastraszyć olbrzyma Piaimana i jego rodzinę!

Kapuśniaczek drwiąco:

— Co? Ty myślisz, że on się będzie ciebie bał?

Macunaima popatrzył na bledziutką mżawkę i ogarnęła go złość. Chciał ją uderzyć, ale machinalnie sobie przypomniał: „Kiedy czujesz, że krew cię zalewa, odetchnij i policz w myśli do dziesięciu”; policzył więc i uspokoił się. Dopiero wtedy rzekł:

— Chcesz się założyć? Jak tylko zechcę, to dopnę swego, i gwarantuję ci, że Piaiman ze strachu przede mną czmychnie do środka. Tylko schowaj się tu blisko i posłuchaj, co będą

mówić.

Deszczyk ostrzegł:

— Oj, przyjacielu, uważaj tylko na tego olbrzyma! Wiesz już, do czego on jest zdolny. Piaiman niby to jest słabiutki, słabiutki, ale cicha woda brzegi rwie... Jeśli naprawdę nie masz stracha, zakład stoi.

Zamienił się w kroplę i spadł obok Waclawa Pietro Pietry, jego małżonki i córek oraz służby. Wówczas Macunaima złapał pierwsze w kolekcji brzydkie słowo i cisnął je w twarz Piaimana. Słowo wyrznęło go krzepko, ale Waclaw Pietro Pietra wcale się tym nie przejął, całkiem jak słoń. Macunaima wypuścił na diablisko następne, jeszcze grubsze i brzydsze słowo; obelga znów rąbnęła go mocno, ale i tym razem nikt jakoś się nią nie przejął. Wtedy Macunaima wystrzelił całą kolekcję brzydkich wyzwisk, a było ich dziesięć tysięcy po dziesięć tysięcy. Waclaw Pietro Pietra spokojnie rzekł do starej Ceiuci:

— Niektórych jeszcze nie znaliśmy, schowaj trochę dla córek.

Wtedy Deszczyk powrócił na róg. Bohater zaczął się przechwalać:

— No i co, mieli mojra, czy nie mieli!

— Ależ skąd, żadnego mojra, kolego! Kilka przekleństw olbrzym nawet kazał schować dla córek, do zabawy. Za to mnie się wystraszą, chcesz się założyć? Podejź tam tylko i posłuchaj.

Macunaima zmienił się w caxiparę, samca mrówki, i wwiercił się w kłęby bawełny, które spowijały olbrzyma. Deszczyk dosiadł kłębu mgły, a gdy przepływał ponad rodziną, wysusiał się w powietrzu. Zaczęły spadać krople, a jedna z nich pacnęła dłoń olbrzyma, którego bardzo przeraził ten potop.

— Uciekajmy!

I wszyscy w wielkim strachu uciekli do środka. Wtedy Deszczyk zsiadł i rzekł do Macunaimy:

— Widziałeś?

I tak jest do dzisiaj: rodzina olbrzyma boi się Deszczyka, brzydkich zaś słów — nie.

Macunaimę bardzo to rozzłościło. Spytał rywala:

— Ty, powiedz mi jedną rzecz: znasz język-przejęprzeżyk?

— W życiu nie słyszałem!

— No to posłuchaj, rywalu: przejęprzeżdżajprzewdiaprzebły!

I pomknął do pensjonatu.

Bardzo był jednak zirytowany tym, że przegrał zakład; wtedy przyszło mu na myśl, żeby iść na ryby. Ale nie miał czym łowić: ani strzałą ani gałazkami timbó ani kulkami maniokowymi z trucizną cunambi ani liśćmi tigui ani w wydrążony pień ani w potrzask ani na wędkę ani ościeniem ani w więcierz z lian ani na przynętę gaponga ani na kotwiczkę ani na ciężarek ani harpunem ani koszykiem ani na podrywkę ani na robaka ani na pajaka ani na muchę ani na haczyk ani na błystkę ani na drygawicę ani siecią ani na kołowrotek ani sakiem — na wszystkie te przyrządy, trucizny i pułapki, bo ich nie miał. Zrobił sobie haczyk z wosku pszczoły mandaguari, ale za każdym razem, gdy złapał się jakiś kiełb, uciekał razem z haczykiem. W pobliżu siedział jednak Anglik łowiący ajmary na prawdziwą wędkę. Macunaima wrócił do domu i rzekł do Maanapego:

— Co tu robić? Pozostaje nam tylko zabrać wędkę temu Anglikowi. Zamienię się w fałszywą ajmarę, żeby oszukać tego befsztyka. Jak mnie złowi i da mi w łeb, zrobię „pyk”, że niby wyzionąłem ducha. On wrzuci mnie do koszyka, ty prosisz go o największą rybę, a to właśnie będę ja.

Tak zrobił. Zmienił się w ajmarę, chlupnął do jeziora, Anglik go złapał i trzasnął w łeb, Bohater zrobił „pyk”, ale Anglik wyjął haczyk z pyska ryby. Nadszedł Maanape i bardzo chytrze poprosił Anglika:

— Panie Yes, dasz pan rybkę?

— *All right.* — I dał mu rybę lambari z czerwonym ogonem.

— Panie Anglik, ja zdycham z głodu, daj pan jakąś większą! O, tę tutaj, tłustą, z koszyka!

Macunaima lewe oko miał przymknięte, jakby spał, ale Maanape znał go dobrze, był przecież czarownikiem. Anglik dał ajmarę Maanapemu, który podziękował i odszedł. Gdy uszedł już z półtorej mili, ajmara znów zamieniła się w Macunaimę. I tak trzy razy, a Anglik za każdym razem wyciągał haczyk z gardła bohatera. Macunaima szepnął do brata:

— Cóż tu robić! Trzeba będzie ukraść Anglikowi haczyk. Zmienię się w fałszywą piranię i urwę haczyk.

Zamienił się w żarłoczną piranię, skoczył do wody, zerwał haczyk i znów odzyskał dawną postać o jakieś półtorej mili w dół rzeki w miejscu zwanym Studnia Śliwca, gdzie leżały głazy pokryte czerwonymi znakami pisma Fenicjan, wyrwał haczyk z gardła bardzo zadowolony, bo teraz mógł już łowić wszystkie ryby — corimã piraiba aruana pirara piaba. Obaj bracia właśnie mieli odejść, gdy usłyszeli, jak Anglik mówi do Urugwajczyka:

— Co ja teraz pocznę? Nie mam już haczyka, połknęła go pirania. Przyjacielu, idę do twojego kraju.

Wówczas Macunaima uczynił zamaszysty gest oboma ramionami i krzyknął:

— Zaczekaj trochę, bladolicy!

Anglik odwrócił się i Macunaima ot tak, dla hecy, zamienił go w maszynę-London Bank.

Następnego dnia oznajmił braciom, że idzie łowić wielkie ryby w kanale Tietê. Maanape uprzedził go:

— Nie idź tam, bohaterze, bo spotkasz starą Ceiuci, żonę olbrzyma. Ona cię zje!

— Kto żeglował aż do Cachoeiry, piekła się nie boi! — wykrzyknął Macunaima i tyle go widziano.

Jak tylko wlaź na pomost obserwacyjny i zarzucił wędkę, pojawiła się stara Ceiuci, żeby łowić siecią. Potwora ujrzała cień Macunaimy odbity w wodzie, szybko zarzuciła siatkę, ale złowiła tylko cień. Bohaterowi nawet nie chciało się z tego śmiać, bo trząś się ze strachu, więc niby to przyjaźnie powiedział:

— Dzień dobry, babciu.

Starucha uniosła głowę i spostrzegła Macunaimę wysoko na pomoście.

— Chodź no tutaj, wnuczusiu.

— Nie pójdę.

— No to posłę po ciebie szerszenie...

Tak też zrobiła. Macunaima ułamał gałąź pataqueiry i pozabijał szerszenie.

— Schodź, wnuczku, bo inaczej posłę mrówki!

Co i zrobiła. Mrówki novata tak pokąsały Macunaimę, że wpadł do wody. Wówczas starucha zarzuciła sieć, owinęła nią bohatera i poszła do domu.

Tam złożyła zawiniątko w salonie, gdzie znajdował się czerwony abażur, i poszukała swojej starszej córki, która miała bardzo zręczne ręce, bo chciała razem z nią zjeść upolowaną kaczkę. A tą kaczką był nasz bohater Macunaima. Lecz córka z powodu tej swojej zręczności była bardzo zajęta, toteż stara, aby było szybciej, poszła rozpać ogień. Potwora miała dwie córki; młodsza, która wcale nie była zręczna i umiała tylko wzdychać, pomyślała sobie, widząc matkę rozpalającą ogień: „Matka, jak tylko wraca z połowu, opowiada, co złapała. Dziś się nie. Zobaczę sama”. Rozwinęła sieć i wyskoczył z niej śliczności chłopak. Bohater rzekł:

— Schowaj mnie!

Dziewczyna, która miała bardzo miękkie serce, bo próżnowała już od dłuższego czasu, zaprowadziła Macunaimę do swojego pokoiku; tam zabawili się. Teraz śmieją się jedno do drugiego.

Gdy ogień buzował już mocno, stara Ceiuci przyszła ze swoją zręczną córką, aby osku-

bać kaczkę, ale znalazła pustą siatkę. Potwora rozsierdziła się:

— To na pewno ta moja córeczka, co ma dobre serduszko...

Załomotała do drzwi pokoiku, wrzeszcząc:

— Moja najmłodsza córeczko, oddaj mi kaczkę, bo jak nie, to przepędzę cię z domu raz na zawsze!

Dziewczę wystraszyło się bardzo i kazało Macunaimie rzucić pod drzwi dwadzieścia milrejsów, może łakomczucha zadowoli się tym, Macunaima ze strachu rzucił już sto milrejsów, które zamieniły się w obfitość kuropatw langust ryb robalo flakonów perfum i kawioru. Stara żarłocznie pochłonęła wszystko i domagała się więcej. Wtedy Macunaima wsunął pod drzwi tysiąc milrejsów. Zamieniły się one w jeszcze większą ilość langust szampana koronek grzybów żab królików, a starucha żarła ciągle i żądała więcej. Wówczas dobrotliwe dziewczętko otworzyło, okno wychodzące na pustkowiu Pacaembu i rzekło:

— Powiem ci trzy zagadki, jeśli je odgadniesz, pozwolę ci uciec. Co to jest:

*Długie, okrągłe i przedziurawione,
wchodzi twarde, wychodzi miękkzone,
daje dużo przyjemności,
nie ma w nim nieprzyzwoitości?*

— Jest, jest, strasznie nieprzyzwoite!

— Głupi jesteś! To makaron!

— Ach... no tak, makaron!... Zabawne, co?

— No, a co to jest: gdzie kobiety mają najbardziej kręte włosy?

— Och, świetne! Wiem bardzo dobrze, o, tutaj!

— Tuman z ciebie! W Afryce!

— To mi pokaż tę Afrykę, bardzo proszę!

— Teraz ostatnia. Powiedz, co to jest:

*Braciszku, zróbmy coś takiego,
za co kara nas Boża nie spotka:
włosy złączymy z włosami,
łysego wpuścimy do środka.*

— Ech, kto by tego nie wiedział! Ale tak mówiąc między nami, panienczko, niezła z ciebie świntuszka!

— Zgadłeś. Czyż nie miałeś na myśli spania, kiedy to łączą się z sobą rzęsy, a w środku siedzi sobie łyse oko? Otóż gdybyś nie odgadł przynajmniej jednej zagadki, oddałabym cię mojej nienasyconej matce. A teraz, smyku, zmykaj po cichu, mnie też przegonią, do nieba się schronię. Za rogiem spotkasz konie. Weź gniadego, bo gniady wszędzie da sobie radę. Dobry z niego biegun. Jeśli usłyszysz ptaszka krzyczącego „buuu, buuu!”, to znaczy, że stara Ceiuci depcze ci po piętach. Smyku, zmykaj po cichu, mnie też przegonią, do nieba się schronię!

Macunaima podziękował i wyskoczył przez okno. Za rogiem czekały nań dwa konie, gniadosz i srokacz. „Srokacza do galopu Bóg przeznacza”, mruknął Macunaima, wskoczył na konia i puścił się galopem. Cwałował, cwałował, cwałował i był już niedaleko Manaus, gdy koń potknął się i wyrwał w ziemi dziurę. W jej głębi Macunaima dostrzegł coś połyskującego. Pośpieszenie ją rozkopał i odkrył szczątki boga Marsa, greckiej rzeźby znalezionej w tych stronach jeszcze za czasów monarchii i ponownie odkrytej pierwszego kwietnia ubiegłego roku w dziele Araripe de Alencara przez gazetę pod tytułem „Handel Stanu Amazonia”. Kontemplował ten wspaniały tors, gdy nagle usłyszał „buuu, buuu!” To zbliżała się stara Ceiuci. Macunaima spał ostrogami srokacza i będąc już prawie koło Mendozy w Argentynie, niemal

zderzył się z pewnym galernikiem, który też uciekał, ale z Gujany Francuskiej. A w tym miejscu kilku księżu żłopało właśnie wódę. Macunaima krzyknął:

— Ojczulkowie, ukryjcie mnie!

Ledwo księżulki zdążyli schować Macunaimę w pustej stągwi, nadleciała potwora siedząca okrakiem na tapirze.

— Czy nie widzieliście mojego wnuczka, przejeżdżającego tędy na koniku, co sianko sobie chrupał?

— Już przejechał.

Wtedy starucha zsiadła z tapira i wskoczyła na konia bułanego, co zawsze był i będzie do niczego, i popędziła dalej. Kiedy zniknęła za łańcuchem gór Paranacoara, ojczulkowie wydobyli bohatera ze stągwi, dali mu konia jasnogniadego, równie rączego, co urodziwego, i wysłali go w drogę. Macunaima podziękował i ruszył cwałem. Trochę dalej napotkał ogrodzenie z drutu, ale że jeźdźcem był przednim, więc ściągnął ostro wodze, tak że rumak zatrzymał się jak wryty i upadł; wtedy Macunaima chwycił go za wszystkie razem cztery nogi, zakręcił nim mocno i przerzucił nad ogrodzeniem. Potem sam je przesadził i znów dosiadł wierzchowca. Galopował, galopował, galopował. Przejeżdżając przez Ceará odcyfrował inskrypcje tubylcze w Aratãha; w Rio Grande do Norte, pędząc wzdłuż Łysych Gór, odcyfrował inne. W stanie Paraíba, po drodze z Manguape do Bacamarte, gdzieś koło Rzeźbionego Kamienia było ich tyle, że starczyłoby na powieść. Z powodu pośpiechu nie przeczytał ani tych z Barra do Poti w stanie Piauí, ani tych w Jajeu w Pernambuco, ani tych w Apertados w Inhamum; upływał już czwarty dzień, a w powietrzu ciągle rozlegało się bliźnię „buuu, buuu”. Stara Ceiuci była coraz bliżej. Macunaima zmykał co sił i ukrył się w zagajniku eukaliptusowym. Ale ptaszek był coraz bliżej, stara deptała Macunaimie po piętach. Wreszcie natknął się na norę zmi surucucu, co trzymała z Kusym.

— Surucucu, schowaj mnie!

Ledwo surucucu ukrył bohatera w jamie latryny, nadjechała stara Ceiuci.

— Nie widziałas mojego wnuczka przejeżdżającego tędy na koniku, co sianko sobie chrupał?

— Już przejechał.

Łakomczucha zsiadła z konia bułanego, co nigdy nie był i nie będzie dobry do niczego, i wsiadła na białonóżkę, co utyka troszkę, i ruszyła w dalszą drogę.

Wtedy Macunaima podsłuchał rozmowę surucucu ze swoją towarzyszką. Zamierzali upiec go na rożnie. Wskoczył z ustępowej dziury i rzucił na podwórko pierścień z wielkim brylantem, który kiedyś podarował swojemu małemu paluszkowi. Brylant zmienił się w cztery tysiące wozów kukurydzy, w nawóz Polisu i przechodzonego forda. Podczas gdy surucucu z ukontentowaniem gapił się na to wszystko, Macunaima, aby dać wytchnienie swojemu gnidoszowi, wziął między nogi żrebca-deresza, co nie potrafi chodzić stępą, i puścił się cwałem poprzez góry i lasy. Migiem przeleciał przez ocean piasku na płaskowyżu Parecis, po obrywach i stromiznach ześliznął się w busz, a potem w Camutengo niedaleko Natalu rozpedził kury mające złote kurczęta. Półtorej mili dalej opuścił brzegi rzeki São Francisco zamulone po wielkanocnym wylewie i wdarł się w jar wyżłobiony w stromym wzgórzu. Posuwał się naprzód, gdy posłyszał „psssttt!” wypowiedziane ustami kobiety. Stał zmartwiły ze strachu. Wówczas z chaszczki wynurzyła się wielka, szpetna baba z warkoczami do ziemi. Szepem zapytała naszego bohatera:

— Poszli już sobie?

— Kto?

— Holendrzy!

— Bredzisz coś, jacy znów Holendrzy! Kobieto, nie ma tu żadnych Holendrów!

Była to Maria Pereira, Portugalka, żyjąca w ukryciu w tym wąwozie od czasów wojny z Holendrami. Macunaima nie bardzo już wiedział, w jakiej części Brazylii się znalazł, więc nie

zapomniał spytać:

— Powiedz no mi, dziewczeczko lisia córeczko, jak się nazywa to miejsce?

— Dziura Marii Pereiry.

Macunaima wybuchnął wielkim śmiechem i ruszył pędem, kobieta zaś znów się ukryła. Bohater gnał co koń wyskoczy i na koniec dotarł na drugi brzeg rzeki Chui. Tam właśnie spotkał łowiącego ryby ptaka jabiru.

— Kuzynie Tuiuiú, zaniesiesz mnie do domu?

— Czemu nie!

I zaraz jabiru przemienił się w maszynę-aeroplan. Macunaima wskoczył okrakiem na gołoszyje ptaszysko i wzbili się do lotu. Polecieli nad płaskowyżem Uirucua w Minas, okrążyli Itapekerikę i wzięli kurs na północny wschód. Gdy przelatywali ponad wydmami Mossoró, Macunaima spojrział w dół i zauważył Bartłomieja Lourenço de Gusmão w podwiniętej sutannie, z trudem brnącego przez piach. Krzyknął doń:

— Wielebny, proszę z nami!

Lecz kapłan odkrzyknął czyniąc zamaszysty gest:

— Nie trzeba, dziękuję!

Przefrunąwszy ponad górami Tombador w Mato Grosso zostawili po lewej tyse wzgórze Sant'Ana do Livramento i wspięli się — Macunaima oraz jabiru-aeroplan — aż na Dach Świata, ugasili pragnienie świeżymi wodami Vilcanoty, po czym, kończąc już podróżowanie, przelecieli nad Amargosą w Bahii, nad Gurupá i Gurupi z jego zaczarowanym miastem i na koniec znaleźli się znów w sławetnej wiosce nad kanałem Tietê. Jeszcze chwilka i oto byli już przed pensjonatem. Macunaima podziękował gorąco i chciał zapłacić za tę pomoc, lecz przypomniał sobie, że musi oszczędzać. Obrócił się do skrzydlaka jabiru i rzekł:

— Słuchaj, kuzynie, zapłacić ci nie mogę, ale dam ci radę równie cenną jak złoto: otóż trzy rzeczy na tym świecie gubią ludzi — ruchome piaski nad rzeką, złoto błyszczące i kraj babskiej spódnicy. Uważaj na nie!

Tak jednak przyzwyczajony był do trwonienia pieniędzy, że całkiem zapomniał o oszczędzaniu. Dał dziesięć tysięcy jabiru, zadowolony poszedł do swego pokoju i opowiedział wszystko braciom, bardzo już zgniewanym jego spóźnieniem. Ostatecznie cała ta historia kosztowała ich kupę forsy. Potem Maanape zmienił Jiguego w maszynę telefoniczną i złożył skargę na Policji, która deportowała starą łakomczuchę. Piaiman miał jednak rozległe wpływy i baba powróciła do swojej słodkiej bandy.

A wypędzona córka depcze gwiazdne drogi, kometa jest teraz imię tej niebogi.

DOMOKRĄŻCA, CHUPIM I LUDZKA NIEPRAWOŚĆ

Nazajutrz Macunaima zbudził się z gorączką. Przez całą noc bredził i śniły mu się statki.

— To oznacza podróż morską — orzekła właścicielka pensjonatu.

Macunaima podziękował i tak był zadowolony, że natychmiast zamienił Jiguego w maszynę telefoniczną, aby skłać matkę Wacława Pietro Pietry. Ale duszek-telefonistka zawiadomiła, że nikt nie odpowiada. Macunaimie wydało się to dziwne, chciał wstać i dowiedzieć się, co to znaczy. Na całym ciele czuł jednak gorące swędzenie i nogi miał jak z waty. Mruknął:

— Cholera! nic mi się nie chce...

Obrócił twarz do kąta i zaczął gadać nieprzystojne słowa. Kiedy bracia przyszli, aby dowiedzieć się, co mu jest, okazało się, że ma odrę. Maanape natychmiast poszedł po słynnego w Beberice znachora Bento, który leczył za pomocą duszy indiańskiej i wody z dzbanka.

Bento kazał naszemu zuchowi łyknąć wody i odśpiewał litanię. Po tygodniu bohater już się luszczył. Wówczas wstał i poszedł się dowiedzieć, co słychać u olbrzymia.

W pałacu nie wydarzyło się nic i pokojówka od sąsiadów powiedziała, że Piaiman z całą rodziną pojechał do Europy, żeby wypocząć po sławnym laniu. Macunaimę opuściła cała energia i bardzo się zdenerwował. Zabawił się z pokojówką, ale nie miał do tego serca i spóźniały powrócił do pensjonatu. Maanape i Jiguê spotkali bohatera w drzwiach wejściowych i zapytali go:

— Przez kogo to jesteś taki spieniały, nieszczęście ty nasze?

Na to Macunaima opowiedział, co się stało, i zaczął płakać. Bracia mocno się zasmucili widząc go w takim stanie, więc zabrali go na zwiedzanie Leprozorium Guapira, ale Macunaima był bardzo rozdrażniony i spacer się zupełnie nie udał. Kiedy powrócili do pensjonatu, zapadała już noc i wszyscy byli bliscy rozpacz. Z wołowego rogu w kształcie głowy tukana wydobyli ogromną porcję tabaki i kichnęli sobie zdrowo. I poczuli się na siłach, żeby pomeytować.

— No cóż, skarbie, obijałeś się to tu, to tam, zbijałeś bąki, więc na co olbrzym miał czekać? Pojechał sobie. Teraz musisz pić to piwo!

Tu Jiguê palnął się w głowę i wykrzyknął:

— Znalazłem!

Bracia aż podskoczyli. Wówczas Jiguê przypomniał im, że oni też mogą pojechać do Europy w poszukiwaniu Muirakitana. Co do pieniędzy, to pozostało jeszcze czterdzieści tysięcy ze sprzedanego kakao. Macunaima przystał na to natychmiast, lecz Maanape, który był czarownikiem, dumał i dumał i na koniec rzekł:

— Mam coś lepszego.

— No to wyduś z siebie!

— Macunaima uda, że jest pianistą, załatwi sobie stypendium rządowe i pojedzie sam.

— Ale po co takie komplikacje, skoro forsę mamy jak piasku, a bracia mogą mi się w Europie przydać!

— Coś ciężko dzisiaj kapujesz! Pewnie, że możemy się przydać, ale czy nie lepiej będzie, jeśli braciszek pojedzie sobie z rządową forsą w kieszeni? Lepiej. No więc?

Macunaima zamyślił się i nagle uderzył się w czoło:

— Mam!

Bracia podskoczyli z przerażenia.

— Co znowu?

— Będę udawał malarza, to bardziej szykowne!

Poszedł po maszynę-okulary rogowe mały gramofon skarpety do golfa rękawiczki i zrobił się wypisz wymaluj podobny do malarza.

Nazajutrz, żeby zabić czas w oczekiwaniu na decyzję rządu, malował obrazy. Robił to tak: brał jakąś powieść Ecy de Queirosa i szedł na spacer do Cantareiry. W pewnej chwili minął go kupiec wędrowny; wielki był z niego szczęściarz, bo miał listek picapau. Rozciągnięty jak długi Macunaima zabawił się rozgniatając kopczyki mrówek tapipitinga. Domo-krażca pozdrowił go:

— Dzień dobry, przyjacielu, jak leci, dziękuję, w porządku. Pracujemy, co?

— Pieczone gołąbki nie lecą same do gąbki.

— Właśnie. No to do widzyska.

I poszedł. Półtorej mili dalej napotkał skunksa i też sobie przypomniał, że trzeba odrobinę popracować. Pochwytał śmierdziela, wepchnął mu do gardła dziesięć srebrnych monet po dwa milrejsy i wrócił ze zwierzakiem pod pachą. Podchodząc do Macunaimy zaproponował handel:

— Dzień dobry, przyjacielu, jak leci, dziękuję, w porządku. Jeśli chcesz, sprzedam ci mojego skunksa.

— A na co mi takie śmierdzące bydlę! — odparł Macunaima zatykając sobie nos.

— Ale to jest coś wspaniałego, ten skunks! Kiedy robi kupę, to samym srebrem! Tanio sprzedam!

— Nie pleć głupot, Turku! Gdzież to widziano coś takiego!

Wtedy domokrażca nacisnął brzuch śmierdziela, który wyrzucił z siebie dziesięć srebrnych pieniążków.

— No i widzisz! Robi samym srebrem! Jeśli będziesz odkładał, staniesz się bogaczem! Tobie oddam tanio!

— Za ile?

— Czteryście tysięcy.

— Nic z tego interesu, mam tylko trzydzieści.

— No więc, żeby nie stracić klienta, daję ci go za trzydzieści!

Macunaima rozpiął spodnie i wydobyl spod koszuli pas, w którym nosił pieniądze. Ale miał tylko czek na czterdzieści tysięcy i sześć kwitków z Kasyna Copacabana. Oddał czek i aż się zawstydził, gdy otrzymał resztę. Tak że na dokładkę oddał nawet te kwity i jeszcze bardzo dziękował przekupniowi.

Jak tylko handlarz zniknął pośród drzew sapupira, guaruba i parinari, które rosły w tym lesie, śmierdzielowi znów zachciało się robić kupę. Nasz bohater nadstawił kieszeń i wpadło do niej całe paskudztwo. Wtedy Macunaima połapał się w oszustwie i wszczął okropny wrzask, puszczając się biegiem do pensjonatu. Skręcając za róg wpadł na Josego Prequeté i krzyknął doń:

— Ty, zjedz swoje wszy i powiedz mi, czy smakowały ci!

Josego Prequeté ogarnęła wściekłość i sklął Macunaimę od maci, lecz on wcale się tym nie przejął, wybuchnął śmiechem i pomknął dalej. Ale zaraz przypomniał sobie, że wraca do domu w złym humorze, i znów zaczął wydzierać się pod niebiosa.

Bracia jeszcze nie wrócili z rządowej chaty, więc do pokoju Macunaimy przyszła właścicielka, żeby go pocieszyć; zabawili się. Gdy skończyli, bohater znów uderzył w lament. Kiedy bracia pojawili się tam, ludzie wybałuszili gały, bo obaj mieli po pięć metrów wzrostu. Widzicie, Rząd miał już w załatwianiu sprawy stypendiów tysiąca razy po tysiąc malarzy mających jechać do Europy, więc wniosek Macunaimy załatwiony będzie nie wcześniej niż na Święty Nigdy, to znaczy, że jeszcze nieprędko. Sztuczka spaliła na panewce i rozczarowanie wydłużyło miny braciom. Kiedy ujrzeli płaczącego braciszka, bardzo się wystraszyli i chcieli wiedzieć, co zaszło. A ponieważ zapomnieli o tamtym rozczarowaniu, powrócili do swych dawnych wymiarów — stareńki już Maanape i Jiguê w pełni męskiej siły. Bohater jęczał:

— Ihiiii! Domokrażca nabił mnie w butelkę! Ihiiii! Kupiłem od niego śmierdziela, kosztował mnie czterdzieści tysięcy!

Na co obaj bracia jęli rwać włosy z głowy. Teraz nic już z podróży do Europy, są goli jak święci tureccy. Zaczęli cichutko szlochać, a bohater tymczasem wcierał sobie w skórę olej z andiroy dla ochrony przed komarami; zaraz też smacznie zasnął.

Nazajutrz od samego rana zrobił się straszny skwar i Macunaima pocił się jak mysz, wprost łało się z niego, tak go rozgniewała niesprawiedliwość rządu. Zapragnał wyjść, żeby się rozerwać, ale w tym ubraniu było mu jeszcze goręcej... Rozeźlił się jeszcze bardziej. Ogarnęła go taka wściekłość, że zaczął się obawiać, iż dostanie w końcu choroby butecaiana, pokrewnej wścieklicznie. Więc wrzasnął:

— Jak gorączka na mnie spadnie, wyśmieją mnie wszyscy ładnie!

Dla ochłody ściągnął spodnie i podeptał je. Jego złość opadła momentalnie, tak że nawet bardzo zadowolony powiedział do braci:

— Cierpliwości, braciszku! Nie, nie jadę do Europy! Jestem Amerykaninem i moje miejsce jest w Ameryce. Cywilizacja europejska niewątpliwie nadweręza nieskazitelność

naszego charakteru.

Przez cały tydzień we trójkę przeczesywali Brazylię wzdłuż i wszerz — piaszczyste ławice nadmorskie wydmy porośnięte rzadkimi zagajnikami rzeczne łąchy halawy bystrzyny chaszczce ugory poręby zalewiska polany przesieki dukty wybiegi pastwiska gdzie lęgnie się szron ostępy namuły kamieniska osypiska starorzeczka zapadliska jary i brody, wszystkie te miejsca, i szperali w ruinach klasztorów oraz u stóp przydrożnych krzyży, żeby sprawdzić, czy nie ma tam jakiegoś zakopanego kotlika z pieniędzmi. Nie znaleźli nic.

— Cierpliwości, braciszku! — powtarzał ponury Macunaima. — A może zagrabilibyśmy w bicho?

I poszedł na plac Antonio Prado rozmyślać nad ludzką niesprawiedliwością. Siedział tam sobie wygodnie oparty o platan. Niezliczone tłumy kupców i maszyn przesuwały się tuż-tuż obok naszego bohatera, dumającego o ludzkiej niesprawiedliwości. Macunaima zamierzał już nawet zmienić dwuwiersz na „zbyt wielu malarzy, a zdrowia zbyt mało, to Brazylii się dostało”, kiedy usłyszał za sobą płaczliwe zawodzenie „ihihihih”. Odwrócił się i ujrzał na ziemi trznadelka tico-tico i czarnego ptaka chupim.

Tico-tico był maleńki, a chupim — wielgachny. Tico-tico miotał się tu i tam, a wszędzie lazył za nim ogromny chupim, z płaczem dopraszający się jedzenia. Wściec się można. Trznadelek myślał, że wielki chupim jest jego synalkiem, ale gdzie tam. Więc zrywał się do lotu, starał się o jakieś jedzenie, wpychał je do dzioba czarnego chupim, który łykał i zaczynał od początku: „ihihihih! mamusiu, ja ciem papu... ja ciem papu!...” w tym swoim języku. Mały tico-tico był zupełnie ogłupiały, bo sam cierpiał głód, a ten tutaj ciągle namolnie brzęczy mu nad głową: „ja ciem papu... ja ciem papu”, ale co robić, miłość jest silniejsza. Więc ustępował i leciał po jakimś robaczka czy ziarno kukurydzy, no, po jakieś papu, wpychał je do dzioba ptaszysku chupim, ono przełykało i zaczynało od nowa swoją śpiewkę. Macunaima rozmyślał o niesprawiedliwości ludzi i wielką goryczą napełniła go niesprawiedliwość tego chupim. A to dlatego, że Macunaima wiedział, iż kiedyś, na początku, ptaszki były ludźmi tak jak my... Toteż bohater złapał kawał kija i zatłukł trznadelka tico-tico.

Poszedł stamtąd. Uszedłszy z półtorej mili poczuł, że jest mu gorąco, więc przypomniał sobie, że musi golnąć jednego. W kieszeni marynarki nosił zawsze butelczynę sznapsa przyczepioną srebrnym łańcuszkiem do butonierki. Odkorkował ją i zaczął pociągać powoli, aż tu nagle słyszy za sobą ten lament „ihihih”. Zdumiony odwrócił się. Za nim stał wielki chupim.

— Ihihihih, tatusiu... ja ciem papu... ja ciem papu!... — tak lamentował w tej swojej mowie.

Macunaimę ogarnęła wściekłość. Rozwarł kieszeń, gdzie leżała sobie ta pamiątka po śmierdzielu, i rzekł:

— No to masz, jedz!

Chupim skoczył na krawędź kieszeni i w nieświadomości swojej pożarł wszystko. Zaczął pęcznieć i pęcznieć, aż zmienił się w wielkiego czarnego ptaka i poleciał w stronę lasu, krzycząc: „jesce! jescce!”

To jest właśnie Ojciec ptaków Vira-Bosta, co lubią się grzebać w różnych paskudztwach.

Macunaima szedł swoją drogą. Półtorej mili dalej siedziała małpa-makak i zajadała orzechy kokosowe. Brała je sobie razem z kamieniem pomiędzy nogi, naciskała i trrrrach! orzech pękał. Macunaima podszedł do makaka i ślinka napłynęła mu do ust. Powiedział:

— Dzień dobry, wujku, jak leci?

— Powolutku, mój siostrzeńcze.

— A w domu wszystko w porządku?

— Jakoś się pcha.

I gryzie sobie orzech, a Macunaima stoi i gapi się. Tamtego nagła krew zalała:

— Nie gap się tak na mnie z ukosa, bo mleko ci nie wyszło spod nosa, spode łba nie

zerkaj, bom nie jest z cukierka!

— Ale co ty tam robisz, wujaszku?

Małpa ukryła orzech w dłoni i odrzekła:

— Rozgniatam sobie klejnoty rodzinne, żeby zjeść.

— E, nie do mnie taka mowa!

— No, siostrzeńcze, skoro mi nie wierzysz, to po co pytasz!

Macunaima miał najlepsze chęci, żeby uwierzyć, więc wypytywał:

— I to dobrze smakuje?

Małpież aż mlasnął:

— Pycha! Spróbuj tylko sam!

Ukradkiem stłukł następnego orzecha udając, że rozgniała sobie cynadra, i dał Macunaimie, żeby zjadł. Smakowało mu.

— Rzeczywiście dobre, wujaszku! Masz jeszcze?

— Już nie mam, ale jeśli moje były takie dobre, to co dopiero twoje! Urać się nimi siostrzeńcze!

Bohater miał stracha:

— Ale to nie boli, co?

— Skądże, to nawet przyjemne!

Bohater chwycił głaz wyrwany z bruku. Makak w duchu śmiał się w kułak, ale powiedział jeszcze do niego:

— Odwaga nie dopisuje, co siostrzeńcze?

— Raz kozie śmierć! — wykrzyknął patetycznie nasz zuch. Ścisnął krzepko kamień i prask! po jądrach. I padł trupem na miejscu. Małpa szydziła zeń:

— No i co, skarbie, nie mówiłem, że umrzesz? Mówiłem! Nie usłuchałeś mnie! Sam widzisz, co się dzieje z nieposłusznymi! No a teraz — *sic transit!*

Naciągnął rękawiczki z gutaperki i poszedł. Niedługo potem spadł gęsty deszcz, który oziębził pozieleniałe ciało bohatera i zapobiegł rozkładowi.

Zaraz też ku zwłokom ruszyły wielkie procesje mrówek guajuguaju i murupeteca. Ich widok przyciągnął do nieboszczyka adwokata Iksińskiego; schylił się i wyjął trupowi portfel, ale znalazł w nim jedynie bilet wizytowy. Wówczas postanowił, że zanieś go do pensjonatu, co i uczynił. Zarzucił sobie Macunaimę na plecy i ruszył. Nieboszczyk jednak ważył zbyt dużo i adwokat uświadomił sobie, że nie da rady, więc złożył go na ziemi i sprawił mu kijem solidne cięgi. Umrzyk stał się lekki jak piórko i adwokat Iksiński bez kłopotu doniósł go do pensjonatu.

Z wielkim płaczem Maanape rzucił się na zwłoki brata. Wkrótce też odkrył okaleczenie. Maanape był czarownikiem. Natychmiast poprosił właścicielkę o dwa kokosy z Bahii, zmyślną pętlą przywiązał je tam, gdzie były pogniecione wisiory, i dmuchnął na nieboszczyka dymem z fajki. Macunaima, blady jak ściana, zaczął wstawać. Dali mu napić się guarany i po krótkim czasie sam już polował na mrówki, które jeszcze go kąsały. Cały dygotał, bo ten deszczyk przyprawił go o nagłe dreszcze. Wyciągnął z kieszeni butelczynę i wyduldał resztę gorzałki, żeby się rozgrzać. Potem poprosił Maanapego o podanie jakiejś trzycyfrowej liczby i poszedł do baru na rogu zagrać w bicho. Gdy powrócili późnym popołudniem, okazało się, że numer wyszedł! I tak sobie żyli, dzięki darowi jasnowidzenia starszego brata. Bo Maanape był czarownikiem.

WSZARECZKA JIGUEGO

Nazajutrz Macunaima obudził się ze straszną wysypką na całym ciele; okazało się, że to róża, choroba przewlekła, skutek zranienia. Bracia opiekowali się nim troskliwie i codziennie znosili do domu wszystkie leki na różę, jakie doradzali sąsiedzi i znajomi. Bohater spędził tydzień w łóżku. Nocą śniły mu się ciągle statki i właścicielka pensjonatu, zachodząca rano, aby się dowiedzieć, jak miewa się nasz zuch, powiadała, że oznacza to podróż morską. Po czym wychodziła, zostawiając na łóżku chorego stan São Paulo. A ten „Stan São Paulo” to była gazeta. I Macunaima spędzał cały dzień na czytaniu ogłoszeń dotyczących leków na różę. A było ich mnóstwo.

Pod koniec tygodnia bohater łuszczył się już niezłe, więc poszedł do miasta poszukać różgi, bo skóra go świerzbiła. Szedł sobie i dumał, dumał, mocno zmachany, bo był jeszcze słabutki, toteż przystanął w parku Anhangabaú. Znalazł się właśnie pod pomnikiem Carlosa Gomeza, sławnego niegdyś muzyka, który teraz jest gwiazdką na niebie. Głos fontanny szmerającej wśród cichego popołudnia nasunął bohaterowi wizję morskich odmętów. Macunaima przysiadł na obramieniu fontanny i przypatrywał się konikom morskim z brązu, wypływającym wodę. I naraz tam, za całą tą ich czeredą, dostrzegł jakieś światełko. Natężył wzrok i zobaczył śliczny stateczek, kołyszający się na falach. „To kuter rybacki”, mruknął. Za chwilę musiał zmienić zdanie, bo z kutra zrobił się prawdziwy statek z kominem i wszystkim. Ale ten statek rósł w oczach i tak już był wielki, że bohater aż podskoczył ze zdumienia i wrzasnął w głąb ciemnej nocy, aż poszło echo:

„To rzeczny parostatek!” Okręt było już wyraźnie widać spoza grupy koników morskich z brązu. Dziobnicę miał ze srebra, a maszty, odchylone do tyłu, obwieszane były banderami, które wiatr wywołany pędem statku wgniatał pomiędzy warstwy powietrza. Krzyk zwabił szoferów z esplanady; wszyscy z ciekawością śledzili znieruchomiałego w swym geście bohatera i szli za jego wzrokiem, zapuszczającym się w otchłań fontanny.

— Co się stało, bohaterze?

— Patrzcie tam... patrzcie, po niezmiernym morskim przestworze nadpływa wielki parostatek!

— Gdzie?

— Tam, za konikiem na sterburcie!

Wtedy wszyscy zobaczyli statek nadpływający zza konika na sterburcie. Był blisko, zaraz przepłynie między konikiem a kamienną ścianą, już prawie u wylotu grotu. Statek był ogromny.

— To nie jest rzeczny _parostatek! To transatlantyk, co pływa po morzu! — krzyknął szofer Japończyk, który miał niejedną podróż morską za sobą. Transatlantyk był bardzo wielki. Nadpływał cały iluminowany, lśniąc od złota i srebra, w odświetnej gali flagowej. Bulaje kabin układały się w świetliste naszyjniki, na pięciu leżących jeden nad drugim pokładach rznąła muzyka i tłum podrygiwał w takt cururu. Szoferski ludek komentował:

— To linia Lloyd!

— Nie, to hamburska!

— Ale skąd! Już ja się na tym znam! To jest motorowiec „Conte Verde”!

I tak też było. A w ten motorowiec zmieniła się Matka Wód, żeby bohatera wystawić na próbę.

— Ludzie, żegnajcie! Jadę do Europy, bo tam jest lepiej! Poszukam Wacława Pietro Pietry, który jest olbrzymem zjadającym ludzi! — perorował bohater.

I gromada szoferów zaczęła na pożegnanie ścisnąć Macunaimę. Statek już przybił i Macunaima wskoczył na nabrzeże fontanny, żeby wejść po trapie motorowca „Conte Verde”.

Członkowie załogi zgromadzeni przed orkiestrą kiwali na Macunaimę, a byli tam krzepcy majtkowie, kuci na cztery nogi Argentyńczycy i cały tłum przesłicznych pań, żeby człowiek mógł się z nimi zabawić w rytm rozkołysanych fal, aż do mdłości.

— Spuść pan trap, kapitanie! — wrzasnął bohater.

Wówczas kapitan zdjął czapkę i wywinął nią koziołka w powietrzu. I wszyscy — majtkowie, szczeni Argentyńczycy, śliczne panienki, z którymi miał się zabawić Macunaima, cała załoga — uderzyli w ogromny wrzask, szydząc z bohatera, a tymczasem statek nie zatrzymując się wykonał zwrot, obrócił się rufą do brzegu i już mknął z powrotem do wnętrza grotu. Ale od tego szydzenia z bohatera wszyscy na pokładzie pochorowali się na różę. I gdy motorowiec prześliznął się cieśniną pomiędzy ścianą grotu i konikiem na bakburcie, komin wypuł chmurę moskitów długonogów, krwiopijców, komarów, bolimuszek, bąków, gzów, szerszeni i os, które przepędziły szoferaków.

Bohater, siedzący na obrzeżeniu fontanny, przeżywał katusze — cały był pokąsany i pokryty coraz gęstsza wysypką; już był jak róża. Zrobiło mu się zimno, dostał gorączki. Przegonił dłonią Moskity i ruszył do pensjonatu.

Następnego dnia Jiguê przyszedł do domu z dziewczyną; kazał jej połknąć trzy ołowiane kulki, żeby nie zaszła w ciążę, i oboje poszli spać do hamaka. Jiguê się ożenił. Był bardzo waleczny, przez cały dzień czyścił strzelbę i ostrzył majchra. Co ranka towarzyska Jiguego szła kupić manioku dla wszystkich czworga; na imię jej było Suzi. Ale Macunaima, który był zakochany w kobiecie Jiguego, codziennie kupował dla niej langustę, kładł ją na dnie koszyka, a po wierzchu rozsypywał maniok, tak żeby nikt się niczego nie domyślił. Z tej Suzi też była niezła czarownica: po przyjeździe do domu zostawiała koszyk w saloniku i kładła się w hamaku, żeby śnić. We śnie mówiła do Jiguego:

— Jiguê, mężu mój Jiguê, śni mi się, że pod maniokiem jest langusta.

Jiguê szedł sprawdzić i rzeczywiście była. Tak było co dnia, aż pewnego razu Jiguê zbudził się ukłuty zazdrością, domyślając się czegoś. Macunaima spostrzegł cierpienie brata i odprawił zaklęcia, żeby mu to przeszło. Wziął tykwę i nocą położył ją na tarasie, odmawiając po cichutku:

*Wodo z niebios, spłyn do tej tykwy,
Paticl, zejdź do tej wody,
Moposeru, zejdź do tej wody,
Sivuoimo, zejdź do tej wody,
Omaispopo, zejdź do tej wody,
Władcy Wody, zmyjcie cierpienie rogacza!
Aracu, Mecumecuri, Pai, zejdźcie do tej wody
i zmyjcie cierpienie rogacza, skoro wypije
tę wodę, w której zakłęci są Władcy Wody!*

Nazajutrz dał się jej napić Jiguemu, ale efektu żadnego nie było i brat nadal chodził bardzo podejrzliwy.

Suzi, ubierając się do wyjścia na targ, pogwizdywała modnego fokstrota, żeby amant też z nią poszedł. A tym amantem był, rzecz jasna, Macunaima. Kobieta Jiguego wychodziła, Macunaima za nią. Po drodze często gęsto zabawiali się, tak że gdy czas było wracać, na targu nie było już manioku ani na lekarstwo. No więc wtedy Suzi wymykała się chyłkiem za dom, siadała na koszyku i wyciągała sobie z zadka wiązki bulw maniaku. Wszyscy raczyli się do syta, tylko Maanape burczał: — Od kabokla z Taubaté, chudego konika, baby, co stojąc sika — libera nos Domine! — i odsuwał od siebie strawę.

Maanape był czarownikiem i nie chciał słyszeć o tym manioku, więc żuł przez cały czas kokę, żeby oszukać trapiący go głód. W nocy, gdy Jiguê zamierzał wskoczyć do hamaka, jego

towarzyszka zaczynała jęczeć, że ją wzdęło, tak się opchała owocami pitomby. A wszystko po to, żeby Jiguê nie mógł się z nią zabawiać. Jiguê bardzo był zły.

Nazajutrz wyszła na targ pogwizdując modnego fokstrota, Macunaima za nią. Jiguê był bardzo odważny; chwycił potężną maczugę i cichutko ruszył za nimi. Węszył i węszył, aż znalazł ich w Świetlistym Ogrodzie; trzymali się za ręce i uśmiechali do siebie. Jiguê puścił w ruch maczugę, potem zabrał swoją kobietę do pensjonatu, a zmaltretowanego braciszka zostawił na brzegu sadzawki pośród łabędzi.

Począwszy od następnego dnia zakupy robił sam Jiguê, towarzyszkę zaś zostawiał pod kluczem w pokoju. Suzi, nie mając co robić, przepędzała czas na obrażaniu moralności, ale pewnego razu na świat zstąpił święty Anchieta: po drodze odwiedził także jej dom i z litości nauczył ją iskać wszy. Suzi miała rude włosy ostrzyżone *à la garçonne*, w których hodowała mnóstwo, ale to mnóstwo wszy. Teraz nie śniła już o langustach ukrytych pod maniokiem, ani nie prowadziła się niemoralnie. Gdy Jiguê wychodził, rozpościerała włosy na maczudze mężowskiej i urządzała łowy na wszy. A miała ich całe masy!

Więc obawiając się, że towarzyszy przyłapie ją na tym zajęciu, powiedziała tak:

— Jiguê, mężu mój Jiguê, wracając z targu zastukaj najpierw do drzwi, żebym była zadowolona i mogła iść do kuchni uwarzyć manioku.

Jiguê zgodził się. Każdego ranka szedł na targ kupić maniaku, a gdy wracał, przez długą chwilę stukał do drzwi. Wtedy dziewczyna zarzucała włosy na głowę i czekała na Jiguego.

— Suzi, żoneczko moja Suzi, długo waliłem w drzwi, jesteś zadowolona?

— Bardzo — odpowiadała. I szła gotować maniok.

I tak każdego dnia. Ale tych wszy było wielkie mnóstwo, naprawdę! A ponieważ ona liczyła je po jednej, inne miały czas się mnożyć. Pewnego razu Jiguê zaczął medytować, co też porabia jego żonusia, gdy on idzie na zakupy, i postanowił ją zaskoczyć; tak zrobił. Wyrzucił nogi w powietrze i wszedł do pokoju na rękach. Otworzył drzwi i wystraszył Suzi. Wrzasnęła i w przerażeniu i pośpiechu zarzuciła włosy na głowę — włosy z czoła pozostały jej na potylicy, a te z potylicy zwisły jej z czoła. Jiguê zwyzywał Suzi od świni i zaczął ją prac, aż usłyszał, że ktoś wchodzi po schodach. Był to Anglik z dołu. Wówczas Jiguê przestał i poszedł naostrzyć swego majchra.

Nazajutrz Macunaimę znów napadła chętka zabawienia się z żoną Jiguego. Braciom powiedział, że idzie na polowanie, daleko, ale gdzie tam, wcale nie poszedł. Kupił dwie butelki likieru kokosowego z Santa Catarina, tuzin kanapek, dwa ananasy z Pernambuco i przyczaił się w pokoiku. Po jakimś czasie wyszedł i pokazując pakunek tak rzekł do Jiguego:

— Bracie Jiguê, gdy powłóczysz się po ulicach i wyjdiesz za miasto, trafisz na strątowane zarośla. Tam są masy zwierzyny, idź sam i zobacz!

Brat przyglądał mu się nieufnie, ale Macunaima grał doskonale:

— Słuchaj, tam są paki, pancerniki, aguti... Nie, skłamałem, aguti nie widziałem, ale paki i pancerniki tak. Aguti nie.

Jiguê dał się otumanić, zaraz też chwycił za strzelbę i rzekł:

— No to idę, ale najpierw przysięgnij, braciszku, że nie będziesz zabawiał się z moją połowicą.

Macunaima zaklął się na pamięć matki, że nawet nie spojrzy na Suzi. Wtedy Jiguê znów złapał swoją strzelbę pif-paf i ostry kordelas i poszedł w las. Zaledwie Jiguê skrył się za rogiem, Macunaima razem z Suzi rozwinął pakunek i rozpostarł obrus ze słynnych koronek, których wzór ukradła w Muriú do Ceará-Mirim ta przeklęta Geracina da Ponta z Mangue. Kiedy wszystko było przyszykowane, wskoczyli do hamaka i zabawili się. Teraz śmieją się do siebie. Gdy już naśmiali się do syta, Macunaima powiedział:

— Odkorkuj butelkę, golniemy sobie.

— Zgoda — odparła. I wypili pierwszą butelkę likieru kokosowego, który był okropnie smaczny.

Oboje mlasnęli językami i znów wskoczyli do hamaka. I zabawili się, ile tylko chcieli. I znów uśmiechają się do siebie.

Jiguê uszedł z półtorej mili, dotarł aż do wylotu ulic, parę razy szukał tych zarośli i co znalazł, co? Psińco. Nie było tam żadnych zarośli, więc Jiguê ruszył z powrotem, przetrząsając wylot każdej ulicy. Wreszcie przyszedł do domu, wszedł do pokoju i zastał braciszka oraz Suzi uśmiechających się do siebie. Jiguiego szlag trafił ze złości, toteż dał żonusi solidny wycisk. Teraz ona płacze. Jiguê złapał też bohatera i przemaglował go niezłe swoją pałką. Młócił go i młócił, aż nadszedł Manuel. Manuel był to służący w pensjonacie, Azorczyk. Teraz bohater jest zmęczony, Jiguê zaś, któremu doskwierał głód, zjadł kanapki, ananasy i wypił likier kokosowy.

Oćwiczeni kochankowie jęczeli i narzekali przez całą noc. Nazajutrz Jiguê, który miał już wszystkiego dość, wziął swoją dmuchawkę i poszedł na poszukiwanie tych zarośli. Wielki był cymbał z tego Jiguiego. Suzi zobaczyła go, jak wychodzi, otarła oczy i rzekła do swego amanta:

— Dość już, nie płaczmy.

Wtedy Macunaima otarł twarz i przygotował się do rozmowy z Maanapem. Jiguê, powróciwszy z pensjonatu, spytał Suzi:

— A bohater gdzie się podziewa?

Ona jednak była bardzo zagniewana i zaczęła pogwizdywać. Wtenczas Jiguê ujął w dłoń pałkę, jeszcze raz sprawił manto żoncy i z wielkim smutkiem rzekł:

— Zjeżdżaj stąd, ty zarazo!

Na co ona uśmiechnęła się, uszczęśliwiona. Nie licząc zebrała wszystkie wszy, ile ich tam jeszcze było, zaprzęła je do fotela na biegunach, usiadła w nim i wio! wszy skoczyły z kopyta niosąc Suzi do nieba, gdzie przebywa teraz jako skacząca gwiazda. Nazywa się to meteor.

Bohater, jak tylko z daleka ujrzał Maanapego, zaczął się uzalać. Padł w ramiona brata i opowiedział okropnie smutną historię, z której wynikało, że Jiguê absolutnie nie miał racji sprawiając mu takie wciery. Maanapego rozgniewało to bardzo, więc poszedł rozmówić się z Jiguem. Ale i Jiguê chciał porozmawiać z Maanapem. Spotkali się w korytarzu. Maanape opowiedział wszystko Jiguemu, a Jiguê — Maanapemu. I przekonali się obaj dowodnie, że Macunaima jest to wielki łotr i osobnik zupełnie bez charakteru. Wrócili do pokoju Maanapego, gdzie zastali lamentującego bohatera. Żeby go pocieszyć, zafundowali mu przejażdżkę maszyną-automobilem.

MUIRAKITAN

Nazajutrz z rana Macunaima, otworzywszy okno, zobaczył małego zielonego ptaszka. Wprawiło go to w wielkie zadowolenie i nadal był bardzo kontent, gdy Maanape wszedł do pokoju z wieścią, że maszyny-gazety zapowiadają powrót Wacława Pietro Pietry. Wtedy Macunaima postanowił, że dość już cackania się z olbrzymem i że trzeba go zabić. Wszedł z miasta i udał się do lasu Jakiegośtam, żeby wypróbować swoje siły. Rozglądając się uszedł z półtorej mili, aż wpadł na drzewo peroba z napowietrzną odroślą wielkości tramwaju. „Ta będzie dobra”, powiedział, wsunął ramię pod odrośl, szarpnął i drzewo wyskoczyło z ziemi nie zostawiając nawet śladu. „Znaczy, że krzepa jest!” wykrzyknął Macunaima. Znów uczył wielkie zadowolenie i zawrócił do miasta. Ale nie mógł chodzić, oblażyły go kleszcze. Z największą słodyczą tak tedy przemówił do nich:

— Kleszczątka złociutkie, idźcie sobie ode mnie. Nie jestem wam winien ani gronia.

Wtedy całe to kleszczowe towarzystwo spadło z niego, jakby dotknięte magiczną różdżką, i poszło sobie. Bo kleszcz był niegdyś człowiekiem, jak my... Pewnego razu otworzył kramik na skraju gościńca i zaczął robić wielkie interesy, bowiem nie martwił się tym, że sprzedaje na kredyt. Tyle skredytował — a Brazylijczyk płacić nie lubi — że w końcu zbankrutował i wyrzucili go z kramikiem na zbitą twarz.

Teraz dlatego tak czepia się ludzi, że ściąga swoje należności.

Gdy Macunaima powrócił do miasta, była już ciemna noc; natychmiast zaczął się koło domu olbrzymia. Nad światem zaległa mgła i ciemność była taka, że dom wydawał się pusty. Macunaima pomyślał, żeby postarać się o jakąś pannicę do igraszek, ale na rogu był postój taksówek i wszystkie służące z okolicy już tam się zabawiały. Bohater wpadł na pomysł, żeby zastawić samolówkę taką, jak na ptaszki-ryżowce, ale nie miał przynęty. Nie miał co robić, toteż zachciało mu się spać. Ale przecież czekał na Wacława Pietro Pietrę, tak że nie powinien był zasnąć. Pomyślał: „Teraz będę czuwał, a kiedy nadejdzie Sen, to go powieszę!” Nie upłynęło wiele czasu i zobaczył jakąś postać. Był to Emoron-Pódole, Ojciec Snu. Macunaima znieruchomiał pomiędzy kopcami termitów, żeby nie spłoszyć Ojca Snu i łatwiej go zabić. Emoron-Pódole podchodził coraz bliżej, a gdy był całkiem blisko, nasz bohater, który już się zdrzemnął, uderzył podbródkiem w pierś, przyciął sobie język i wrzasnął:

— Aleś mnie nastraszył!

Sen czmychnął natychmiast. Macunaima szedł dalej; był mocno zawiedziony. „No i patrzcie! Nie złapałem go, a tak niewiele brakowało... Zaczaję się jeszcze raz i niech mała mnie polize gdzieś, jeśli tym razem nie capnę Ojca Snu i nie powieszę go!”

Tak sobie myślał nasz bohater. Niedaleko płynął strumyk z pniem leżącym w poprzek, służącym jako kładka. Dalej połyskiwała biała tafla jeziora, bo mgła już się rozproszyła. Krajobraz był spokojny i łagodny, wody cicho mruczały swoją kołysankę dla ubogich. Ojciec Snu na pewno się tam gdzieś przyczaił. Macunaima skrzyżował ramiona i usnąwszy na lewe oko, znieruchomiał pomiędzy kopcami termitów. Po chwili spostrzegł skradającego się Emorona-Pódole. Podchodził, podchodził i nagle stanął — Macunaima usłyszał jego słowa:

— Ten człowiek wcale nie jest martwy. Widziano to gdzie nieboszczyka, który by nie czekał?

Wtedy nasz bohater czknął potężnie.

— Ludzie, kto widział czkającego nieboszczyka! — zaśmiał się szyderczo Sen i czmychnął.

Oto dlaczego Ojciec Snu żyje nadal, a ludzie za karę nie potrafią spać na stojąco.

Macunaimę już miało ogarnąć rozczarowanie z powodu tego, co się stało, gdy usłyszał harmider i na drugim brzegu spostrzegł szofera gestykującego żywo, jakby go przywoływał. Bardzo go to zdumiało i wrzasnął poiryutowany:

— Nie ze mną takie numery, kamracie! Nie jestem Francuzką!

— Nie do ciebie piłem — odparł tamten chłopak.

Wtedy Macunaima zobaczył pokojóweczkę w sukience z żółtego lnu farbowanego sokiem z tatajuby. Przechodziła właśnie po przerzuconym pniu. Kiedy przeszła, nasz bohater krzyknął do kładki:

— Drzewo, drzewo, coś widziało?

— Widziałem jej małą!

— Chachachachacha!

Macunaima wybuchnął wielkim śmiechem, po czym powędrował za tamtymi dwójgim. Zabawili się już i odpoczywali na brzegu jeziora. Dziewczyna przysiadła na krawędzi czółna wyrzuconego na plażę. Była nagusieńka, dopiero co wyszła z kąpieli i zajadała żywe rybki tambiu, śmiejąc się do chłopaka. Ten leżał płasko brzuchem na wodzie u stóp dziewczyny, łowił w jeziorze rybki i dawał jej do jedzenia. Rozbrykane gromadki fal wbiegały mu na

plecy, a spływając na powrót po nagim mokrym ciele spadały do jeziora i rozpryskiwały się perliście. Dziewczyna trzepała stopami o wodę, której podnosiły się pienne kaskady, jak gdyby ukradzione księżycowi i oślepiające chłopca. A on zanurzał głowę w jeziorze i nabierał wody w usta. Dziewczyna naciskała mu stopami policzki i strumień wody tryskał prosto w jej brzuch. Wiaterek rozczesywał jej włosy i przyklejał to jedno, to drugie połyskliwe pasmo do twarzy. Chłopiec spostrzegł to. Oparwszy brodę na jej kolanie uniósł tors ponad wodę i wyciągniętym ramieniem ją odgarniał jej włosy z twarzy, tak by mogła spokojnie jeść rybki tambiu. Wówczas, żeby się odwdziżyć, wsunęła mu do ust trzy rybki i z głośnym śmiechem umknęła spod niego swe kolano. Tułów chłopaka stracił oparcie i momentalnie zanurkował on głową w głęboką wodę, a dziewczyna jeszcze przytrzymywała mu szyję nogami. Szedł na dno zapomniawszy o uroku, jaki miało dlań życie. Szedł na dno, a tu nagle czółno wywróciło się. A niech to! Dziewczyna, wywinawszy wdzięcznego koziołka, spadła na chłopaka, a ten oplótł się wokół niej jak przymilny figowiec. Wszystkie rybki tambiu pierzchnęły, a oni znów zaczęli zabawiać się w wodzie.

Nadszedł Macunaima, usiadł na wywróconym do góry dnem czółnie i czekał. Widząc, że skończyli igraszki, odezwał się do szofera:

*Od trzech dni niczego nie jadł,
A od tygodnia nie pluje,
Bóg Adama z błota sklejał,
Czy mnie petem poczęstujesz?*

Na to szofer:

*Peta dać nie mogę, wujku,
Toteż przykro mi okropnie,
Tytoń, papier i zapalki —
Wszystko tu, w jeziorze moknie.*

— Nie przejmuj się, ja mam — odrzekł Macunaima. Wyjął szylkretową papierošnicę sporządzoną przez Antonia do Rosario z Pará, papierosami ze słomki tauari poczęstował chłopaka i dziewczynę, zapalił im jedną zapalkę, a sobie drugą, potem odpędził moskity i zaczął opowiadać pewną historię. W ten sposób noc upływała szybko i nikt się nie przejmował śpiwem ptaszka sururina wydzwanianym godziny ciemności. A było to tak:

— Drogie dzieci, w dawnych czasach automobil nie był maszyną, jak dzisiaj, tylko płową pumą. Nazywała się ona Palauá i mieszkała w wielkim lesie Jakimstam. No i Palauá tak przemówiła do swoich ślepiów:

— Oczy moje zielone, biegnijcie szybko na plażę nadmorską, ale szybko, szybko!

Oczy pobiegły i puma została ślepa. Ale uniosła pysk, kazała nozdrzom wietrzyć zapachy i poczuła, że Aimalá-Pódole, Ojciec Ryb Traira, pływa gdzieś daleko na pełnym morzu, więc krzyknęła:

— Wracajcie do mnie z plaży, oczy moje zielone, tylko chyžo, chyžo, chyžo!

Oczy przybiegły i Palauá odzyskała wzrok. Przechodził tamtędy czarny jaguar, bardzo dziki, i rzekł do Palauy:

— Co ty tam robisz, kumo?

— Posyłam swoje oczy, żeby popatrzyły na morze.

— I to jest przyjemne?

— Niestychanie!

— No to wyślij i moje, kumo!

— Nie wyślę, bo na brzegu morza kręci się Aimalá-Pódole.

— Wyślij, bo jak nie, to cię zjem!

Wówczas Palauá przemówiła tak:

— Biegnijcie na plażę, żółte oczy mojego kuma jaguara, tylko chyžo, chyžo, chyžo!

Oczy pobiegły i czarny jaguar pozostał ślepy.

Ale na plaży był Aimalá-Pódole i chlup! połknął oczy jaguara. Palauá wszystkiego się domyśliła, bo Ojciec Ryb Traira mocno cuchnął, więc zamierzała dać drapak. Czarny jaguar jednak, który był bardzo dziki, wyczuł zamiar ucieczki i tak rzekł do pumy:

— Zaczekaj chwileczkę, kumo!

— Widzisz, kumie, muszę zdobyć coś na kolację dla moich małych. A więc do zobaczenia.

— Najpierw, kumo, każ moim oczom wrócić, bom już dość nałykał się ciemności.

Palauá krzyknęła:

— Przybywajcie z morskiej plaży, żółte oczy mojego kuma jaguara, tylko chyžo, chyžo, chyžo!

Ale oczy nie powróciły i w czarnego jaguara wstąpiła furia.

— W takim razie cię zjem!

I zerwał się do biegu za płową pumą. Hej, cóż to była za szaleńcza gonitwa po tych lasach! Małe ptaszki ze strachu zrobiły się jeszcze mniejsze, a noc zdjęło takie przerażenie, że tknął ją paraliż Dłatego nawet kiedy ponad wierzchołkami drzew jest już dzień, w środku lasu zawsze panuje mrok. Biedaczka nie może już chodzić...

Palauá, ubiegwszy z półtorej mili, zmordowana spojrzała za siebie. Czarny jaguar deptał jej po piętach. No i Palauá dotarła do wzgórza zwanego Ibiracoiaba i wpadła na olbrzymie kowadło, całkiem jak te, które w początkach Brazylii znajdowały się w odlewniach Afonsa Sardiny. Obok kowadła leżały cztery zapomniane koła. Wówczas Palauá przyczepiła je sobie do łap, żeby bez wielkiego wysiłku toczyć się naprzód; i znów, jak to mówią, pojechała na cały gaz w tej obłąkanej gonitwie! Puma w mgnieniu oka połknęła z półtorej mili, ale jaguar i tak trzymał się jej ogona, tuż-tuż. Oboje robili taki zgiefk, że małe ptaszki jeszcze bardziej skurczyły się ze strachu, a noc zrobiła się jeszcze bardziej ociężała, bo nie mogła chodzić. A krzyki lelka dodawały grozy temu rwetesowi... Lelek, moje dzieci, jest Ojcem Nocy; płakał nad nieszczęściem swojej córki.

Palauá poczuła głód. Jaguara miała na ogonie. Palauá nie mogła biec dłużej, bo kiszki okropnie grały jej marsza; nagle, gdy przelatywała ponad rzeką Boipeba, trochę dalej, gdzie mieszkał sobie Zły Duch, zauważyła w pobliżu jakiś motor, więc połknęła go. Jak tylko ten motor wpadł jej do żołądka, biedaczka nabrała nowych sił i pomknęła dalej. Ubiegła z półtorej mili i obejrzała się.

Ale ten jaguar ciągle deptał jej po piętach, a tu przez tę czarną melancholię nocy było tak ciemno, że przed jakimś krzakiem puma okropnie wyrznęła nosem w obryw pagórka; o mały włos, a byłoby po niej! No więc wsadziła sobie do pyska dwa robaczki świętojańskie i trzymała je między zębami, żeby przyświecały jej po drodze. Gdy przebiegła znów z półtorej mili, obejrzała się znowu. Jaguar był blisko. A to dlatego, że płowa puma wydawała mocną woń, a ta ślepa wywłoka miała węch jak wyżeł. No to Palauá połknęła oleju rycynowego na przeczyszczenie, złapała puszkę paliwa zwanego benzyną, wlała sobie do d... i pyk, pyk, pyk — popędziła naprzód popierdując jak osioł. Hałas powstał taki, że nie słyhać było nawet wylękłego pobrzękiwania naczyń tłuczonych na pobliskim Wzgórzu Gwizdka. Czarny jaguar był zupełnie zbity z pantałyku, bo nic nie widział, przestał też wyczuwać odór kumy. Palauá przebiegła jeszcze kawałek i obejrzała się. Nie zobaczyła jaguara, ale też nie mogła dłużej biec, bo z jej nozdrzy aż się kurzyło. Nie opodal rósł ogromny gaj bananowy, a wokoło niego rozciągała się mlaka; Palauá była już w porcie Santos. No więc zwierzak polał sobie pysk stojącą wodą, żeby się ochłodzić. Potem zerwał wielki liść bananowy i schował się pod nim jak pod kapotą, żeby się przespać. Czarny jaguar, bardzo dzikie bydlę, nawet przechodził tam-

tędy, ale puma ani śladu, więc poszedł sobie dalej nie wyczuwając pumy. No i potem puma już nigdy nie rozstawała się z tym, co pomogło jej w ucieczce: zawsze ma koła na łapach, motor w brzuchu, olej na przeczyszczenie w gardzieli, wodę w nosie, benzynę w łędźwiach, dwa świetliki w paszczy i maskę z liścia bananowego na sobie, i w każdej chwili gotowa jest ostro ruszyć z miejsca, zwłaszcza jeśli nadeptnie na procesję mrówek zwanych taxi. A już jeśli któraś wyskrobie się po lśniącej sierści i utnie ją w ucho, rety! rusza pełnym gazem, że Boże uchowaj! A żeby jeszcze lepiej się zakamuflować, przybrała dziwaczne imię: maszyna-auto-mobil.

Ale przez to, moje dzieci, że Palauá napiła się stojącej wody, popadła w otępienie. Mieć samochód na własność to znaczy zafundować sobie tępotę, moi mili.

Powiadają, że później puma zrodziła ogromnie liczne potomstwo. Synów i córki. Dziewczynki i chłopców. To dlatego ludzie mówią „ten ford” i „ta renówka”.

No i koniec historii.

Macunaima urwał. Młodzi aż się poślinili ze wzruszenia. Na powierzchni wód brzuchem do góry kołysał się lekki wietrzyk. Chłopak zanurkował, żeby ukryć łzę, i w zębach wyniósł na powierzchnię tambiu szaleńczo trzepoczącego ogonem. Podzielił się tym jedzeniem z dziewczyną. Wtem w oddali, w drzwiach domu, jakaś puma marki fiat rozwarła paszczę i ryknęła do księżycy:

— Buuuu, buuuuu!

Dał się słyszeć okropny rumor i powietrze napełnił duszący odór stęchłej ryby. To zbliżał się Waćław Pietro Pietra. Kierowca natychmiast zerwał się na równe nogi, dziewczyna także. Wyciągnęli dłonie do Macunaimy, zapraszając:

— To pan olbrzym wrócił z podróży; pójdziemy zobaczyć, jak się miewa?

Tak też zrobili. Spotkali Waćława Pietro Pietrę w drzwiach wejściowych; rozmawiał z dziennikarzem. Olbrzym uśmiechnął się do wszystkich trojga i rzekł do kierowcy:

— Wejdźmy do środka!

— Czemu nie!

Piaiman miał w uszach otwory na kolczyki. W prawe ucho wsadził jedną nogę chłopca, w lewe — drugą, i poniósł go na plecach. Przecięli park i weszli do domu. Pośrodku hallu wykładanego boazerią z drewna acapu i umeblowanego sofami z giętkiej palmy rotangowej — dzieło pewnego niemieckiego Żyda z Manaus — widniała ogromna dziura, ponad którą zawieszona była jako huśtawka liana japecanga. Piaiman posadził chłopaka na lianie i spytał, czy ma ochotę trochę się pobujać. Chłopiec odrzekł, że tak. Piaiman bujał go, bujał i znienacka szarpnął mocno. Japecanga ma kolce... Kolce wbiły się w ciało szofera i krew zaczęła kapać do jamy.

— Starczy! Już mam dość! — krzyczał szofer.

— Bujaj się, jak ci mówię — powiada na to Piaiman.

Krew kapała nadal. Potwora, żona olbrzyma, siedziała tam, w tej dziurze, a krew spływała do wielkiego rondla z makaronem, który szykowała dla mężulka. Chłopiec jęczał na huśtawce:

— Ach, gdyby teraz byli przy mnie tatuś i mamusia, to w łapach tego bandyty cierpieć bym nie musiał!...

Wtedy Piaiman szarpnął lianą bardzo mocno i chłopiec wpadł do sosu makaronowego.

Waćław Pietro Pietra poszedł po Macunaimę.

Nasz bohater właśnie śmiał się do pokojóweczki, a ona do niego. Olbrzym rzekł doń:

— Wejdźmy do środka?

Macunaima rozłożył ramiona, mrużąc:

— Aj!... nie chce mi się!...

— No, jazda, idziemy!

— Czemu nie...

I Piaiman postąpił z nim tak jak z szoferem — poniósł bohatera głową w dół, z nogami wsuniętymi w otwory w uszach. Macunaima narychtował dmuchawkę; wisząc pionowo głową w dół przypominał cyrkowca. Wziął na cel wisiory olbrzyma, któremu było bardzo niewygodnie; ten obrócił się i zobaczył wszystko.

— Ziomku, nie rób tego!

Złapał dmuchawkę i rzucił precz. Macunaima chwycił każdą gałąź, jaka nawinęła mu się pod rękę.

— Co ty robisz? — spytał nieufnie olbrzym.

— Nie widzisz, że gałęzie smagają mnie po twarzy?

Piaiman obrócił bohatera głową do góry. Wtedy Macunaima zaczął gałęziami łaskotać olbrzyma w uszy. Piaiman wybuchnął głośnym śmiechem i aż podskakiwał z uciechy.

— Nie dręcz mnie już, ziomku! — mówił.

Znaleźli się w hallu. Pod schodami była złota klatka ze śpiewającymi ptaszkami. A tymi ptaszkami olbrzyma były węże i jaszczurki. Macunaima podskoczył do klatki i jakby nigdy nic zaczął wcinąć węże. Piaiman zachęcał go, żeby poszedł na huśtawkę, Macunaima jednak połykał węże wyliczając:

— Zostało pięć...

I łykał następnego gada. Wreszcie węże skończyły się i nasz bohater, zły jak wszyscy diabli, wyskoczył z klatki prawą nogą. Rozwścieczony spojrzał na tego łotra, co mu ukradł Muirakitana, i wymamrotał:

— Hmmmm... psiakrew!

Lecz Piaiman nadal upierał się, żeby bohater wszedł na huśtawkę.

— Ale ja nawet nie umiem się huścić... Najlepiej, jak ty pójdziesz pierwszy — warknął Macunaima.

— Coś ty, bohaterze! To takie łatwe, jak napić się wody! No, siadaj na lianę, a ja cię rozbujam i gotowe!

Piaiman upierał się, ale tamten powtarzał olbrzymowi w kółko to samo — żeby najpierw on poszedł na huśtawkę. Wtedy Wacław Pietro Pietra wdrapał się na lianę, a Macunaima zaczął go huścić; huścił coraz silniej. I śpiewał:

*Pan kapitan na koniku
jedzie sobie bryku bryku
za pasem ma szpadę
rumak pod nim gniady!*

Szarpnął. Kolce wbiły się w ciało olbrzyma, trysnęła krew. Wiedźma siedząca tam, w dole, nie wiedziała, że to posoka olbrzyma, i łapała tę ulewę do makaronu. Sos gęstniał.

— Stój! Stój! — wrzeszczał Piaiman.

— Huśćaj się, jak ci mówię! — odpowiadał Macunaima.

Tak długo huścił olbrzyma, że ten popadł w zupełne oszołomienie; wtedy bardzo mocno szarpnął lianą. A to dlatego, że najadł się węży i był okropnie rozsierzony. Wacław Pietro Pietra runął do jamy zawodząc śpiewnie: „Mlem, mlem, mlem, jeśli stąd wyjdę, nikogo już nie zjem!”

Spostrzegł dymiącą tam, w dole, kupę makaronu i ryknął do niego:

— Zmykajcie stąd, bo jak nie, to was zjem!

Ale makaron miałyby uciekać? A co dopiero garnek! Olbrzym wpadł do gotującego się makaronu i powietrze napełnił tak silny odór przypalonej skóry, że pozdychały od niego wszystkie tico-tico w mieście, a naszemu bohaterowi aż zakręciło się w głowie. Piaiman rzucał się tam konwulsyjnie, ale nic nie pomogło, przyszła kryska na Matyska. Nadludzkim wysiłkiem uniósł się jeszcze w głębi rondla, odgarnął nitki makaronu oblepiające mu twarz,

wywrócił oczy do góry i oblizwał wąsy, wykrzykując:

— Brakuje jeszcze sera...

I wyzionął ducha.

Taki był koniec Wacława Pietro Pietry, który był olbrzymem Piainanem, pożeraczem ludzi.

Gdy Macunaima ocknął się z omdlenia, poszukał Muirakitana, a potem wsiadł do tramwaju jadącego w stronę pensjonatu. Płakał i jęczał:

— Muirakitanie mojej lubej, odzyskałem cię, ale ona sama gdzie jest, ach gdzie!...

PODROBY OIBEGO

Wtedy trzech bracia powrócili na ojczystych stron łono. Byli zadowoleni, najbardziej jednak był kontent nasz bohater, przepęlniały go bowiem uczucia, jakich doznawać może tylko bohater: ogromna satysfakcji. Wyruszyli. W momencie, gdy znaleźli się na szczycie Jaraguá, Macunaima obrócił się, by ogarnąć wzrokiem panoramę wielkiego miasta São Paulo. Przez długi czas pogrążony był w ponurych rozmyślaniach, w końcu potrząsnął głową i mruknął:

*Dużo mrówek, zdrowia mało,
To Brazylii się dostało.*

Otarł łzę, naprostował rozedrganą wargę. I uczynił cud: potrząsnął ramionami w powietrzu i zamienił gigantyczną wioskę w leniwca, calutkiego z kamienia. Ruszyli dalej.

Zastanowiwszy się porządnie, ostatki swojej floty Macunaima przeznaczył na zakupienie rzeczy, które z całej paulistańskiej cywilizacji wzbudziły jego największy entuzjazm. Tak więc miał teraz przy sobie rewolwer smith-wesson, zegarek patek i parę kur leghornów. Z rewolweru i zegarka Macunaima zrobił sobie kolczyki do uszu, klatkę zaś z kogutem i kokoszką niósł w ręku. Z tego, co wygrał w bicho, nie pozostał mu nawet miedzian, ale za to w jego przekłutej dolnej wardze dyndał Muirakitan.

Dzięki niemu wszystko stało się łatwiejsze. Spływali z biegiem rzeki Araguaí; Jiguê robił wiosłem, Maanape stał przy sterze. Znów czuli się żwawi i rześcy. Wyprężony Macunaima sterczał na dziobie i konotował sobie miejsca, gdzie należy zbudować mosty albo naprawić stare, żeby ułatwić życie ludziom z Goiás. Z nastaniem nocy po nadrzecznych rozlewiskach zaczynały płasnąć swą leniwą sambę błędne ogniki dusz utopców; Macunaima patrzył, patrzył i zasypiał smacznie. Nazajutrz budził się pełen wigoru, nawlekał pierścień klatki na lewe ramię, stawał na dziobie czółna, szarpał struny swej gitary i co sił w płucach wyśpiewywał na świat tęsknotę za ojczystymi stronami. Brzmiało to tak:

*Mewa drogę nam pokaże,
— Pirá-uauau,
Zimorodek jest kucharzem
— Pirá-uauau,
Jaskółko, do wioski nam trzeba
Na Uraricoery brzegach!
— Pirá-uauau...*

Wzrok jego, ześlizgujący się coraz dalej po naskórku rzeki, wypatrywał okolic znanych

z dzieciństwa. Wędrował tak, a każda woń ryby, każda kępa craguatá, wszystko napełniało bohatera entuzjazmem, więc jak opętany wydzierał się na świat wyśpiewując bezsensowne refreny i zwrotki:

*Prowadź, jaskółko,
— Puchaczu,
Kukułko pustułko,
— Puchaczu,
Bracia, pośpieszajmy
na brzegi Uraricoery!
— Puchaczu!*

Wody Araguaí szemrały, cichutkimi pojękiwaniami zachęcając czółno do płynięcia swoją drogą, a z oddali dochodziły urokliwe zaśpiewy rzecznych boginek-uiar. Vei-Słońce językami światła lizała lśniące od potu plecy wiosłarzy — Jiguego i Maanapego, oraz kosmate ciało stojącego na dziobie bohatera. Panował wilgotny upał, który rozgorączkowanej trójce zdawał się istnym ogniem. Macunaima przypomniał sobie, że jest Cesarzem Lasu Dziewiczego. Uczynił gest w kierunku Słońca i krzyknął: -

— Eropita boiamorebo!

Niebo momentalnie pociemniało i ponad horyzont wzbiła się rdzawa chmura, tak że w środku dnia zrobił się wieczór. Chmura przybliżała się, a była ogromna gromada papug — arar i jandaia, wszystkich tych gadających ptaszydeł: papuga-trąba papugi curraleiro tapado xará czerwono-brzuszki ajuru-curau ajuru-curica arari ararica ararauna araguaí arara-taua maracanã maitaca arara-piranga catorra teriba camiranga anaca anapura canindé tuim i inne papużki, wszystkie, pstrokaty orszak Cesarza Macunaimy. I całe to jazgotliwe bractwo rozpięło nad bohaterem baldachim ze skrzydeł i wrzasków, chroniący go przed mściwą wzgardą Słońca. Fale, bogowie i ptasi ludek wszczęli taki harmider, że nic już nie było słychać, i oszłomione czółno niemal się zatrzymało. Macunaima jednak, ku trwodze leghornów, od czasu do czasu machał energicznie ręką na tę zgraję i wrzeszczał:

— Była sobie kiedyś żółta krowa, kto pierwszy słowo powie, ten łajno zje krowie!

I nagle cały świat oniemiał, nie mówił nic, ani mru-mru, a cisza łagodziła mroczną duchotę w czółnie. I tylko gdzieś daleko, bardzo daleko, słychać było cichutkie, cichuteńkie szemranie Uraricoery. Przejmowało to naszego bohatera coraz większym zapałem. Brzdąkając na gitarze wydobywał z niej drżące tony. Odchrząkiwał, pluł do rzeki, a co wypluł, zmieniało się w obrzydliwe żółwie matamata. Potem jak wariat wydzierał się na całe gardło, nie wiedząc nawet, co śpiewa, na przykład tak:

*Panapana pa-panapana
Panapana pa-panapanema
Pa pu pi pa po
— Siostrzyczko,
Na brzeg Uraricoery!*

A później paszcza nocy pochłoneła wszystkie hałasy i świat zasnął. Została tylko Capei, Księżyc, okropnie gruba, pyzata niczym twarze owych Polek po jednej z pamiętnych nocy, psiakrew! jakież to było fajne, ta rozpusta z nimi, ileż ślicznych dziewczuch i gorzałki!... I Macunaimę ogarnęła nostalgia za wszystkim, co przeżył w wielkiej wiosce São Paulo. Ujrzał wszystkie te damulki o bielutkiej skórze, z którymi zabawiał się w tatę i mamę, to było takie słodkie!... Szepnął cichutko: „Mani! Mani! dziewczuszki z maniokowej mączki!...” Ze wzruszenia warga poczęła mu się tak trząść, że Muirakitam omal nie wpadł do wody. Macunaima

znów musiał wsadzić amulet do otworu w wardze. I bardzo poważnie zaczął myśleć o właścicielce Muirakitana, tej swarliwej wiedźmie, tej rozkosznej diablity, co takie mu sprawiła łanie. Ach, Ci! Ci, Matka Lasu, której nigdy już nie zapomni, bo układała go do snu w hamaku splecionym z własnych włosów!...

„Kto miłość swą ma daleko, temu żyć nie będzie lekko” — myślał sobie. Ach, cudowna była ta szantrapa!... teraz siedzi sobie tam, w niebie, w głowie jej ciuszki i fanfreluszki, chodzi wyfioczone i zabawia się Bóg wie z kim... Poczł zazdrość. Uniósł ramiona ku niebu, strasząc leghorny, i zaczął się modlić do Ojca Miłości:

*Rudá, Rudá!
Ty, który jesteś w niebie
i rozkazujesz deszczom.
Rudá! Zrób tak, żeby wszyscy towarzysze
mojej ukochanej, ilu ich tylko będzie,
byli w jej oczach słabi jak krowie dójki!
Dmuchnij w tę łotrzycę
tęsknotę za jej łobuzem!
I jutro, gdy Słońce opadnie na zachodzie,
Niech sobie o mnie przypomni!*

Uważnie spojrział w górę. Ci nie było, tylko gruba, pyzata Capei rozpieiała się po niebiesiech. Bohater rozciągnął się na dnie pirogi, klatkę podłóżył sobie pod głowę i zasnął pomiędzy komarami widliszkami.

Noc płowiała już, gdy Macunaimę zbudziły krzyki szpaków vira w bambusowym zagajniku. Przepatrzył krajobraz i wyskoczył na plażę mówiąc do Jiguego:

— Zaczekaj chwilę.

Zapucił się na jakie półtorej mili w ostęp. Chciał odnaleźć urodziwą Iriqui, w swoim czasie towarzyszkę Jiguego; czekała na niego siedząc na korzeniach samaumy, malowała się i drapała ukąszenia po kleszczach. Wyprawili sobie wielki jubel, zabawili się do woli i poszli do czółna.

Okóło południa papuzia czereda znów rozpostarła się nad Macunaimą. I tak przez wiele dni. Pewnego popołudnia bohater poczuł się bardzo znudzony, więc pomyślał, żeby przenocować na stałym łądzie; tak też i zrobił. Ale jak tylko postąpił parę kroków po plaży, wyrosło przed nim jakieś monstrum. Był to potwór Pondê, puchacz z Solimões, który nocą przedzie-rzgał się w człowieka i pożerał wędrowców. Ale Macunaima zamiast grotu chwycił strzałę mającą spłaszczony łepok świętej mrówki curupê, i nawet nie celując tak cudnie go trafił, że Pondê rozpękl się i przemienił w sowę. Trochę dalej nasz bohater, przeciąwszy polanę i wspinając się na poszarpany grzbiet górski, stanął twarzą w twarz z potworem Mappinguari, człekomalpa, co włóczy się po lesie i krzywdzi niewinne dziewczeczki. Stwora pochwyciła Macunaimę, ale bohater wyciągnął swoje dzwónka i pokazał je Mappinguariemu:

— Nie pomył się, kamracie!

Potwór ze śmiechem puścił Macunaimę. Bohater uszedł z półtorej mili, rozglądał się za jakimś miejscem wolnym od mrówek. Wdrapał się na wierzchołek czterdziestometrowego tonkoboba i po długich poszukiwaniach dostrzegł w końcu światelko w oddali. Poszedł tam i trafił na chałupę. A to była chałupa Oibego. Macunaima zastukał, ze środka zajęczał słodki głosik:

— Kto tam?

— Swój!

Wtedy drzwi otwarły się i stanął w nich zwierz tak ogromny, że bohater osłupiał. Był to potwór Oibê, przerażający Robal. Bohaterowi mróz przeszedł po kościach, ale przypomniął

sobie o smith-wessonie, zebrał się na odwagę i poprosił o nocleg.

— Wejdz i czuj się jak u siebie.

Macunaima wszedł, usiadł na kufrze i siedział. Wreszcie spytał:

— Może byśmy pogadali?

— Zgoda.

— A o czym?

Oibê w zadumie poskrobał się po brodzie, aż nagle z satysfakcją oznajmił:

— Może o świństwach?

— Hy! świetnie, strasznie to lubię! — wykrzyknął bohater.

I przez całą godzinę świntuszyli jak najęci.

Oibê szykował sobie kolacyjkę. Macunaima wcale nie był głodny, ale postawił klatkę na ziemi i tylko tak, dla hecy, pogładził się po brzuchu i czknął:

— Hik!

Oibê zbeształ go:

— Człowieku, co to znaczy!

— To głód, to głód!

Oibê wziął miskę, nałożył do niej batatów i fasoli, napełnił tykwę mączką maniokową i dał bohaterowi. Ale nie dał ani ździebka z podrobów opiekających się na ruszcie z gałązek cynamonu i szafranu i smakowicie pachnących. Macunaima przełknął wszystko nawet nie żując, bo wcale nie był głodny, ale ślinka ciekła mu z ust z powodu tych podrobów. Potarł się po bańdziochu i czknął:

— Hik!

Oibê zbeształ go:

— A cóż to znowu, człowieku!

— To pragnienie, pragnienie!

Oibê chwycił wiadro i poszedł do studni po wodę. W tym czasie Macunaima ściągnął z rozżarzonych węgli ruszt z cynamonu i szafranu, pożarł podroby nawet nie żując i spokojnie czekał. Gdy robaczysko powróciło z wiadrem, Macunaima wychłptał pełny kokos wody. I przeciągnąwszy się czknął:

— Hik!

Potwór osłupiał:

— No, a to co znowu!

— Senność, senność!

Wtedy Oibê zaprowadził Macunaimę do pokoju gościnnego, powiedział mu dobranoc i zamknął drzwi od zewnątrz. Zabrał się do kolacji. Macunaima postawił klatkę w kącie i nakrył swoją parkę kilkoma płachtami. Zlustrował pokój. Ze wszystkich stron dochodził nieustanny szmer. Macunaima skrzesał ognia i zobaczył, że to karaluchy. Mimo wszystko wlaź do hamaka, nie omieszkawszy przedtem sprawdzić jeszcze, czy leghornom niczego nie brakuje. Para była bardzo zadowolona, bo mogła do woli raczyć się karaluchami. Macunaima uśmiechnął się do kur, czknął i zasnął. Zaraz też oblażyły go karaluchy.

Kiedy Oibê zobaczył, że Macunaima zjadł mu podroby, bardzo się rozzłościł. Wziął dzwonek, owinał się białym prześcieradłem i poszedł nastraszyć bohatera. Ot tak, dla zabawy. Zastukał do drzwi i potrząsnął dzwonkiem, dzyń-dzyń!

— Co tam?

— Przyszedłem odebrać swoje podroby-robby-robby-robby, dzyń-dzyń!

Otworzył drzwi. Bohater, ujrzawszy upióra, aż skamieniał ze strachu. Nie wiedział, że to Oibê. Upiór zbliżał się:

— Przyszedłem odebrać swoje podroby-robby-robby, dzyń-dzyń.

Wówczas Macunaima przekonał się, że to nie żadna zjawka, tylko okropny potwór, robaczysko Oibê. Zebrał się na odwagę, chwycił kolczyk z lewego ucha, czyli maszynę-rewolwer,

i strzelił do upiora. Ale Oibê wcale się tym nie przejął i podchodził coraz bliżej. Bohatera znów opadł wielki lęk. Wskoczył z hamaka, chwycił klatkę i czmychnął przez okno, siejąc za sobą karaluchami. Oibê pobiegł za nim. Ale to było tylko tak, na żarty, że niby chciał pozreć bohatera. Macunaima zmykał, jakby mu kto pieprzu na ogon nasypał, ale cóż, robaczysko ciągle deptało mu po piętach. Wtedy wsadził sobie do gardła wskazujący palec, połaskotał i zrzucił zjedzoną mączkę maniokową. Mączka zamieniła się w wielki spłacheć piasku i gdy potwór z trudem brnął przez ten ogromny obszar ruchomych piasków, Macunaima zmykał co tchu. Skręcił w prawo, zbiegł po zboczu Wzgórza Grzmotu, które co siedem lat wydaje dźwięk, przemknął przez parę zagajników i przeskoczywszy kamienisty, wzburzony potok, przeleciał stan Sergipe z krańca po kraniec, by wreszcie zatrzymać się, zziajany, w zawalonym głazami wąwozie. Przed nim ziała czeluść jaskini, w jej wnętrzu dostrzec można było mały ołtarzyk. U wejścia do groty stał mnich. Macunaima spytał mnicha:

— Jak brzmi twoje imię?

Mnich wbił w bohatera zimne spojrzenie i odrzekł łagodnie:

— Jam jest Mendonça Mar, malarz. Obrzydziwszy sobie ludzką nieprawość, trzy stulecia temu usunąłem się od świata w to pustkowie. Znalazłem tę oto jaskinię, własnymi rękami pobudowałem ten ołtarzyk Dobrego Jezusa z Groty i wybaczywszy ludziom żyję tu sobie jako brat Franciszek z Samotni.

— W porządku — rzekł Macunaima. I popędził dalej.

Ale obszar ten wprost roił się od jaskiń; trochę dalej jakiś inny nieznajomy wykonywał gesty tak niedorzeczne, że Macunaima stanął osłupiały. Był to Hercules Florence. W wylot maciupęńskiej groty wprowadził on szybę, którą zasłaniał i odsłaniał liściem taro. Macunaima zapytał:

— Hej, hej, może mi pan powiesz, co pan tu wyczyniasz!

Nieznajomy zwrócił ku niemu twarz i ze wzrokiem jaśniejącym radością powiedział:

— Gardez cette date: 1927! Je viens d'inventer la photographie!

Macunaima wybuchnął śmiechem:

— He, he, he, panie szanowny, to wynaleziono już dawno!

Wtedy Hercules Florence, osłupiały, padł na liść taro i pismem nutowym zaczął kreślić rozprawę naukową o ptasim śpiewie. To był stuknięty gość. Macunaima popędził dalej.

Ubiegłszy z półtorej mili obejrzał się i stwierdził, że Oibê jest już całkiem blisko. Wsadził sobie palec do gardła i zrzucił na ziemię wszystkie zjedzone bataty, które zmieniły się w ruchome rojowisko żółwi. Oibego kosztowało sporo wysiłku przebycie tego żółwiowego plugastwa, a Macunaima tymczasem zmykał co tchu. Półtorej mili dalej obejrzał się. No i ten Oibê znów siedział mu na karku. Wówczas raz jeszcze wetknął sobie palec do gardła i zwymiotował już tylko fasolę i wodę. Zmieniło się to w bagnisko pełne rogatych ropuch i gdy Oibê szamotał się pomiędzy nimi, bohater nazbierał robaków dla swoich kurek i śpiesznie ruszył dalej. Wyrobił sobie sporą przewagę, więc przystanął, żeby odsapnąć. Ogarnęło go wielkie zdumienie: przebył taki szmat drogi, że znów znalazł się przed chatą Oibego. Postanowił ukryć się w sadzie. Rósł tam sobie jeden oskomian, więc Macunaima zaczął łamać jego gałęzie, aby ukryć się pod ich stosem. Z pociętych gałęzi jeła kapać woda niby łyzy i dał się słyszeć lament oskomianu:

*Ogrodniczku mego ojca,
Nie obcinaj mi włosów,
Bo ten obwieś mnie pogrzebał
Za figę, którą ptaszek
ukradł z drzewa...*

— *Sio, sio, ptaszku, sio!*

Wszystkie ptaszki w gniazdach zapłakały jęklawie z żalości, a bohatera zmroził lęk. Złapał woreczek z amuletami, jaki nosił pomiędzy wisiorami na szyi, i zrobił parę magicznych gestów, żeby odegnać urok. Oskomian zmienił się w bardzo szybką księżniczkę. Bohatera ogarnęła szalona ochota zabawienia się z nią, ale przecież Oibê musiał już szwendać się gdzieś tu w pobliżu. I rzeczywiście:

— Przeszedłem odebrać swoje podroby-robby-robby, dzyń-dzyń!

Macunaima podał rękę księżniczce i oboje rzucili się do ucieczki. Trochę dalej rósł figowiec z ogromnym napowietrznym korzeniem. Oibê deptał im po piętach i Macunaima nie miał już czasu na nic więcej, toteż razem z księżniczką wlaź w wykrot pod korzeniem. Robaczysko jednak wsadziło tam ramię i zdołało ułapić Macunaimę za nogę. Zaczęło ciągnąć, ale Macunaima, nie w ciemności, wybuchnął wielkim śmiechem i rzekł:

— Ty myślisz, jolopie, żeś złapał mnie za giczoł, co? To jest korzeń, głupku!

Robaczysko puściło. Macunaima krzyknęła:

— A właśnie że to była moja noga, ty matole, hehe!

Oibê znów wsadził rękę do jamy, ale Macunaima zdążył już podwinąć nogę i potwór natrafił tylko na korzeń. Nie opodal stała sobie czapla. Oibê przemówił do niej:

— Kumo czapelko, przyfiluj no na tego bohatera. Nie pozwól mu wyjść, a ja tymczasem przyniosę motykę.

Czapla stanęła na straży. Gdy Oibê oddalił się dobrze, Macunaima rzekł do niej:

— To tak się pilnuje bohatera, ty ciemięgo? Powinnaś stanąć blisko i dobrze wybałuszyć gały!

Czapla tak zrobiła. Wtedy Macunaima cisnął jej w ślepią garść mrówek ogniowych, oślepiła czapla jeła się drzeć wniebogłosy, a on wraz z księżniczką wylazł z dziury i znów ruszył w te pędy. W pobliżu Santo Antonio w Mato Grosso natknęli się na bananowiec, a trzeba wam wiedzieć, że umierali wprost z głodu. Macunaima powiedział do księżniczki:

— Wejdz i nazrywaj sobie zielonych, są najlepsze, a mnie zrzuc żółte.

Tak zrobiła. Bohater opchał się jak nieboskie stworzenie, a księżniczka, by mu się przypodobać, wiła się tanecznie, dręczona kolką. Nadbiegł Oibê, więc znów czmychnęli jak oparzeni.

Przebiegli z półtora mili i dotarli wreszcie do skalistego ostrowia w nurcie Araguaí. Czółno jednak było przycumowane o wiele niżej w dół rzeki, przy drugim brzegu; wszyscy — Maanape, Jiguê i urodziwa Iriqui spali w nim smacznie. Macunaima obejrzał się. Oibê był tuż-tuż. Wtedy po raz ostatni wetknął sobie palec do gardła, połaskotał i wyrzygał podroby do wody. Podroby zamieniły się w snop sitowia. Macunaima zrećnie rzucił klatkę na sitowie, wciągnął na nie księżniczkę i opierając się jedną nogą o brzeg odepchnął ją mocno całą tratwą z sitowia, która popłynęła z prądem. Nadbiegł Oibê, ale uciekinierzy byli już daleko. Wówczas robaczysko, które było słynnym wilkołakiem, dostało drgawek, wyrósł mu ogon i zmieniło się w wilka. Rozwarło swoją odczarowaną paszczkę i z jego brzucha wyfrunął błękitny motyl. Była to dusza człowieka uwięziona w ciele wilka sztuczkami magicznymi straszliwego Carrapatu, który przemieszkuje w jaskini nad Iporangą.

Macunaima i księżniczka, zabawiając się, spływali w dół rzeki. Teraz śmieją się do siebie.

Kiedy przepływali obok czółna, bracia pobudzili się na krzyki Macunaimy i pobiegli za nim. Iriqui natychmiast ogarnęła zazdrość, bo nasz zuch nawet nie chciał o niej słyszeć i zabawił się tylko z księżniczką. Więc aby się przekonać, czy potrafi znów podbić serce bohatera, uderzyła w rozgłośny szloch. Jiguemu zrobiło się jej bardzo żal i poprosił Macunaimę, żeby zabawił się z nią żdziebko. Ale bohater, który miał jej już po dziurki w nosie, tak mu powiedział:

— Co prawda, braciszku, Iriqui jest bardzo ponętna, ale księżniczka... palce lizać! Nie wierz tej Iriqui, bracie! Nie ufaj słońcu w zimie, deszczowi w lecie, babskim łzom i słowu

złodzieja... Uważaj, żebyś się nie nabrał!

I poszedł zabawiać się z księżniczką. Iriqui ogarnął smutek, wielki smutek; przywołała sześć arar canindé i poleciała z nimi do nieba, płacząc łzami ze światła, i zmieniła się w gwiazdę. Żółte papużki canindé też zmieniły się w gwiazdy. Zwą się Plejadami.

URARICOERA

Nazajutrz Macunaima zbudził się bardzo kaszlący i z wysoką gorączką. Maanape zaniepokoił się i poszedł zrobić wywar z pędów avocado sądząc, że bohater zapadł na suchoty. Ale to była malaria, kaszel zaś pochodził z zapalenia gardła, które jest udziałem wszystkich przybawających z São Paulo. Macunaima spędzał teraz całe godziny rozciągnięty na brzuchu na dziobie czółna i żadną miarą nie chciał wyzdrowieć. Gdy nie mogąc już zdzierżyć księżniczka pragnęła się z nim zabawiać, bohater raz jej nawet odmówił, wzdychając:

— Eee... nie chce mi się...

Następnego dnia dotarli do źródlisk jakiejś rzeki i usłyszeli w pobliżu szum Uraricoery. To była ona! Pewien wygadany ptaszek siedzący na drzewie manguba wrzasnął na widok gromadki:

— Pani szefowo portu, pozwól mi wejść!

Uszczęśliwiony Macunaima podziękował. Gdy przepływali, stojąc obserwował przesuwaną się krajobraz. Oto zbliżał się fort São Joaquim wzniesiony przez brata wielkiego Markiza. Macunaima zamachał na pożegnanie kapralowi i żołnierzom, za cały mundur mającym tylko strzępy spodni i czapki; pędzili tu żywot strzegąc mrówek gnieźdzących się w lufach dział. Na koniec wszystko stało się znów znajome. Ujrzeni niewysoki wzgórek, co niegdyś był ich matką, w miejscu zwanym Ojciec Mrówek Tocandeira; ujrzeni zdradliwą topiel strojną w kwiaty Victoria Regia, gdzie kryły się drętwy i żółwie, a nieco dalej, za wodospadem tapirów, widać było dawne poletko, teraz ugór, i dawną chatę, teraz w ruinie. Macunaima zapłakał.

Przybyli i weszli w rozwaliska chaty. Nadciągała noc. Maanape i Jiguê postanowili łowić ryby przy blasku pochodni, może coś chwyci, księżniczka zaś poszła szukać jakichś owoców do jedzenia. Bohater odpoczywał. Siedział sobie tak, gdy nagle na ramieniu poczuł czyjąś rękę. Obrócił twarz i spojrzał.

Obok niego stał starzec z długą brodą. Staruszek przemówił:

— Kim jesteś, szlachetny cudzoziemcze?

— Nie jestem tu wcale obcy, przyjacielu. Jestem Macunaima, bohater, i znów przybyłem w strony przodków. A tyś kto zacz?

Staruch z rezygnacją odpędził moskity i odparł:

— Jestem João Ramalho.

João Ramalho wsadził dwa palce w usta i świsnął. Zjawiała się jego żona i piętnaścioro latorośli w kolejności wiekowej. Wyprowadzili się szybko w poszukiwaniu nowych, jeszcze nie zasiedlonych okolic.

Nazajutrz skoro świt wszyscy rozeszli się do swoich zajęć: księżniczka — pracować w polu, Maanape — do lasu, Jiguê — nad rzekę. Macunaima przeprosił wszystkich, wsiadł do swojej dłubanki i popłynął kawałeczek aż do ujścia Rio Negro, żeby odnaleźć swoje sumienie, pozostawione niegdyś na wyspie Marapatá. I znalazł — co? Psińco. Więc bohater chwycił sumienie jakiegoś Hiszpano-Amerykanina i nasadził je sobie na głowę; było mu w nim równie dobrze, jak w swoim.

Przeplęwała właśnie ławica ryb jaraqui. Macunaima zabrał się do ich łowienia, łowił sobie i łowił, aż niespodziewanie znalazł się w Obidos, z dżubanką pełniuteńką świeżych ryb. Ale bohater musiał wyrzucić wszystko za burtę, bo w Obidos powiadają, że „kto zje jaraqui, musi tu zostać na wieki”, a przecież on ma wrócić nad Uraricoerę. Powrócił więc, a ponieważ było jeszcze południe, wyciągnął się w cieniu drzewa inga, obisał się z kleszczy i zasnął. Popołudniem wszyscy powrócili do ruin domostwa, zabrakło tylko Macunaimy. Wyszli więc, aby na niego czekać. Jiguê przykucnął i przyłożył ucho do ziemi, a już usłyszy cichy krok bohatera, ale nic z tego. Maanape wdrapał się na odrost palmy inajá wypatrując lśnienie kolczyków bohatera, ale nie zobaczył nic. Wtedy zapuścili się w las i chaszczę, pokrzykując:

— Macunaima, braciszku nasz!...

Nic. Jiguê znalazł się pod drzewem inga i krzyknął:

— Braciszku!

— Co się stało?

— A, to ty, założę się, że spałeś!

— Ależ skąd, nie spałem! Czałem się właśnie na wielką kuropatwę inambu. Narobiłem hałasu, a inambu — do lasu!

Wrócili. I tak upływał dzień za dniem. Obaj bracia byli bardzo nieufni, coś podejrzewali. Macunaima spostrzegł to i udał Greka:

— Poluję i poluję, ale nic mi nie wychodzi.

A Jiguê ani nie poluje, ani łowi, tylko śpi przez cały dzień.

Jiguego szlag trafił ze złości, bo z rybami było krucho, a ze zwierzyną — jeszcze gorzej. Poszedł na nadrzeczną plażę, żeby spróbować coś złowić, i spotkał tam Tzaló, czarownika, co na jedną nogę utyka. Szaman miał zaczarowaną tykwę zrobioną z połówki dyni. Zanurzył tykwę w rzece, nabrał w nią do połowy wody i chlusnął po plaży, i zaroilo się na niej od ryb. Jiguê patrzył uważnie, jak to robi czarownik. Tzaló zostawił tykwę i pałką zaczął głuszyć ryby. Wtedy Jiguê ukradł tykwę Tzaló-czarownika, co na jedną nogę utyka.

Trochę dalej zrobił dokładnie tak, jak to zaobserwował, i spadła chmara ryb — pirandira pacu cascudo bagre jundiá tucunaré, wszystkie, jakie tylko były, i Jiguê, ukrywając tykwę pod korzeniami liany, powrócił do ruin chałupy uginając się od ryb. Wszyscy bardzo się zdumiali tym bogatym połowem i podjedli sobie nieźle. Macunaimie jednak coś się w tym nie podobało.

Nazajutrz, śpiąc tylko na jedno oko, poczekał, aż Jiguê wyjdzie na ryby; poszedł za nim. I odkrył wszystko. Gdy brat sobie poszedł, Macunaima postawił klatkę z leghornami na ziemi, złapał zaczarowaną tykwę i zrobił dokładnie tak jak brat.

No i spadła chmara ryb — acará piracanjuba aviú guarijuba piramutaba mandi surubim, wszystkie, ile ich tam było. Macunaimie śpieszno było do zabijania ryb, więc cisnął tykwę na ośle, spadła na głaz, odbiła się i chlup! do wody. Przeplęwała tamtędy pirandira imieniem Padzá. Wyobraziła sobie, że to dynia, i połknęła ją; tykwa zmieniła się w pęcherz Padzá. Wówczas Macunaima zawiesił sobie na ramieniu klatkę, wrócił do zrujnowanej chałupy i opowiedział wszystko. Jiguego ogarnęła wściekłość.

— Szwagierko księżniczko, to ja łowię ryby, a ten twój chłop śpi sobie pod drzewem inga i jeszcze wpędza wszystkich w tarapaty!

— Kłamiesz!

— No to co robiłeś dzisiaj?

— Polowałem na jelenia.

— No to pokaż go, pokaż!

— Ech, zjadłem! Szedłem ja sobie drogą, a tu nagle wpadam na trop jelenia... stepowego, nie, nie, to był jelen leśny. Z nosem przy ziemi pobiegłem tym tropem. Patrzę, patrzę, no i nagle walę głową w coś miękkiego, zabawne, nie? wiecie przecież, co to było! zad tego jelenia, ludzie! (Macunaima wybuchnął śmiechem.) Jeleń zapytał mnie: „Co tu robisz,

krewniaku?” „Tropię cię” — odrzekłem, no i prask, zabiłem jelenia i zjadłem go tak jak stał, z flakami i wszystkim. Chciałem wam przynieść dobry kęs, no, ale jakim przechodził przez bajorko, potknąłem się, wywróciłem, mięso mi wypadło i obsrała je mrówka tanajura.

Bujda była niebotyczna i Maanape miał wątpliwości. Maanape był czarownikiem. Podszedł do brata i zapytał:

- Byłeś na polowaniu?
- To znaczy... tak, byłem.
- No i co upolowałeś?
- Jelenia.
- Co takiego?

Maanape zamachnął się. Bohater ze strachu zamknął oczy i wyznał, że wszystko to były łągarstwa.

Nazajutrz Jiguê poszedł szukać tykwy i napotkał pancernika-czarownika Caicama, któremu umarła mama. Siedząc w drzwiach swej nory brzdąkał on sobie na gitarze zrobionej z drugiej połówki zaczarowanej dyni i śpiewał tak:

Ty, ty, coandu!
Ty, ty, cuati!
Ty, ty, taiacu!
Ty, ty, pacari!
Ty, ty, jaguarze!
Ech, wy!...

W ten sposób. Nadbiegło mnóstwo zwierzyny. Jiguê patrzył. Caicam odrzucił zaczarowaną gitarę, chwycił pałkę i zaczął mordować całą tę masę zwierzyny, co stała tam jak ogłupiała. Wtedy Jiguê ukradł gitarę czarownika Caicama, któremu umarła mama.

Trochę dalej zaśpiewał dokładnie tak, jak słyszał, i oto stanęło przed nim zatrzęsienie zwierzyny. Ukrywszy gitarę pod korzeniami innej liany, Jiguê obładowany wrócił do chałupy. I znów wszyscy bardzo się zdumieili i urządzili wielkie obżarstwo. Macunaimie znów coś się nie podobało.

Nazajutrz, śpiąc tylko na lewe oko, poczekał, aż Jiguê wyjdzie: poszedł za nim. I odkrył wszystko.

Gdy brat powrócił do chałupy, Macunaima chwycił gitarę, zrobił dokładnie to samo, co zaobserwował, i pojawiła się przed nim chmara zwierzyny — jelenie cotia mrówkojady kapi-bary pancerniki żółwie paki dzikie psy wydry żółwie-skorpiony pekari małpy iguany leśne świnię tapiry jaguary papaviado oceloty pumy czarne szczury — wszystkie, zatrzęsienie zwierzyny! Nasz bohater bardzo się tych zwierząt przestraszył i cisnąwszy precz gitarę wziął chyżo nogi za pas. Zwisająca mu z ramienia klatka obijała się o pnie drzew, a kogut i kura rozgdakały się tak, że można było ogłuchnąć. Bohater myślał, że to ścigają go te zwierzęta, i gnał jeszcze szybciej.

Gitara spadła na szablę dzika, co pępek miał na grzbiecie, i rozpękała się na dziesięć razy po dziesięć kawałeczków; zwierzęta, myśląc, że to dynia, pożarły je w mig. I te kawałeczki w ich brzuchach zmieniły się w pęcherze.

Zziajany Macunaima jak burza wpadł do chałupy, ledwo już zipał. Jak tylko nabrał tchu, opowiedział, co się stało. Jiguê bardzo się rozżłościł i rzekł:

- No to od dzisiaj nic już nie będę łowić ani polować!
- I poszedł spać. Wszystkim zaczął doskwierać głód.

Choć błagali bardzo Jiguego, on tylko kładł się w hamaku i zamykał oczy. Bohater postanowił się zemścić. Z kła anakondy zrobił haczyk i zaklął go:

- Fałszywy haczyku, jeśli Jiguê zechce cię wypróbować, wbij mu się w dłoń.

Jiguemu głód skręcał kiszkę, tak że nie mógł zmrużyć oka; zobaczywszy haczyk, powiedział do brata:

— Braciszku, dobry ten haczyk?

— Mowa! — rzekł Macunaima i dalej czyścił klatkę.

Jiguê, któremu głód srodze już doskwierał, postanowił iść na ryby, więc rzekł:

— Zobaczmy, czy haczyk się nadaje.

Wziął zaczarowany haczyk i spróbował go na dłoni. Ząb anakondy wbił się w skórę i wpuścił do środka cały swój jad. Jiguê pobiegł do zagajnika, ale choć łyknął dobrze przeżutego manioku, na nic się to nie zdało. Wtedy poszukał głowy rogatej gęsi anhuma, ukąszonej już przez węża. Przyłożył ją sobie do dłoni. Nic nie pomogło. Trucizna zmieniła się w jatrzący trąd, który zaczął pożerać ciało Jiguego. Najpierw pożarł mu ramię potem połowę ciała potem nogi potem drugą połowę ciała potem drugie ramię potem szyję i głowę. Z Jiguego pozostał tylko cień.

Księżniczkę ogarnęła wściekłość, bo właśnie ostatnio zabawiła się z Jiguem. Macunaima zauważył to, ale pomyślał sobie: „Maniok posadziliście, to i mączkę macie, każdy złodzieja mieć musi w chacie... Cierpliwości!” I wzruszył ramionami. Rozsierdzona księżniczka rzekła do cienia:

— Gdy bohaterowi dokuczy głód i pójdzie na spacer, ty zamień się w drzewo caju, w bananowiec i w pieczeń z jelenia.

Z powodu trądu cień był trujący, a księżniczka chciała zabić Macunaimę.

Nazajutrz bohater zbudził się tak strasznie głodny, że dla rozrywki zapragnął pospacerować. Po drodze znalazł drzewo caju obwieszone owocami. Zabrał się do jedzenia, ale spostrzegł, że to trędowaty cień, więc poszedł dalej. Po półtorej mili natknął się na dymiące pieczyste z jelenia. Z głodu był już fioletowy, ale zauważył, że ta pieczeń jest trędowatym cieniem, toteż poszedł dalej. Uszedł z półtorej mili i wpadł na bananowiec uginający się od dojrzałych kiści bananów. Teraz jednak nasz bohater aż dostał zeza z głodu. Z powodu tego zeza cień brata widział po jednej stronie, a bananowiec — po drugiej.

— No, to teraz się najem! — rzekł.

I w mig zjadł wszystkie banany. A te banany to był trędowaty cień braciszka Jiguego. Macunaima musiał umrzeć. Wtedy przypomniał sobie, że aby nie umierać samotnie, trzeba przenieść chorobę na innych. Pochwycił mrówkę saúva i potarł ją o ranę w nosie; mrówka była niegdyś człowiekiem jak my, więc zaraziła się trądem. Potem złapał mrówkę jaguataci i zrobił z nią to samo; jaguataci też zaraziła się trądem. Następnie przyszła kolej na mrówkę aqueque, co zjada nasiona, i na mrówki quiquém, tracuá, mumbuca czarną jak smoła — wszystkie zaraziły się trądem. Wokół siedzącego bohatera nie było już więcej mrówek. Nie chciało mu się nawet wyciągać ramienia, bo przecież był umierający. Począł na przedśmiertne polepszenie, zebrał siły i złapał moskita birigui, co właśnie kąsał go w kolano. Przeniósł chorobę na moskita birigui. Dlatego gdy moskit ten kąsa człowieka, wwierca mu się w skórę, przechodzi przez całe ciało i wychodzi po drugiej stronie, dziurka zaś, którą wszedł, zmienia się w okropny ropień zwany wrzodem Bauru.

Macunaima, przeniósłszy trąd na siedem innych osób, wyzdrowiał w okamgnieniu i wrócił do chałupy. Mara Jiguego uznała, że bohater jest bardzo inteligentny, i pełna rozpacz zapragnęła powrócić na łono rodziny. Była już noc i cień, mieszając się z pomroką, nie mógł odnaleźć właściwej drogi, usiadł więc na kamieniu i wrzasnął:

— Poświeć mi, szwagierko księżniczko!

Księżniczka nadbiegła mocno kulejąc, bo chorowała właśnie na dengę, i żagwią oświetliła mu drogę. Cień pożarł pochodnię razem ze szwagierką. I znowu ryknął:

— Braciszku Maanape, poświeć mi!

Zaraz zjawił się Maanape z pochodnią, żeby mu poświecić. Ledwo się włókł z osłabienia, bo moskit-balwierz wysał z niego krew i Maanape był chory na ancylostomatozę. Cień

pożarł żabę i brata Maanape. I wrzasnął:

— Poświęć mi, braciszku Macunaimo!

Chciał pożreć i bohatera, ale Macunaima, widząc, co się stało z bratem i kobietą, zatarasował drzwi chałupy i spokojnie siedział sobie w środku. Cień błagał o światło i błagał, ale nie otrzymał odpowiedzi, więc jęczał i narzekał aż do świtu. Wtedy pojawiła się Capei i oświetliła ziemię, toteż trędowata zjawa znalazła drogę do chałupy. Rozsiadła się na progu z drzewa canjerana i czekała dnia, żeby się zemścić na braciszku.

Jeszcze rankiem siedziała tam, przycupnięta. Macunaima zbudził się i zaczął nadśluchować. Nie usłyszał nic, więc zakonkludował:

— No, poszedł sobie!

I wyszedł, żeby pospacerować. Gdy przechodził przez drzwi, cień usiadł mu na ramieniu. Bohater niczego nie podejrzewał. Dręczył go wielki głód, ale cień nie pozwalał mu nic zjeść. Wszystko, co Macunaima brał do ręki, pożerał on sam — tamotita kłacza ksantosomy bataty owoce biribá guaimbê guaça uxi ingá mango małpie kakao wilhelmki śliwce cają goździkowce — różnorakie leśne pożywienie. Wówczas Macunaima poszedł nałowić ryb, bo nie było już nikogo, kto łowiłby ryby dla niego. Ale gdy tylko zdejmował rybę z haczyka i wrzucał do kosza, cień zeskakiwał mu z ramienia, połykał rybę i znów sadowił się na swojej grzędzie. Bohater pomyślał: „Poczekaj, już ja cię urządzę!” Gdy chwyciła następna ryba, bohater uczynił nadludzki wysiłek i tak szarpnął wędziskiem, że ryba poleciała aż do Gujany. Cień popędził za nią, a wtedy Macunaima wymknął się chyłkiem z lasu w przeciwnym kierunku. Cień powróciwszy nie znalazł brata, więc jął węszyć po jego tropie. Bohater, przebiegłszy kawałek drogi, po przebyciu kraju Indian Białych Pancerników — gdzie wystraszył się tak, że nie prosząc o pozwolenie przeleciał pomiędzy zatopionymi właśnie w dyskusji zjawami Jorge Velho i Zumbiego — obejrzał się, bardzo zmęczony, i zobaczył, że cień jest coraz bliżej. Był już w stanie Paraiba i tak nie miał ochoty zmykać dalej, że przystanął. Wszystko przez to, że cierpiał na malarię. Nie opodał paru robotników rozwalalo mrowiska, żeby zbudować zaporę, Macunaima poprosił ich o łyk wody. Nie mieli ani kropelki, ale dali mu soczysty korzeń umbu. Bohater napił leghorny, podziękował i krzyknął:

— Z tymi, co harują, niech diabli tańczą!

Robotnicy poszczuli bohatera psami, a tego właśnie było mu trzeba, wystraszył się okropnie i dał drapaką. Przed nim otwarła się naraz krowia droga. Prześladowany przez zjawę Macunaima nie zawahał się ani chwili — pognął tym gościńcem. Kawałek dalej spał sobie byk zebu zwany Espacio, ze stanu Piaui. Bohater tak był zeżłony, że z rozmachem grzmotnął go w pysk i ten byk w okropnym przerażeniu puścił się galopem, jak ślepy, do wodopoju. Wtenczas Macunaima popędził jakąś ścieżką i skulił się pod krzewem mucumoco. Cień usłyszał tętent galopującego byczka i myśląc, że to Macunaima, pobiegł za nim. Doścignął go i w biegu usadowił się na jego grzbiecie. I zadowolony śpiewał:

*Mój śliczny byczku,
moja rozkoszy,
już cię nie ujrzę
twojej rodzinki oczy!*

*Hej... bumba,
użyj sobie, byczku!
Hej... bumba,
użyj sobie, byczku!*

Lecz byk nie mógł nigdy się najeść, zjawa pożerała wszystko przed nim. Więc byczek smutniał, smutniał, robił się coraz chudszy i oklapły. Przechodząc przez okolicę zwaną Sło-

dka Woda, niedaleko Guarapes, zdumiony byk zoczył pośrodku piaszczystej równiny piękny widok — cienisty gaj pomarańczowy, w którym dziobało sobie stadko kur. To był znak zapowiadający śmierć... Rozczarowany cień wyśpiewywał teraz:

*Byczku Zwodzicielu,
byczku mój uroczy,
pożegnać się musisz
na okrągły roczek!*

*Hej, bumba,
użyj sobie, byczku!
Hej... bumba,
użyj sobie, byczku!*

Nazajutrz byk nie żył. Zieleniał sobie pomalutku, zieleniał... Cień, wielce zatroskany, pocieszał się taką piosenką:

*Zdechł sobie mój byczek,
co się ze mną stanie?
— Siostró, czy w Ogrórze
innego dostaniesz?*

A ów Ogród był to folwark w stanie Rio Grande do Sul. W tym momencie pojawiła się pewna olbrzymka, która pasjami lubiła zabawiać się z byczkiem. Gdy go ujrzała leżącego martwym bykiem, serdecznie się rozplakała i chciała zabrać zewłok.

Cień rozżłościł się i zaśpiewał:

*Odejdź, olbrzymko,
bo tu niebezpiecznie!
Gdy kochanka idzie sobie,
to robi szlachetnie!*

Olbrzymka podziękowała i odeszła roztańczonym krokiem. Wtedy właśnie przechodził tamtędy pewien człowiek imieniem Manuel da Lapa, z brzemieniem liści caju i gałęzi drzewa bawełnianego na plecach. Cień pozdrowił znajomka:

*To kum Manué nadchodzi z Açu,
To kum Manué nadchodzi z Açu,
obładowany listowiem caju!*

*Kum Manué idzie z sertonu,
Kum Manué idzie z sertonu,
pod brzemieniem gałęzi zgarbiony!*

Manuelowi da Lapa bardzo pochlebiło to powitanie, więc w podzięcie wykonał taniec ze stepowaniem i okrył trupa listowiem caju oraz gałęziami drzewa bawełnianego.

Starzec wywlekał już noc z jamy i stropiony cień przestał widzieć byczka pod tym przykryciem z liści i płatków. Żeby go znaleźć, puścił się w tan. Zdumiało to bardzo pewnego świetlika, który zaśpiewał pytająco:

*Co tutaj porabiasz,
śliczna pastereczko?*

*— Siostrze, tu zgubiłam
moje bydełeczko.*

Tak w odpowiedzi zaśpiewał cień. Wówczas pływający świetlik zleciał z drzewa w dół i pokazał byczka cieniowi. Ten wlaź na pozieleniały brzuch nieboszczyka! siedział tam płacząc.

Nazajutrz byk był już cuchnącym ścierwem. I zleciało się mnóstwo sępów — czerwogłowy sęp camiranga, sępy peba, minister tinga jeregua, co zżera same trzewia, zebrały się wszystkie te łysogłowce i puściły się w radosny taniec. Wodzirejem był największy z nich, a śpiewał tak:

*Gdy sęp przechodzi, wszystko zasmrodzi!
Ale gdy przejdzie, to czysto będzie!*

Był to ruxama, sęp królewski, Ojciec Sępów. I żeby się przekonać, czy byczek jest już dostatecznie zgniły, posłał do jego brzucha młode sępiątko. Sępiątko tak zrobiło; weszło jednymi drzwiami, wyszło drugimi, powiedziało, że tak, i wszystkie sępy urządziły ucztę z tańcami i śpiewem:

*Byczku, śliczny byczku,
co tu leżysz sobie,
kruk nad tobą lata,
bo już jesteś w grobie.*

*Hej... bumba,
użyj sobie, byczku!
Hej... bumba,
użyj sobie, byczku!*

Tak zostało wynalezione sławne święto zwane „Użyj sobie, byczku”, znane także pod mianem Boi-Bumba.

Zjawę rozzłościło to, że sępy żrą jej byczka, więc wskoczyła sępowi ruxamie na bark. Ojciec Sępów bardzo się Uradował i wrzasnął:

— Chłopcy, moja głowa ma nareszcie towarzystwo!

I wzbił się wysoko. Od tego właśnie dnia sęp ruxama, będący Ojcem Sępów, ma dwie głowy. Trędowaty cień to ta głowa po lewej. Z początku król sępów miał tylko jedną głowę.

WIELKA NIEDŹWIEDZICA

Macunaima dowlókl się do rudery, teraz zupełnie pustej. Był bardzo poirytowany, bo nie rozumiał tej ciszy. Został sam niby nieboszczyk, którego nikt nie opłakuje, W zupełnym opuszczeniu. Bracia odeszli, zamienieni w lewą głowę sępa-ruxama, i nawet dziewczuchy, choćby na lekarstwo, człowiek nie uświadczy. Cisza zaczynała usypiać brzeg rzeki Uirarico-

era. Co za nuda! A przede wszystkim... jakie lenistwo!...

Macunaima musiał opuścić ruiny chałupy, której ostatnia ze ścian, spleciona z włókien palmy catolé, już-już miała runąć. Ale z powodu malarii nie miał odwagi sklecić sobie nawet szałas. Wyniósł hamak na szczyt wzgóрка, gdzie leżał głaz z zakopanym pod nim skarbem. Przywiązał hamak do dwóch drzewek caju o gęstym listowiu i nie wychodził z niego całymi dniami śpiąc, nudząc się i jedząc owoce caju. Jakież osamotnienie! Rozleciała się nawet jego pstrokata świta. Bo widzicie, w pobliżu przemknęła bardzo zaaferowana papużka-śmierdziuszka, inne papugi zaś spytały krewniaczkę, dokąd idzie.

— W ziemi Anglików dojrzała kukurydza, lecę tam!

I wszystkie papugi poleciały dziobać kukurydzę do ziemi Anglików. Ale najpierw zmieniły się w papużki periquito; w ten sposób one będą sobie zajadać, a na periquito spadnie cała wina. Została tylko jedna papuga aruai, bardzo gadatliwa. Macunaima pocieszał się rozmyślając: „Co przez diabła dane, przez diabła zabrane... Cierpliwości!”. Znudzony pędził dzień za dniem i dla rozrywki kazał ptakowi powtarzać w języku swego plemienia wszystkie przygody, jakie przydarzyły się bohaterowi od dzieciństwa. Aaaaa... ziewał Macunaima, ssał owoce caju, leniwie rozwalony w hamaku, z dłońmi pod głową miał poduszki; na stopach siedziała mu para leghornów, a na brzuchu — papuga. Nadchodziła noc. Oszołomiony zapachem owoców caju, nasz bohater zasypiał smacznie. O brzasku papuga wyciągała dziób spod skrzydła i na pierwsze śniadanko zjadała pająki, które nocą spuszczały z gałęzi swoje sieci na ciało bohatera. Potem mówiła:

— Macunaima!

Śpioch ani drgnie.

— Macunaima, hej, Macunaima!

— Aruai, daj ludziom pospać...

— Zbudź się, bohaterze, już dzień!

— Eee, nie chce mi się!...

— Dużo mrówek, zdrowia mało, to Brazylii się dostało!...

Macunaima wybuchał śmiechem i drapał się po głowie, na której roiły mu się weszki pixilinga, od jego kurek. Po czym papuga powtarzała jakąś historię wyuczoną poprzedniego wieczora, a Macunaimę rozpierała duma, gdy słyszał o tylu swoich dawnych wyczynach. Porywał go entuzjazm i zabierał się do opowiedzenia papużysku następnych, jeszcze świetniejszych przewag. I tak dzień po dniu.

Kiedy wschodziła Wieczerałka, to znaczy Gwiazda Wieczorna, i nakazywała wszystkiemu, by szło spać, papuga gniewała się bardzo, że opowieść urywa się w połowie. Pewnego razu nawet zwymyślała Wieczerałkę. Wówczas Macunaima opowiedział jej następującą historię:

— Nie wymyślaj jej, aruai! Taina-Cã jest dobry. Taina-Cã, który jest gwiazdą Wieczerałką, lituje się nad Ziemią i zsyła na nią Emorona-Pódole, aby udzielił spokoju snu wszystkim tym rzeczom, które mogą ten spokój otrzymać, bo nie mają zdolności myślenia jak my. Taina-Cã też jest człowiekiem... Świecił sobie tam, na rozległym przestworze niebios, gdy najstarsza córka Zozoiący, kacyka plemienia Carajá, stara panna imieniem Imaerô, odezwała się tak:

— Ojczy, Taina-Cã świeci tak ładnie, że chciałabym za niego wyjść.

Zozoiąca uśmieł się dobrze, bo przecież nie mógł ożenić Taina-Cã ze starą panną. Aż tu pewnej nocy płynie sobie z biegiem rzeki srebrna piroga, wyskakuje z niej wioślarz, stuka w przyzbę i mówi do Imaerô:

— Jestem Taina-Cã. Wysłuchałem twojej prośby i przybyłem tu w srebrnej pirodze. Wyjdź za mnie, proszę!

— Zgoda — odparła bardzo uradowana.

Ustąpiła narzeczonemu hamaka, a sama poszła spać do młodszej siostry imieniem

Denaquê.

Nazajutrz, gdy Taina-Cã wyskoczył z hamaka, wszyscy osłupieli: był to zgrzybiały, pomarszczony dziadyga, drżący niczym promień gwiazdy Wieczerałki. Więc ta Imaerô powiedziała:

— Wynoś się stąd, dziadygo! ja miałabym wyjść za takiego starucha! Muszę dostać jurnego, krzepkiego chłopca z plemienia Carajá!

Taina-Cã posmutniał bardzo i zaczął rozmyślać o ludzkiej niesprawiedliwości. Ale młodsza córka kacyka Zozoiacy ulitowała się nad dziadygą i rzekła:

— Ja wyjdę za ciebie...

Taina-Cã rozjaśnił się z uciechy. Zaręczyli się. Przygotowując wyprawę, Denaquê śpiewała noc i dzień:

— Jutro o tej porze co to będzie, furum-tum-tum...

Zozoiacy odpowiadał:

— Ja też z twoją matką — furum-tum-tum...

I kiedy zabrakło już palców u twoich łapek, papugo, znaczących dni oczekiwania na oblubieńca, w hamaku splecionym przez Denaquê odegrano taniec miłosny — furum-tum-tum...

Gdy tylko zaświtała jutrzienka, Taina-Cã wyskoczył z hamaka i rzekł do towarzyszki:

— Wykarczuję trochę lasu i urządzę poletko. Ty pozostań w wiosce i żebyś mi nie chodziła w pole podglądać mnie!

— Dobrze — odrzekła.

I pozostała w hamaku, z lubością rozmyślając o tym dziwacznym staruszką, który podarował jej najrozkoszniejszą noc miłosną, jaką tylko można sobie wymarzyć.

Taina-Cã wykarczował las, podłożył ogień pod wszystkie siedziby mrówek i uprawił ziemię. W owym czasie lud Carajá nie znał jeszcze pożytecznych roślin, jadł tylko ryby i zwierzynę.

Następnego ranka Taina-Cã powiedział żonie, że idzie po ziarno na zasiew i raz jeszcze powtórzył zakaz. Denaquê pozostała przez chwilę w hamaku rozpamiętując tęgość miłosnych słodyczy, jakimi w nocy obsypywał ją ten poczciwy stary grzyb. Potem zabrała się do przędzenia.

Taina-Cã przeleciał się do nieba, poszedł nad potok Berô, odmówił modlitwę, stanął okrakiem nad potokiem i czekał obserwując nurt. Zaraz też na futerku z drobnych fal ukazały się nasiona kukurydzy cururuca, tytoniu, manioku — wszystkich pożytecznych roślin. Taina-Cã wyłowił wszystko, co przepływało, sfrunął z nieba i poszedł na poletko, żeby siać. Trudził się właśnie pod promieniami Matki-Słońca, gdy zjawiła się Denaquê. Wszystko przez to, że stęskniła się bardzo za swym towarzyszem, co taki był tęgi w dawaniu miłosnych słodyczy. Denaquê krzyknęła z radości: Taina-Cã wcale nie był zgrzybiałym staruszką! Taina-Cã był młodym, krzepkim chłopcem, i to z plemienia Carajá. Ustali sobie legowisko z liści tytoniu i manioku i ognisćie zabawili się w Słońcu.

Kiedy śmiejąc się do siebie powrócili do wioski, Imaerô ogarnęła złość. Wrzasnęła:

— Taina-Cã jest mój! To dla mnie zszedł z nieba!

— Zjeżdżaj stąd! — rzekł Taina-Cã. — Kiedy ja chciałem, tyś nie chciała, więc teraz baw się sama!

I wskoczył do hamaka z Denaquê. Nieszczęsna Imaerô westchnęła:

— Poczekaj, kajmanie, wyschnie kiedyś twoje bajorko!...

I z krzykiem pobiegła w las. Zmieniła się w ptaszka araponga, co żółty z zazdrości pokrzykuje w daytimej ciszy lasu.

Odtąd, dzięki dobroci Taina-Cã, lud Carajá żywi się kukurydzą i maniokiem, a dla rozweselenia ma tytoń.

Taina-Cã chodził do nieba i przynosił wszystko, czego potrzebowali Carajá. Ale ta

Denaquê była tak ambitna, że zaczęła flirtować ze wszystkimi gwiazdkami na niebie! Tak było, i Taina-Cã, który jest przeciw gwiazdą Wieczerzałką, wszystko to widział.

I taki ogarnął go smutek, że aż pokrył się rosą, zebrał swoje manatki i odszedł na rozległe pola niebios. I tam został, i nic już więcej nie przyniósł. Gdyby Wieczerzałka nadal przynosiła nam wszystko stamtąd, to niebo mielibyśmy tu, całutkie byłoby nasze. A teraz możemy tylko do niego wzdychać.

Ot i wszystko.

Papuga spała.

Pewnego razu — był już styczeń — Macunaima zbudził się późno na złowróźbny pisk kukułki tincuã. Była pełnia dnia i opar nocny od dawna siedział w swojej dziurze... Bohater zdrzął i pomacał amulet zawieszony na szyi, kosteczkę oseska, co zmarł nie ochrzczone. Rozejrzał się za papugą: zniknęła. Gdakały tylko kogut i kura, kłójące się o jakiegoś spóźnionego pajaka. Trwał nieruchomy upał, tak wielki, że słyhać było szklane dzwoneczki cykad. Vei-Słońce ślizgała się po ciele Macunaimy łaskocząc go, zmieniona w dłoń dziewczyny. Robiła to z przewrotnej mściwości, tylko dlatego, że bohater nie ożenił się z jedną z córek światła. Dłoń dziewczyny tak miękko i łagodnie przesuwiała się po jego ciele... Jakaż gorąca ochota w mięśniach pobudzonych po raz pierwszy od tak długiego czasu! Macunaima uświadomił sobie, że już dawno nie igrał z panienką. Powiadają, że na ochłodzenie chutliwych zapałów najlepsza jest zimna woda... Bohater ześliznął się z hamaka, ogarnął z pajęczyn spowijających mu całe ciało i poszedł aż do Doliny Łez, aby zażyć kąpieli w pobliskim bajorku, które po niedawnym wylewie zamieniło się w jezioro.

Macunaima delikatnie postawił klatkę z leghornami na plaży i zbliżył się do wody. Jezioro całe pokryte było złotem i srebrem, ale odsłoniło swe oblicze, aby Macunaima mógł dojrzeć to, co kryło się w głębi. Otóż tam, w głębi, Macunaima dostrzegł prześliczną dziewczuszkę, bielutką jak mleko, i chuci sparły go okropnie. Ta ślicznotka to była Uiara.

Zbliżała się, cofała, że niby nie chce, drobiła tanecznymi kroczkami, mrugała do bohatera, jak gdyby chcąc powiedzieć „no, no, tylko spokojnie, kawalerze” i umykała zalotnie, że niby nie chce. Bohatera napadła tak wielka ochota, że cała jego postać wydłużyła się, a usta zwilgotniały:

— Mani!...

Macunaima pożądał tej pani. Wsadzał paluch do wody i jezioro w okamgnieniu zakrywało swe oblicze pajęczyną ze złota i srebra. Czując chłód wody, Macunaima wyciągał paluch.

I tak wiele razy. Zbliżało się południe i Vei była bardzo zagniewana. Umyśliła sobie, że wepchnie Macunaimę w zdradzieckie ramiona dziewczyny z jeziora, a tu bohater bał się zimnej wody. Vei wiedziała, że ta dziewczyna to nie żadna dziewczyna, tylko syrena Uiara. I Uiara znów zbliżała się w tanecznych podskokach. Jakże była śliczna!... Czarnowłosa i różowiotka niczym twarz dnia, i na podobieństwo twarzy dnia, co żyje otoczony nocą, obwijając sobie twarzyczkę krótkimi włosami, czarnymi jak skrzydła drozda graúna. Jej nosek, odcinający się w rzeźbionym profilu, tak był rozkoszny, że na pewno nie można nim było oddychać. Ponieważ jednak pokazała się tylko z przodu i umykała nie odwracając się do Macunaimy, więc nie mógł zobaczyć otworu na potylicy, którym to zdradzieckie stworzenie oddychało. Bohater był niezdecydowany: iść, nie iść... Vei-Słońce rozsierdziła się, chwyciła kańczug upału i wysmagała nim lędźwie bohatera. A tam, w głębi, ta kobieta, otwierająca ramiona i pokazująca wszystkie wdzięki, i przymykająca lubieżnie oczy. Macunaimie płomień przebiegł po plecach, zdrzął, wycelował i skoczył na nią — chlup! Vei zapłakała ze szczęścia. Jej łyzy kapały złotem do jeziora. Było południe.

Kiedy Macunaima powrócił na plażę, widać było, że walka tam, w głębi, była zażarta. Przez dobrą chwilę leżał rozkrzyżowany, a życie jego zawisło na zmęczonym oddechu. Krwawił z ran na całym ciele, nie miał prawej nogi, palców obu stóp, swoich orzechów kokoso-

wych, uszu, nosa — postradał wszystkie swoje skarby. Wreszcie zdołał się podnieść. Gdy zrachował straty, poczuł nienawiść do Vei. Kura zagdakała i złożyła jajko na plaży. Macunaima złapał je i trzasnął w rozradowaną gębę słońca. Jajko rozkwaśnięte się na jego policzkach i zapaćkało je na żółto, po wieczne czasy. Zmierzczało się.

Macunaima przysiadł na głazie, który w dawniejszych czasach był żółciem jabuti, i liczył skarby utracone pod wodą. Było ich wiele: noga paluchy orzechy kokosowe uszy dwoje kolczyków z maszyny patek i maszyny smith-wesson nos — wszystkie te skarby... Bohater skoczył wydając dziki wrzask, od którego skurczył się dzień: piranie pożarły mu także wargę z Muirakitanem! Poczł, że oszaleje.

Nałamał całą górę gałęzi timbó assacu tingui cunambi, wszelkich trujących roślin, i na wieki wieków zatrzał wody jeziora. Pozdychały wszystkie ryby i wypłynęły brzuchami do góry, a brzuchy miały błękitne, żółte, różowe, i powierzchnia wody zrobiła się od nich całkiem pstra. Było późne popołudnie.

Wtedy Macunaima wybebeszył wszystkie ryby — piranie i delfiny, i jał w nich gmerać w poszukiwaniu Muirakitana. To były prawdziwe jatki, posoka lała się na ziemię, tak że wszystko oblekło się w szkarłat. Zapadła noc.

Macunaima szukał i szukał. Odnalazł oba kolczyki i odnalazł paluchy odnalazł uszy jądra nos, wszystkie te skarby, i przymocował je we właściwych miejscach za pomocą ostrej trawy sapé i rybiego kleju. Nogi jednak ani Muirakitana nie odzyskał, pożarł je Ururau, potwora, której ani timbó, ani bambus nie pokona. Skrzepła czarna krew pokryła plażę i jezioro. Była już noc.

Macunaima szukał i szukał. Wydawał krzyki rozpacz, od których kurczyły się ciała wszelkiego żywego stworzenia. Nic. Bohater, skacząc na jednej nodze, miotał się po plaży. Krzyczał:

— Pamiątka! Pamiątka po mojej przeklętnicy! Nie ma jej ani ciebie, ani nic!

I skakał dalej. Łzy kapały z jego niebieskich oczek na białe kwiatuszki polne. Kwiatuszki zabarwiły się na niebiesko i zamieniły w niezapominajki. Bohater nie mógł już dłużej, przystanął. Skrzyżował ramiona i uczył rozpacz tak heroiczną, że wszystko, co zawarte było w przestrzeni, rozszerzyło się, aby pomieścić milczenie tej męki. Tylko jakieś rachityczne moskiciatko czyniło piekło naszego bohatera jeszcze bardziej nieznośnym, brzęcząc cichutko: „lecę z Miiinas... lecę z Miinas...”

I wtedy Macunaimie obrzydła ta ziemia. Nowiutka Capei lśniła na Sklepieniu nieba. Macunaima medytował, niezbyt jeszcze zdecydowany, czy zamieszkać w niebie, czy też na wyspie Marajó. Przez chwilę zastanawiał się nawet, czy nie przenieść się do Kamiennego Miasta, gdzie rządził energiczny Delmiro Gouveia, ale zabrakło mu odwagi. Żyć tam w taki sposób, jak żył dotychczas, było niemożliwością. Choćby i dlatego Ziemia obrzydła mu ze szczeniem... Wszystko, co składało się na jego dotychczasowe istnienie — pomimo tylu przygód, zabawiania się z panienkami, tylu złudzeń, tylu cierpień, tylu bohaterskich czynów — wszystko to sprowadzało się koniec końców do płynięcia z prądem życia. A po to, by zamieszkać w mieście Delmira lub na wyspie Marajó, leżących w tym kraju, należało znaleźć jakiś sens, on zaś czuł lęk przed zorganizowanymi formami. Postanowił:

— A co mi tam!... Pechowego sępa, nawet jak jest w górze, obsra ten, co leci dołem. Ten świat nie ma sensu, lecę do nieba.

Pójdzie do nieba żyć ze swoją szantrapą. Będzie pięknym, choć i niepotrzebnym blaskiem jeszcze jednego gwiazdozbioru. To nic złego, że będzie niepotrzebnym blaskiem, przynajmniej stanie się tym samym, co wszyscy krewni — przodkowie wszystkiego, co żyje w jego kraju, matki ojcowie bracia dziewczuszki szwagierki panienki, cała ta chmara znajomych, żyjących teraz z bezużytecznego blasku gwiazd.

Zasadził nasionko pnącza matamata, syna księżycowego; pnącze rosło i rosło, a on tymczasem wzięwszy ostry kamyk, naskrobał na kamiennej płycie, która niegdyś, bardzo

dawno temu, była żółwiem jabuti:

NIE PRZYSZEDŁEM NA TEN ŚWIAT, ŻEBY BYĆ KAMIENIEM.

Pnącze wyrosło bujnie i zaczęło się o róg Capei. Nasz kuśtykający bohater zawiesił sobie na ramieniu klatkę z leghornami i zaczął się pisać do nieba. Śpiewał ze smutkiem:

*Żegnam się już, żegnam,
— Jaskóteczko,
Jak ptaszynka miła,
— Jaskóteczko,
Poleciała, w gnieździe
— Jaskóteczko,
Piórko zostawiła,
— Jaskóteczko...*

Gdy tam przybył, zastukał do drzwi chatki Capei. Księżyc wyszedł na placyk i zapytał:

— Czego chcesz, gnomie Saci?

— Błogosławieństwa, mateczko, dasz chleba i mleczka?

Wtedy Capei spostrzegła, że to wcale nie jednonogi duszek Saci, tylko bohater Macunaima. Ale nie chciała udzielić mu noclegu pamiętając, jak kiedyś okropnie cuchnął. Macunaima zirytował się i parę razy wyrzwał Księżyc pięścią w twarz. Dlatego ma na niej ciemne plamy.

Potem Macunaima poszedł zastukać do drzwi Caiuanogue, gwiazdy zarannej. Caiuanogue wyjrzała przez okienko, żeby zobaczyć, kto tam stuka, ale zdezorientowana mrokiem nocy i kalectwem bohatera zapytała:

— Czego chcesz, Saci?

Ale zaraz spostrzegła, że to Macunaima, bohater, i wspominając, jak strasznie cuchnął, nawet nie zaczęła na odpowiedź:

— Idź się wykapać! — rzekła zatrzaskując okienko.

Macunaima znów się zdenerwował i wrzasnął:

— A ty wyjdź na ulicę, gnojku, to pogadamy jak mężczyźni!

Caiuanogue dostała wielkiego pietra i cała drżąca spoglądała przez dziurkę od klucza. Dlatego ta śliczna gwiazdka jest taka malutka i taka rozedrgana.

Wówczas Macunaima zastukał do drzwi Paui-Pódolego, Ojca Mutum. Paui-Pódole bardzo lubił Macunaimę, bo obronił go przed owym strasznym Mulaciskiem w czasie święta Krzyża Południa. Ale wykrzyknął:

— Ach, bohaterze, późny z ciebie ptaszek! Wielkim byłoby dla mnie zaszczytem gościć w swoim chlewie potomka żółwi jabuti, rasy najstarszej ze wszystkich... Na początku jako żyjący istniał tylko Wielki Jabuti... To on właśnie wśród milczenia nocy wyciągnął sobie z brzucha człowieka i jego towarzyszkę. Były to pierwsze żyjące osobniki i przodkowie waszego plemienia... Potem pojawiły się inne. Przybyłeś za późno, bohaterze! Już jest nas dwanaścioro przy stole, z tobą byłaby trzynastka. Bardzo mi przykro, ale nie mam zamiaru płakać!

— Jak żałuję i współczuję! — wykrzyknął bohater.

Wtedy Paui-Pódole ulitował się nad Macunaimą. Odprawił czary: wziął trzy patyki, rzucił je w powietrze, skrzyżował i zmienił Macunaimę z resztkami jego dobytku — kogutem kokoszką klatką rewolwerem zegarkiem — w nowy gwiazdozbiór. Jest to gwiazdozbiór Wielkiej Niedźwiedzicy.

Powiadają, że jakiś profesor — oczywiście niemiecki — kręcił się tu i gadał, że Wielka Niedźwiedzica, z powodu tej jednej nogi, to nic innego jak gnom Saci... Otóż wcale nie! Saci nadal żyje sobie na tym świecie — rozsiewa błędne ogniki i obcina grzywy żrebakom... Wielka Niedźwiedzica to Macunaima. To ten sam jednonogi bohater, który tyłu doświadczywszy

udręk w kraju, gdzie wiele jest mrówek, a mało zdrowia, uprzykrzył go sobie, odszedł i teraz błąka się samotnie po rozległych polach niebios.

EPILOG

Tu opowieść się urwała i umarła chwała. Nikogo już tam nie było. Mocą czarów zaraza spadła na plemię Tapaniumas i wydusiła jego synów, jednego po drugim. Nie pozostał nikt. Wszystkie owe miejsca — równiny przesmyki wzgórza ścieżki jary tajemnicze lasy — wszystko jest teraz samotną pustynią. Niezmierna cisza zadrzemała na brzegach Uraricoery.

Nie było już na ziemi żadnego z przyjaciół, który by potrafił mówić językiem plemienia ani też opowiedzieć o wszystkich tych znamienitych przewagach. Kto w ogóle słyszał o bohaterze? Bracia, zmienieni w trędowaty cień, byli teraz drugą głową Króla Sępów, Macunaima zaś — gwiazdobiorem Wielkiej Niedźwiedzicy. Nikt już nie pozna tych pięknych opowieści ani mowy wymarłego plemienia. Niezmierna cisza drzemała na brzegach Uraricoery.

Pewnego razu pojawił się tam człowiek. Był świt i Vei poleciła swym córkom czuwać nad przesuwaniem się gwiazd. Ta niezmierna pustka o śmierć z lęku przyprawiała ryby i ptaszki, omdlała nawet sama Natura, wyrzucając ramiona w bezsilnym geście. Niemota była tak ogromna, że wydłużały się od niej w przestrzeń pnie drzew. Nagle na zbolątej pierś człowieka z gałęzi spadł głos:

— Kurrr-pak, papak! Kurrr-pak, papak!...

Człowiek zmartwił ze strachu jak dziecko. Wtedy niby powiew nadleciał koliber i zaświergotał człowiekowi w usta:

— Bli, bli, bli, bla... blibla...

I szybko czmychnął na drzewo. Człowiek powędrował wzrokiem za kolibrem i spojrzał w górę.

— No, ciemnego, szarpnij gałęzią! — zachichotał koliber. I zniknął.

Wtedy człowiek spostrzegł śledzącą go z gałęzi zieloną papugę o złocistym dziobie. Rzekł do niej:

— Podaj mi łapkę, papugo.

Papuga siadła na głowie człowieka i skumali się z sobą. Potem ptak zaczął mówić w jakiejś miękkiej, bardzo, ale to bardzo młodej mowie, która była już to śpiewem, już to gorzałką zaprawną miodem, w mowie smakowitej, tchnącej zdradliwymi aromatami nieznanymi leśnych owoców.

Plemię wymarło, rodzina zamieniła się w cienie, chałupa stoczona przez mrówki rozpadła się w ruiny, Macunaima uleciał do nieba, ale przecież z tych dawnych czasów, kiedy to bohater był wielkim cesarzem Macunaimą, ostała się z jego świty papuga aruai. I pośród tej ciszy nad Uraricoerą tylko ta papuga chroniła od zapomnienia przygody i wymarłą mowę. Tylko papuga pośród tego milczenia przechowywała słowa i czyny bohatera.

Opowiedziała to wszystko człowiekowi, a potem wzbiła się do lotu w kierunku Lizbony. A tym człowiekiem, kochani moi, jestem ja, i mnie przypadło w udziale opowiedzenie tej historii. Po to do was przyszedłem. Przykucnąłem sobie na tych liściach, wyiskałem kleszcze, zabrzdąkałem na gitarze i przy jej wtórce wyśpiewałem fałszując w mej nieczystej mowie słowa i przypadki Macunaimy, bohatera naszego ludu.

I to by było tyle.

POSŁOWIE

Sześćdziesiąt lat temu, w 1922 roku, od 11 do 18 lutego, czyli w pełni brazylijskiego lata, w największym teatrze São Paulo, już wówczas przemysłowej stolicy kraju, miało miejsce wydarzenie o wielkim znaczeniu dla kultury w Brazylii. Wydarzeniem tym był Tydzień Sztuki Nowoczesnej (Semana de Arte Moderne). Stanowił on jakby ukoronowanie wysiłków artystów różnych dziedzin, którzy ok. 1912 r. pod wpływem awangardowych prądów europejskich, rozpowszechnianych przez przybyłych z drugiej strony oceanu intelektualistów brazylijskich (główną rolę odegrał tu Oswald de Andrade), zdecydowali zerwać z panującym w sztuce i literaturze „akademizmem”. Na terenie literatury znacząco to zerwanie z panującymi parnasizmem, symbolizmem i impresjonizmem.

W 1913 r. malarz Lasar Segall — przybysz z Europy, który miał osiedlić się na stałe w Brazylii — wystawił w São Paulo po raz pierwszy w tym kraju płótna kubistyczne, w następnym roku Anita Malfatti po powrocie z Niemiec urządziła wystawę obrazów ekspresjonistycznych. Najpoważniejszy dziennik „O Estado de São Paulo” opublikował w 1914 r. pierwszy artykuł o futuryzmie Marinettiego, pt. Lekcje futuryzmu (manifest Marinettiego z 1909 r. opublikowano w 1912 r. w Salwadorze, w stanie Bahia). Artykuł wyszedł spod pióra profesora Akademii Sztuk Pięknych, Bernardelliego.

W Rio de Janeiro w 1915 r. powstał projekt wydawania luzo-brazylijskiego czasopisma „Orfeu”, które w końcu wydano w Lizbonie, co zapoczątkowało epokę modernizmu w Portugalii.

W 1917 r. wspomniana już Anita Malfatti, tym razem po powrocie ze Stanów Zjednoczonych, wystawiła następną serię swych obrazów, wywołując zresztą ostrą krytykę jednego z najbardziej znanych wówczas pisarzy, Monteiro Lobato.

Pomimo że tendencje odnowy artystycznej związane były z prądami europejskimi, prawie natchnieniem pojawia się w intencjach i utworach pisarzy idea tworzenia literatury specyficznie brazylijskiej, zarówno w formie, jak i w treści. Andrade Murdei w 1916 r., w broszurce zatytułowanej *Literatura nacional (Literatura narodowa)*, pisze: „Konieczne jest działanie w celu przygotowania środowiska, które by życzliwie przyjęło pojawienie się narodowej literatury brazylijskiej”. Można tu dodać, że „rewolucja”, jaka się szykowała, będzie w pewnym stopniu powtórzeniem tej, jaka się dokonała w okresie romantyzmu, po uzyskaniu przez Brazylię niepodległości, kiedy to pisarze tworzyli również literaturę na wskroś narodową. Jednakże obecnie chodziło o to, aby w zapale unowocześnienia nie poprzestać na wzorach zagranicznych, a wypracować własne (w 1927 r. jeden z modernistów powie wprost: „nie interesuje nas, czy Europa istnieje”).

Artyści czerpali więc tematykę i natchnienie wyłącznie z własnego kraju. Począwszy od 1917 r. zaczęły się pojawiać awangardowe i jednocześnie czysto brazylijskie w treści i sposobie wypowiedzi poezje przyszłych mistrzów modernizmu: Mária de Andrade, Manuela Badeiry, Menottiego del Picchia, Murila Araujo, Guilherme de Almeida. Światowej obecnie sławy muzyk Villa Lobos zaczynał swoją karierę tematami ściśle brazylijskimi. Rzeźbiarz-kubista, Vitor Brecheret, który powrócił ze studiów w Rzymie, oraz malarz Di Cavalcanti trzymali się również tej zasady.

Nowatorów zwano wówczas „futurystami”, co jednak nie oznaczało, że byli wyznawcami teorii Marinettiego (choć część ich niektórzy początkowo przejęli). Według słów Menottiego del Picchia „Wszystko, co jest rebelią, co jest niezależne, szczere i (...) wszystko, co piękne i nowe, silne i śmiałe mieści się w szerokim i dobrym znaczeniu słowa «futurysta»”. Od roku 1901 przyjęła się jednak nazwa „moderniści”.

W tymże roku 1921 Mário de Andrade, główny *spiritus movens* (wraz z Oswaldem de Andrade) Tygodnia Sztuki Nowoczesnej, zaczął publikować w jednym z dzienników São Paulo serię artykułów pod tytułem *Mistrzowie przeszłości* (chodziło o najbliższą przeszłość), atakując poetów parnasistów. Wokół tych artykułów podniosła się żywa polemika. Panował już wówczas w kołach intelektualnych i artystycznych São Paulo nastrój takiego podniecenia i takie pragnienie zmian, że postanowiono wystąpić z frontalnym atakiem na tzw. *passadismo*, czyli powiązanie z panującymi jeszcze „oficjalnymi” estetykami. Podczas wystawy płócien Di Cavalcantiego w końcu 1921 r. postanowiono zorganizować w 1922 r. Tydzień Sztuki Nowoczesnej w ramach obchodów stulecia niepodległości Brazylii. Na program złożyły się prelekcje, koncerty, wystawy obrazów, deklamacje poezji. Pamiętny tydzień wzbudził taką sensację w mieszczańskim São Paulo, że nawet doszło do kilku awantur w teatrze. Ale też

jego uczestnicy stali się sławni z dnia na dzień, a Brazylia wkraczała w nową fazę życia kulturalnego i intelektualnego.

Określa się mianem modernizmu „wojującego” okres od 1922 do 193-0 r. Sama próba definicji modernizmu zaczęła wywoływać kłótnie, podziały, powstawanie grup, ogłaszanie manifestów w licznie powstających czasopismach. Pojawiały się liczne utwory, z których trzy należą do najważniejszych: *Macunaima* (1928) Mária de Andrade, *Martim Cererê* (1928) Cassiana Ricardo i *Cobra Norato* (1931) Raula Boppa. Tak się jednak stało, że o książce Maria de Andrade najczęściej pisano, poświęcano jej utwory poetyckie, pobudziła twórczość plastyków (słynne są przepiękne akwaforty Carybe, wykonane dla bibliofilskiego wydania z 1957 r.), posłużyła za temat filmu (1969), przerobiona zastała na sztukę teatralną (1977), wystawioną po raz pierwszy w 11378 r. Jest *Macunaima* utworem dziwnym, niezwykłym i bardzo zabawnym.

Przyjrzyjmy się jego autorowi. Mário de Andrade, urodzony w São Paulo w 1893 r. (zmarł w 1945 r.) ukończył studia w Konserwatorium Dramatycznym i Muzycznym, a potem wykładał tam historię sztuki. Był założycielem departamentu kultury przy prezydium miasta São Paulo, a także twórcą kursów etnografii i folkloru oraz fundatorem Towarzystwa Etnografii i Folkloru, oraz inicjatorem stworzenia Urzędu Ochrony Brazylijskich Zabytków Historycznych i Artystycznych. W Rio de Janeiro przez jakiś czas kierował katedrą filozofii i historii na Uniwersytecie Federalnym, będąc również dyrektorem Instytutu Sztuki tegoż uniwersytetu. Należał do grupy naukowców, którzy przygotowali Encyklopedię Brazylijską. Jak widzimy działalność autora *Macunaimy* była wielostronna. Jednakże w historii kultury najcenniejszy okazał się jego wkład do literatury jako poety, powieściopisarza (*Amar, verbo intransitivo — Kochać, czasownik nieprzechodni*, 1927), nowelisty (*Primeiro andar — Pierwsze kroki*, 19126, *Belazarte*, 1934, *Contos novos — Nowe opowiadania*, 1946), esejisty (ogromny, dorobek o różnorodnej tematyce), krytyka literackiego (idem), no i twórcy „rapsodii” *Macunaima*. Dzieła wszystkie pisarza (w tym rozliczne i bardzo interesujące listy) obejmują 20 tomów.

W 19117 r. ukazuje się w prasie pierwszy utwór poetycki Andrade, w którym jeszcze widoczne są wpływy parnasizmu i symbolizmu. Całkowite zerwanie nastąpiło w 1920 r. w tomie poezji pt. *Paulicéa Desvairada* (*Szalona Paulicea — chodzi o miasto São Paulo*), wydanym zresztą dopiero w 1922 r., oraz w tomach *Losango Cáqui* (*Romb w kolorze khaki*, 1926) i *Clã de Jabuti* (*Klan Żółwia*, 1927). Są to poezje wyzbyte metrum, bazujące na dowolnej asocjacji obrazów, jakby zrodzonych w podświadomości i następnie zdyscyplinowanych inteligencją. Tom *Paulicéa Desvairada* poprzedzony został „Przedmową bardzo interesującą”. Ona to, jak również późniejszy esej pt. *Niewolnica, która nie jest Isaurą* (1923) są właściwie teoretycznym podbudowaniem modernizmu brazylijskiego, jego manifestami.

W trzech wymienionych tomach poezji Mário de Andrade wypowiada się językiem, który bardzo różni się od języka parnasistów czy symbolistów, a także od czystej portugalszczyzny. Moderniści postawili sobie za cel zerwanie z rygorami portugalskiej składni, uproszczenie ortografii, wprowadzenie terminów ściśle związanych z życiem brazylijskim, tak przecież różnym od portugalskiego, ucieczkę od retoryki przez używanie języka kolokwialnego, dążenie do eliptycznej zwartości. Chcieli stworzyć na bazie portugalskiego własny język brazylijski. Oczywiście początkowe ekscesy, początkowa agresywność, jakie obserwujemy u poetów i prozaików związanych z ruchem odnowy w fazie wojującej, zostały następnie w fazie dojrzałości przytłumione, porzucono zbytni radykalizm, co jest zupełnie zrozumiałe, jako że cel został osiągnięty: nastąpiła zasadnicza przemiana w literaturze (również w muzyce i sztukach plastycznych), a była ona tak istotna, że modernistyczne orientacje dosięgły również szacownej Brazylijskiej Akademii Literatury i utwory awangardystów stały się wzorcami dla nieledwie całej literackiej twórczości brazylijskiej. Oczywiście stało się to możliwe jedynie dlatego, że modernistów reprezentowała plejada niezwykle, jak to wykazała przyszłość, uzdolnionych pisarzy. Gdy więc osiągnięto twórczą równowagę, ta pociągnęła za sobą stabilność i w dalszej konsekwencji nowe awangardowe tendencje, które nie byłyby możliwe, gdyby ich nie poprzedziła „rewolucja” modernistyczna. Ci zaś, którzy nie przyjęli wszystkich pomysłów nowatorów, dążyli w każdym razie do używania stylu prostego, bardziej wyrazistego, wolnego od retoryki, choć nierazko nawracali (zresztą nie tylko oni) do puryzmu językowego wybitnych pisarzy brazylijskich XIX wieku czy nawet do wzorca prozy najwybitniejszego pisarza portugalskiego XIX wieku Ecy de Queirós, nowatora w swojej epoce.

Mário de Andrade, zdecydowanie najbogatsza indywidualność modernizmu, interesuje nas

obecnie jako autor prezentowanej książki *Macunaima*, którą nazwał rapsodią albo historią. Oparta jest częściowo na legendach amazońskich, zebranych i opublikowanych przez niemieckiego etnologa Theodora Koch-Grünberga (*Vom Roroima zum Orinoco*), na legendach i tradycji ludowej innych regionów Brazylii, a także, co ciekawe, zawiera niekiedy odniesienia do tradycji czy języka innych krajów Ameryki Łacińskiej. Ponadczasowa i ponadprzestrzenna, ubarwiana drwiną, burleską, żartem, dowcipem, ale też ujawniająca uważną obserwację rzeczywistości, „rapsodia” jest dziełem zbijającym z tropu, nie dającym się zakwalifikować i nieodparcie zabawnym. Droga, na jaką wkroczył tu Andrade, nie znalazła naśladowców, choć może bez jego eksperymentów językowych (o czym jeszcze powiemy) nie byłoby książek genialnego Guimarãesa Rosy. Niektórzy sugerują podobieństwo *Macunaimy* do dużo późniejszej książki Jamesa Joyce'a *Finnegan's Wake*.

Kim jest Macunaima? Indianinem, który z głębi amazońskiej puszczy przybywa wraz z dwoma braćmi do São Paulo w poszukiwaniu utraconego talizmanu. Indianinem, który po kąpieli w zaczarowanej wodzie staje się białym. Radzi sobie w różnych przygodach i sytuacjach życiowych dzięki sprytowi, przytomności umysłu, bezczelności i niekiedy łobuzerskiemu brakowi skrupułów. Zmysłowy i leniwy, ulega stałym metamorfozom, zgodnie z ludową wyobraźnią. Nie ma więc zdecydowanego charakteru, co autor zaznaczył w podtytule książki „bohater zupełnie bez charakteru”. Zdaje się łączyć w sobie wszystkie ujemne cechy (niektóre dodatnie...) wielorasowego ludu brazylijskiego, ale nie jest — jak chcą niektórzy i jak kiedyś pochopnie powiedział Mário de Andrade — typem Brazylijczyka. Żaden Brazylijczyk nie rozpozna w nim siebie, tak jak żaden Francuz nie rozpozna się w Pantagruelu. Zresztą autor w liście do słynnego poety modernisty Manuela Bandeirya wyraźnie pisze: „Macunaima nie jest symbolem Brazylijczyka (...) Żyje własnym życiem, ma własny charakter, którym jest właśnie to, że nie ma charakteru (...) Logika Macunaimy leży w tym, że nie ma w nim nic logicznego, jest sprzecznością samą w sobie”. A w liście do innego poety awangardy Augusta Meyera stwierdza: „szczerze mówiąc, sam dobrze nie wiem, czym jest mój bezwstydnny bohater. Wiedziałem, ale nie wiem. Zmąciły mi osąd różne komentarze na jego temat”.

Macunaima jest postacią fantazyjną, legendarną w gruncie rzeczy, co zostało podkreślone w końcu książki: zgubiwszy ponownie swój talizman, „bohater” traci nogę, staje się niezdolny do dalszych wysiłków i zrażony do życia postanawia po prostu udać się do nieba. Przytoczmy ten kapitalny ustęp:

„Zasadził nasionko pnącza matamata, syna księżycowego: pnącze rośło i rośło, a on tymczasem, wziąwszy ostry kamyk, naskrobał na kamiennej płycie, która niegdyś, bardzo dawno temu była żółwiem jabuti:

NIE PRZYSZEDŁEM NA TEN ŚWIAT, ŻEBY BYĆ KAMIENIEM.

Pnącze wyrosło bujnie i zaczęło się o róg Capei. Nasz kuśtykający bohater zawiesił sobie na ramieniu klatkę z leghornami i zaczął się piąć do nieba.”

Po przybyciu tam i spotkaniu z Księżycem i Krzyżem Południa zostaje zamieniony w konstelację Wielkiej Niedźwiedzicy. Ale tło, na jakim działa Macunaima, ludzie, z którymi ma do czynienia, wszystko, co go otacza, jest brazylijskie. Stąd można powiedzieć, że autor dokonał studium socjologicznego i psychologicznego pewnej części społeczeństwa brazylijskiego, a uczynił to zarówno przenikliwie, jak i dowcipnie.

Książka została napisana w 1926 r., a wydana po raz pierwszy w 1928 r. (następnie wydano ją jeszcze 19 razy). Warto zaznaczyć, że była poprawiona po podróży, jaką Andrade odbył do Amazonii w 1927 r. wraz z grupą osób otaczających znaną milionerkę paulistańską, hr. Oliwię de Penteadu, której finansowa pomoc pozwoliła na zrealizowanie wspomnianego wyżej Tygodnika Sztuki Nowoczesnej. Przebyli wówczas w ciągu miesiąca rzekę Amazonkę aż do Iquitos. Pisarz przywiózł z podróży wiele notatek na temat obyczajów i folkloru tego olbrzymiego regionu, który go zafascynował. Notatki te, zebrane *in loco*, niewątpliwie zostały wykorzystane w ostatecznej wersji książki.

Język, jakim pisze Andrade — powiedzmy od razu — jest w pewnych partiach książki niezrozumiały również dla Brazylijczyka. Dlatego M. Cavalcanti Proença wydał w 1955 r. książkę pt. *Roteiro de Macunaima (Przewodnik po Macunaimie)*, w której wyjaśnia wiele słów, wyrażeń i zwrotów idiomatycznych, użytych przez pisarza w swojej „rapsodii”.

Ale jednocześnie język ten jest jednym z najbardziej interesujących wynalazków autora: został przez niego częściowo wymyślony przez zestawienie wyrażeń idiomatycznych różnych regionów Brazylii, języka różnych w warstwach społecznych, w tym także imigrantów europejskich świeżej daty. Jak powiedział znany badacz kultury brazylijskiej, Francuz Roger Bastide, język *Macunaimy* „to język

Brazylijczyka-potwora mieszczący w sobie w jednakowych proporcjach geny wszystkich Indian, wszystkich Murzynów, wszystkich imigrantów, a także wspomnienia wszystkich epok, poczynań, regionów kraju”. Jest to więc owo poszukiwanie nowego języka, który intelektualiści brazylijscy chcieli uczynić odmiennym od odziedziczonego wzorca. Mário de Andrade posunął się najdalej w tych poszukiwaniach, co nie znaczy — i na szczęście — że osiągnął całkowite powodzenie, bowiem mimo wszystko i mimo pewnych różnic mamy dzisiaj w Brazylii w dalszym ciągu do czynienia z językiem portugalskim, tylko w jednej z jego odmian, całkowicie zresztą zrozumiałej dla Portugalczyków. O języku tym pisze Andrade w *Epilogu*: „Potem ptak zaczął mówić w jakiejś miękkiej, bardzo, ale to bardzo młodej mowie, która była już to śpiewem, już to gorzałką zaprawną miodem, w mowie smakowitej, tchnącej zdradliwymi aromatami nieznanymi leśnych owoców”.

Lecz mamy do czynienia z inną literaturą — tętniącą życiem, tryskającą energią twórczą, różnorodną i barwną, nowatorską, ciągle poszukującą niezwykłych sposobów wypowiedzi, niezwykłej tematyki. Pod tym względem portugalska literatura nie może się z nią równać.

Osiągnięcie to jest w dużej mierze zasługą awangardystów z São Paulo, którzy pod przewodnictwem głównie Mária de Andrade w pewnym momencie historycznym postawili sobie ideały artystyczne odpowiednie dla odnowy kultury ich kraju i potrafili je osiągnąć z niezwykłym powodzeniem.

Jest rzeczą jasną, że przekład tej dość niezwykłej książki nastęrczył tłumaczowi nie jeden problem natury tak szczegółowej, jak i generalnej. Najważniejszym z nich było znalezienie (a może raczej — wybór) formuły stylistycznej tekstu, równoważnej funkcjonalnie i morfologicznie oryginałowi. Otóż uderzającą cechą charakterystyczną oryginału jest wzmiankowane wyżej jego bogactwo językowe, leksykalne, jego niejednorodność i „pstrokaczna” mająca oczywiście odbijać brak stałych, jednoznacznych „właściwości” charakteru, infantylizm bohatera. Dlatego było rzeczą konieczną utrzymanie w pewnym stopniu tej niejednorodności, miejscami wpadającej nawet w dysonans. Trzeba też było wziąć pod uwagę fakt, że wiele słów czy zwrotów, użytych przez M. de Andrade „eksperymentalnie”, weszło już od dawna do potocznego języka brazylijskiego.

Czy była możliwa inna droga? Zapewne tak: oto np. przekład francuski *Macunaimy* pióra J. Thiériot nosi wystrój językowy diametralnie różny od naszkicowanej wyżej formuły: oszałamia on hiperbarokowym bogactwem słownictwa i form rodem z Rabelais'go, Brantôme'a — ale i współczesnych, i starszych „argotów”. Wirtuozeria J. Thiériot napawa podziwem, olśniewa, ale i budzi wątpliwości, czy zaproponowana przezeń formuła tekstu — mająca dość wyraźne cechy indywidualnego, określonego stylu — dobrze służy zamysłowi autora, pragnącego dać portret bohatera „bez właściwości”.

SPIS TREŚCI

| | |
|--|----|
| Macunaima | 02 |
| Pełnoletność | 04 |
| Ci, Matka Lasu | 08 |
| Boiúna Luna | 10 |
| Piaiman | 14 |
| Francuzka i olbrzym | 20 |
| Macumba | 24 |
| Vei-Słońce | 29 |
| List do Amazonek zwanych Icamiabas | 33 |
| Paii-Pódole | 39 |
| Stara Ceiuci | 43 |
| Domokrążca, chupim i ludzka nieprawość | 51 |
| Wszareczka Jiguego | 56 |
| Muirakitana | 59 |
| Podroby Oibego | 65 |
| Uraricoery | 71 |
| Wielka Niedźwiedzica | 77 |
| Epilog | 83 |
| Postłowie | 84 |